

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Andrzej Samson

MOJE DZIECKO MNIE NIE SŁUCHA

Projekt okładki
Lidia Motrenko-Makuch

Redaktor
Elżbieta Jaształ-Kowalska

Korekta
Roma Sachnowska

© Copyright by Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”
Wydanie II, Warszawa 1999

ISBN 83-7163-160-X

Typografia, skład i łamanie
WMC, s.c. Warszawa

Mojej córce Katarzynie

SPIS TREŚCI

Dla kogo napisałem tę książkę? 10

Część pierwsza **ŻYCIE RODZINNE**

Rozdział I
Sielanka czy horror, czyli dwa wizerunki rodziny 15

Rozdział II
Wszyscy ze wszystkimi o wszystko, czyli codzienna wojna domowa 26

Rozdział III
Wszystko da się przewidzieć, czyli sekwencje rodzinne 38

Rozdział IV
Kto z kim, czyli o strukturze rodziny 45

Rozdział V
Zabójcza równowaga, czyli o patologii rodziny 50

Rozdział VI
Ewolucja rodziny, czyli od kryzysu do kryzysu 63

Rozdział VII
Nie kończąca się inwestycja, czyli kryzys wychowania 79

Rozdział VIII
Kto w rodzinie zajmuje się wychowaniem, czyli o tym, że dzieci też wychowują rodziców 84

Część druga
HEREZJE WYCHOWAWCZE

Rozdział I	
Właściwie wszystko wiadomo, czyli o stereotypach w wychowaniu	95
Rozdział II	
Z zabieję perspektywy, czyli o kucaniu do dziecka	101
Rozdział III	
Idź się bawić, czyli o robieniu z dziecka głupka	104
Rozdział IV	
Nie idź, zostaw, nie ruszaj, stój spokojnie, czyli o podważaniu kompetencji dziecka	110
Rozdział V	
Co chwila coś nowego, czyli o tym, że dziecko szybko się nudzi	115
Rozdział VI	
Poczekaj, aż będziemy sami, czyli o tym, czy można klócić się przy dziecku	120
Rozdział VII	
Czego Jaś się nie nauczy, tego Jan nie będzie umiał, czyli o potrzebie wczesnego treningu	126
Rozdział VIII	
Moje dziecko mnie nie słucha, czyli o dyspozycyjności dziecka, i co robić, aby nas ono słuchało	136
Rozdział IX	
Chwili nie usiedzi spokojnie, czyli o dzieciach „nadpobudliwych”	151
Rozdział X	
I znowu katastrofa, czyli o moczeniu nocnym	166
Rozdział XI	
Nie będziesz mi tu rządził, czyli o kryzysie dorastania	179

Rozdział XII	
Kij czy marchewka, czyli o karaniu i nagradzaniu	. 194
Zakończenie 202

DLA KOGO NAPISAŁEM TĘ KSIĄŻKĘ?

Książkę tę napisałem przede wszystkim dla moich aktualnych i potencjalnych pacjentów, czyli dla rodziców, którzy zgłaszają się do mnie po pomoc w trudnych momentach, jakie powstają w procesie wychowywania dzieci. Przez dwadzieścia lat mojej praktyki psychoterapeuty i doradcy rodzinnego towarzyszę im w ich wątpliwościach, problemach i obawach związanych z przebiegiem tego najważniejszego, najdłużej trwającego i najtrudniejszego zadania. Wychowanie dziecka w rodzinie jest bowiem takim właśnie wieloletnim i niezwykle skomplikowanym procesem. Za jego przebieg i finał rodzice są i czują się w pełni odpowiedzialni, choć w kierowaniu nim, z reguły, są zdani jedynie na własne doświadczenia, pomysły i rozwiązania. Nie ma w tym zresztą nic złego, ponieważ, o czym jestem dzisiaj najgłębiej przekonany, rodzicielski rozum, serce i doświadczenie to na ogół najlepszy doradca. Czasami jednak, w konfrontacji ze złożonymi, często zaskakującymi sytuacjami wychowawczymi, rozumowi owemu nie staje pewności siebie, w sercu rodzą się lęk, złość i zwątpienie, a doświadczenie nie podpowiada gotowych rozwiązań. Dzieje się tak dlatego, że wychowanie, jak rzadko który proces społeczny, opanowane jest przez rutynę i przesąd, przez które tak zwany „zdrowy ro-

zum”, a nawet zgromadzona metodami naukowymi wiedza, przebijają się z najwyższym trudem. Wtedy rodzicom potrzebna jest pomoc.

Najczęściej potrzebne okazuje się **uspokojenie**, będące wynikiem zrozumienia sensu i mechanizmu dziejących się wydarzeń, lub też dobra rada podsuwająca pomysł rozwiązania danego problemu. Znacznie rzadziej, jak uczy doświadczenie, jest nią bezpośrednia, terapeutyczna interwencja specjalisty.

Książka ta jest próbą **uspokojenia** przestraszonych rodziców poprzez pokazanie im podstawowych mechanizmów rządzących procesem wychowania w rodzinie i, co za tym idzie, **sensu** wywołujących ich zaniepokojenie wydarzeń. Jest także podstawowym zestawem porad ułatwiających wybrnięcie z trudnych sytuacji wychowawczych.

Mechanizmów rządzących procesem wychowania w rodzinie nie sposób do końca zrozumieć bez poznania prawidłowości zawiadujących funkcjonowaniem samej rodziny. W pierwszej części książki usiłuję przystępnie ukazać te prawidłowości. Druga część w całości poświęcona jest analizie typowych, trudnych bądź budzących rodzicielskie wątpliwości sytuacji wychowawczych. Wynikiem tej analizy są skierowane do rodziców konkretne sugestie i rady.

Za wszystko, co czytelnik znajdzie w niniejszej książce, ponoszę oczywiście osobistą odpowiedzialność, chociaż pisząc ją, korzystałem z kilku, co najmniej, teoretycznych koncepcji (jak np. „systemowa” teoria funkcjonowania rodziny), które nie są mojego autorstwa. Nie uważałem jednak za stosowne opatrywanie tekstu licznymi przypisami i odnośnikami. Czynię tak tylko wtedy, kiedy cytuję konkretne badania i teoretyczne sformułowania. To nie jest w końcu książka naukowa.

Mam nadzieję, że ta lektura pomoże rodzicom w lepszym wypełnieniu ich trudnej wychowawczej misji, a dzieciom (oczywiście tym starszym), jeśli znajdą się wśród jej czytelników, ułatwi zrozumienie rodzicielskich zachowań i motywów działania. Im też – rodzicom i dzieciom – moim pacjentom, chcę w pierwszej kolejności podziękować za nauki, jakie wyniosłem i nadal wynoszę z kontaktów z nimi. Wiele przemyśleń zawartych w tej książce jest ich rezultatem. Pragnę również gorąco podziękować za pozornie niedostrzegalny wkład w jej powstanie mojej córce Katarzynie, która, na swój sposób, cierpliwie uczyła mnie i uczy – kim jest dziecko i jaki jest sens wychowania. Szczególne podziękowanie składam też mojemu nauczycielowi i przyjacielowi, mieszkającemu obecnie w Stanach Zjednoczonych, doktorowi Kazimierzowi Jankowskiemu, bez którego życzliwej, udzielonej mi swego czasu pomocy i opieki nie tylko napisanie tej książki, ale wiele innych przedsięwzięć mojego życia zawodowego nie byłoby możliwe.

Andrzej Samson

Warszawa, styczeń 1994 r.

Część pierwsza
ŻYCIE RODZINNE

*„Rodzina, rodzina
Nie cieszy, gdy jest,
Lecz kiedy jej nie ma,
Samotnyś jak pies”.*

(JEREMI PRZYBORA)

Rozdział 1

SIELANKA CZY HORROR, CZYLI DWA WIZERUNKI RODZINY

Niemal każdy z nas przychodzi na świat w rodzinie, w której wzrasta i dojrzewa, aby w odpowiednim czasie założyć własną rodzinę. Tym sposobem **całe życie niemal każdego z nas** upływa w rodzinie. Nie jest to bynajmniej przypadek. Już Arystoteles nazwał człowieka „zwierzęciem społecznym”, zwracając uwagę na prosty fakt, że jako przedstawiciel gatunku nigdy i nigdzie nie występuje on pojedynczo. I rzeczywiście. Homo sapiens – co jednoznacznie potwierdza antropologia i archeologia – pojawił się na arenie dziejów od razu w dużych grupach, a ludzkość jest nam znana jedynie jako tłum.

Z czasem dowiedziono, iż „społeczność” ludzkiego zwierzęcia oznacza między innymi i to, że jest ono organizmem, który do swego biologicznego przeżycia i prawidłowego rozwoju potrzebuje innych ludzi. Konstatacja ta zapewne nie zaskoczy nikogo, kto chociaż raz widział małe dziecko, a z pewnością nie będzie niczym nowym dla tych, którzy się takim dzieckiem opiekowali. Wieloletnia niezdolność małego dziecka do samodzielnego życia

wskazuje, że stan niemal całkowitej zależności od innych ludzi jest jego naturalną sytuacją życiową, co w pewnym sensie implikuje, że człowiek został niejako „pomyślany” i stworzony do życia w społeczności.

Jak dotąd, teza ta wydaje się bezwzględnie prawdziwa, mimo istnienia opisów (w większości zresztą mało wiarygodnych) tak zwanych wilczych, niedźwiedzi czy w ogóle „dzikich dzieci”, które przeżyły i rozwinęły się w całkowitej, rzekomo, izolacji od innych ludzi. Opisy te, od zupełnie czasami fantastycznych aż do udokumentowanych historycznie (np. Kaspar Hauser) przedstawiają jednak istoty dziwaczne, najczęściej kalekie fizycznie i upośledzone psychicznie. Jeśli więc nawet można sobie wyobrazić (znakomicie zrobił to Kipling w swojej „Księżde dżungli”) przeżycie i prawidłowy rozwój człowieka bez kontaktu z innymi ludźmi, to w rzeczywistości pomysł taki jest absolutnie nierealny.

Współczesne badania naukowe, prowadzone na temat dzieci wczesnie odłączonych od rodziców i z różnych powodów pozbawionych ciepłego, pełnego miłości kontaktu z dorosłymi, udowodniły ponad wszelką wątpliwość, że sytuacja taka poważnie zaburza nie tylko rozwój psychiczny, ale i fizyczny tychże dzieci. Oprócz tego, powiedzmy, biologiczno-rozwojowego aspektu „społeczności” istoty ludzkiej, istnieje też drugi, nie mniej ważny. Otóż człowiek do swojego dobrego samopoczucia i sprawnego funkcjonowania potrzebuje obecności innych ludzi oraz związków uczuciowych i wspólnoty intelektualnej z niektórymi z nich. Bez miłości, przyjaźni, wzajemnej bliskości, szacunku i innych tego rodzaju więzi emocjonalnych, umożliwiających z kolei wymianę myśli i poczucie przynależności do „braci w rozumie”, życie ludzkie staje się jałową, pustą udręką bez celu i sensu. Warto pamiętać, że zadziwiająco zaradny i, jak byśmy to

dzisiaj powiedzieli, przedsiębiorczy Robinson Kruzo na swej bezludnej wyspie nieustannie cierpiał z powodu tęsknoty za innymi ludźmi. Izolacja społeczna jest we wszystkich znanych kulturach karą sroższą nieraz od kary śmierci.

Jak łatwo zauważyć, swoje najważniejsze potrzeby społeczne, zarówno w ich aspekcie biologiczno-rozwojowym, jak i emocjonalno-intelektualnym, człowiek może zaspokoić w rodzinie. Rodzina jest jedyną grupą społeczną, której spoiwem są głębokie więzi uczuciowo-intelektualne, a wzajemna bliskość znajduje swoje apogeum i spełnienie w niczym nie skrzepowanym i akceptowanym społecznie współżyciu seksualnym. W rodzinie też przychodzące na świat dzieci otrzymują w najczystszej postaci ów niezbędny im do normalnego rozwoju, pełen ciepła i miłości kontakt z dorosłymi, którym jest opieka rodzicielska. Nic więc dziwnego, że rodzina jest tak stara jak ludzkość, oraz że zawsze stanowiła i stanowi łatwo dającą się wyróżnić elementarną część każdego społeczeństwa. Była zawsze, jest i będzie tak długo, jak długo będzie istniał człowiek, albowiem jest ona jego najbliższym środowiskiem społecznym i najważniejszym społecznym kontekstem nadającym sens życiu i poczynaniom.

Każda kultura stawia do zrealizowania podległym sobie jednostkom ten sam ogólny „plan życiowy” polegający na znalezieniu sobie w odpowiednim czasie partnera i założeniu rodziny. Wymagają tego od swoich członków zarówno społeczności Eskimosów, jak i amerykańskich WASP-ów, afrykańskich Buszmenów i angielskiej arystokracji, australijskich Aborygenów i Europejczyków, Hindusów, Rosjan, Japończyków i Brazylijczyków, krótko mówiąc – wszystkich znanych ras, grup etnicznych, grup społecznych i narodów. Każda też kultura wytworzyła specyficzne sankcje spadające na tych, którzy owego

ogólnego „planu życiowego” nie realizują. Najmniej dolegliwą z nich jest chyba dezaprobata społeczna wyrażająca się np. w Polsce i wśród wielu innych narodów obdarzaniem takiej jednostki mianem „starej panny” lub „starego kawalera”, które to epitety są synonimami nieprzystosowania, zdziwaczenia i generalnej klęski życiowej. „Wiesz, to stara panna” – mawia się u nas i już wszystko o omawianej damie wiadomo.

Najcięższą z kolei sankcją jest wykluczenie osób samotnych ze społeczności lub skazanie ich na egzystencję ludzi gorszej kategorii. Dla przykładu – w niektórych plemionach południowoamerykańskich Indian mężczyzna, który się nie ożenił, zostaje zmuszony do noszenia kobiecych ubrań i pełnienia roli kogoś w rodzaju gosposi „na przychodne” wobec innych kobiet. W Stanach Zjednoczonych samotni, jako osoby nie wzbudzające dostatecznego zaufania, z zasady nie otrzymują pewnych rodzajów pracy (np. akwizytora), mają poważne trudności z awansem na kierownicze stanowiska i praktycznie nie mają szans na uzyskanie stanowisk publicznych pochodzących z wyboru.

Wszystko, co napisałem powyżej, zalicza się do sielankowego wizerunku rodziny. Rodzina bowiem, oglądana z pewnej perspektywy i przez pryzmat określonych kategorii socjo-psychologicznych, rzeczywiście jest najbardziej naturalnym i przyjaznym środowiskiem społecznym człowieka. Czyli, jak chce socjologia, jest jego podstawową grupą społeczną, gdzie więzi pomiędzy członkami są osobiste i ciepłe, kontakty spontaniczne, bliskie i pełne zaangażowania uczuciowego, a postępowanie wobec siebie nawzajem solidarne i nastawione na osiąganie wspólnych celów. Ponadto rodzina pełni wobec swych członków liczne funkcje – takie jak prokreacyjna, zarobkowa, usługowo-opiekuńcza, socjalizująca i psychohigieniczna, któ-

re zapewniają im wszechstronne zaspokojenie ich potrzeb oraz optymalne warunki rozwoju*.

Jednym słowem sielanka.

Horror zaczyna się dopiero wtedy, kiedy zajrzemy niejako do wnętrza rodziny i spróbujemy odpowiedzieć sobie na pytanie – jak ona naprawdę na co dzień funkcjonuje?

Literatura i film z dawien dawna z upodobaniem penetrują wnętrze rodziny, znajdując tam nieustannie materiał zarówno do wstrząsających dramatów, jak i do humorystycznej groteski. Wystarczy przypomnieć tu takie dzieła, jak „Buddenbrookowie” Tomasza Manna, „Saga rodu Forsytów” Galsworthy’ego, „Zmierzch bogów” i „Portret rodziny we wnętrzu” Viscontiego, „Życie rodzinne” Zannussiego, pocziwą „Rodzinę Połanieckich” Sienkiewicza czy wreszcie osławioną telewizyjną „Dynastię”. Wszystkie one pokazują, że oprócz bycia najbardziej naturalnym i przyjaznym środowiskiem społecznym człowieka, rodzina bywa dla niego również piekłem na ziemi pełnym cierpienia, bólu i strachu. Zresztą, żeby to stwierdzić, nie trzeba czytać powieści i chodzić do kina. Wystarczy popatrzeć na własną rodzinę czy na rodzinę sąsiadów. Nie myślę tu od razu o wielkich dramatach. W **każdej** rodzinie rozgrywają się codziennie małe dramaty – zwyczajne nieporozumienia, konflikty, utarczki i awantury, do których właściwie przywykliśmy, co nie znaczy, iż nie przysparzają nam one cierpienia, rozterek i „nerwów”.

Aby odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego tak się dzieje, zacznijmy od baczniejszego przyjrzenia się rodzinie jako grupie. Otóż okazało się, że wśród różnych grup społecznych rodzina jest grupą szczególną. Funkcjonuje

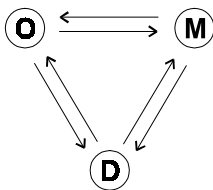
* Szerszy opis tych funkcji znajdzie zainteresowany Czytelnik w: Maria Ziemska, „Rodzina i osobowość”, Wiedza Powszechna, Warszawa 1977.

ona bowiem jak **system**, w cybernetycznym znaczeniu tego słowa, czyli jak układ elementów powiązanych wzajemnie **sprzężeniami zwrotnymi**.

Jednym z najprostszych przykładów systemu jest termostat w naszych lodówkach. Składa się on z dwóch elementów – czujnika temperatury i przełącznika dopływu prądu – połączonych sprzężeniem zwrotnym. Sprzężenie to działa w ten sposób, że ilekroć nastąpi zmiana w jednym z elementów, drugi także się zmienia. Na przykład, jeżeli temperatura w lodówce wzrośnie powyżej -2 stopni C, na którą ustawiony jest czujnik, wyśle on sygnał do przełącznika prądu, a ten z kolei włączy zasilanie agregatu lodówki. W wyniku jego działania temperatura zacznie spadać i gdy osiągnie -2 stopnie C, czujnik znów zareaguje, wysyłając do przełącznika prądu sygnał powodujący wyłączenie zasilania. W ten sposób będziemy mieć w lodówce stałą temperaturę około -2 stopni C.

Rodzinę możemy sobie wyobrazić jako znacznie bardziej skomplikowane urządzenie, składające się z kilku elementów (członków rodziny) powiązanych ze sobą sprzężeniami zwrotnymi w taki sposób, że jakakolwiek zmiana w jednym z tych elementów powoduje zmiany we wszystkich pozostałych i tym samym zmianę w funkcjonowaniu całego urządzenia. Każda zaś zmiana w funkcjonowaniu całego urządzenia spowoduje zmianę działania wszystkich jego poszczególnych elementów.

Najprostszy układ rodzinny będzie w tym ujęciu wyglądał następująco (ojciec – matka – dzieci):



Wyobraźmy sobie, że znajduje się on w stanie pewnej równowagi. Oto, powiedzmy, rodzina odpoczywa po obiedzie – ojciec ogląda telewizję, matka czyta, a dziecko bawi się klockami. W pewnym momencie dziecko rzuca klocki i z płaczem chwyta się za brzuch. Matka zrywa się i bierze je na ręce, pytając, co się stało? Ojciec zaniepokojony wstaje od telewizora i wyraża przypuszczenie, że dziecko zatrulo się niezbyt dziś smacznym obiadem. Matka z oburzeniem protestuje przeciw obwinianiu jej o spowodowanie cierpień dziecka oraz przeciw tendencyjnej, jej zdaniem, ocenie obiadu. Dziecko płacze. Ojciec chwytając za telefon i usiłuje się dodzwonić do pogotowia, mówiąc, że nie czas na sprzeczki. Matka wybucha płaczem, twierdząc, że mąż potrafi ją jedynie oskarżać i krytykować. Matka płacze. Dziecko płacze. Matka niesie je do kuchni i poi ciepłą herbatą. Ojciec wciąż walczy z telefonem, wypowiadając jednocześnie opinię, że herbata nic tu nie pomoże. Matka żąda, żeby ojciec w takim razie sam coś zrobił, skoro wszystko, co ona robi, jest niedobre. Dziecko płacze. Ojciec twierdzi, że właśnie „coś” robi, telefonując na pogotowie. I tak dalej.

Jak widać, zmiana w zachowaniu się dziecka wywołała natychmiastowe zmiany w funkcjonowaniu rodziców. Zmiana z kolei w zachowaniu się każdego z nich wywołała zmianę w postępowaniu tego drugiego. Zmieniło się też funkcjonowanie całej rodziny – od spokojnego wypoczynku do gorączkowej aktywności i niemal awantury. Ale oto pod wpływem kołysania matki (a może ciepłej herbaty?) dziecko się uspokaja. Ojciec biegnie odwołać wezwane pogotowie. Matka masuje dziecku brzuch. Ojciec przeprosza ją za to, że się uniósł. Ona odpowiada, że też była zdenerwowana. Oboje zajmują się zabawianiem dziecka. Pod wpływem ich starań dziecku wraca dobry humor. Rodzice zastanawiają się, czy była to jakaś przej-

ściowa dolegliwość, czy też wezwać lekarza. Rodzina osiąga znów stan pewnej równowagi. Za chwilę ojciec włączy telewizor, a matka wróci do lektury. I tak aż do następnej zmiany.

Każda rodzina funkcjonuje właśnie tak, jak uśiłowalem powyżej przedstawić; możemy się łatwo przekonać o tym, obserwując uważniej własne życie rodzinne. Zobaczymy wtedy, że naprawdę jest to system. Że w rodzinie nie ma spraw „moich” czy „twoich”, ponieważ **każda** sprawa w jakimś stopniu dotyczy wszystkich. Jeżeli ojciec ma kłopoty, o których może nawet nie mówi rodzinie, na pewno i matka, i dziecko to odczują. Choćby się on najbardziej starał, nie ustrzeże się pewnych, nawet niewielkich, zmian w zachowaniu. Jeżeli dziecko dostanie pałę z geografii, matka wie, że coś się wydarzyło, zanim jeszcze przekroczy ono próg mieszkania, wracając ze szkoły. Jeśli matka jakiegoś dnia nieco gorzej się czuje, i ojciec, i dziecko już po chwili będą wiedzieli, że coś z nią jest nie tak, choćby starała się swoje samopoczucie ukryć. I tak dalej.

W rodzinie, tak naprawdę, niczego nie można ukryć ani niczego nie można udawać. Wszystkie sprawy są w niej wspólne, bowiem zachowanie każdego z jej członków wpływa na zachowanie każdego innego i samo, z kolei, ulega modyfikacji pod wpływem zachowania się tych innych.

Więc jeszcze raz podkreślam, że rodzina to **system**, w którym wszystko ze wszystkim się łączy i wszyscy wpływają na wszystkich. W dodatku jest to system **homeostatyczny**, czyli – jak termostat w naszej lodówce – dążący do utrzymania stanu pewnej równowagi poprzez kompensowanie zmian w jednych elementach za pomocą zmian w innych. Oznacza to, że każda rodzina dąży, mniej lub bardziej świadomie, do utrzymania stałości swojej sytuacji wewnętrznej (np. równowagi sił pomiędzy domow-

nikami będącymi w konflikcie, podziału władzy, wpływów, obowiązków itp.) i w zasadzie jest oporna wobec wszelkich prób zmiany tej sytuacji.

Przedstawiony powyżej sposób funkcjonowania systemu rodzinnego pozwala lepiej zrozumieć, co to znaczy, że rodzina jest najważniejszym **kontekstem społecznym** w zachowaniu się jej członków. Zilustruję to znów na przykładzie małego dziecka.

System rodzinny, ze względu na wspomnianą już bezradność i zależność dziecka od innych ludzi, oddziałuje na nie ze szczególną siłą, powodując, że zachowanie dziecka jest niemal w stu procentach zdeterminowane przez rodzinę (szczególnie, oczywiście, przez rodziców). Z czasem, co prawda, powiększa się ilość „niezależnych i samorządnych” zachowań potomka, ale i tak, aż do okresu dorastania (kiedy nabiera znaczenia rola grup rówieśniczych), prawie każdy jego postępek jest warunkowany przez układ rodzinny. Oznacza to, że nie można w pełni poznać dziecka bez poznania jego rodziny oraz że rozmaite niepokojące, niezrozumiałe czy dziwaczne jego zachowania stają się zrozumiałe po osadzeniu ich w „rodzinnym kontekście”.

A oto wspomniany przykład.

Jakiś czas temu zgłosiła się do mnie młoda kobieta, uskarżając się, że jej pięcioletni synek, odkąd pojawiło się w domu drugie dziecko, bardzo się zmienił. Zaczął z powrotem moczyć się do łóżka, mimo że od trzech lat nie było już z tym problemów, stał się złośliwy, niegrzeczny i absorbujący, a ponadto, co najbardziej zaniepokoiło rodziców, wielokrotnie w ciągu dnia głośno krzyczał lub długo płakał bez widocznego powodu, wypowiadał sam do siebie dziwaczne teksty (np. „wyrzuc się do kosza na śmieci”), chował się w szafie lub innych ciemnych zakamkach.

„A przecież było to takie grzeczne dziecko i tak czekał na urodzenie się braciszka” – zakończyła swoją opowieść znękana matka.

Co innego czekać na braciszka, a co innego mieć go w domu. Pięciolatek najwyraźniej nie spodziewał się, że przybycie wyczekiwanego niemowlaka spowoduje aż takie zmiany. Bo oto ten nowy pochłania teraz prawie całą uwagę i troskliwość matki, przeznaczoną dotąd tylko dla niego (tata się tu mniej liczy, bo musi dużo pracować i niewiele bywa w domu). Ponadto matka, dotąd przyzwalająca wobec syna i cierpliwa, stała się bardziej wymagająca. Tłumaczy mu teraz, że już jest duży i powinien być bardziej samodzielny. Skończyły się igraszki z mamą i czytanie bajek przed snem, bo teraz mama każe się bawić wspólnie z tym nowym (ale przecież co to z nim za zabawy?), a wieczorem jest zbyt zmęczona i po krótkim „do-branoc” gasi światło.

Konstatując wszystkie te zmiany, chłopczyk prawdopodobnie doszedł do smutnego wniosku, że matka nie kocha go już tak jak dawniej, a jego zachowanie jest próbą zwrócenia na siebie uwagi i niejako przymuszeniem matki do powrotu w poprzedni układ. Najprawdopodobniej też chłopiec obwinia sam siebie za to, iż nie jest już tak dobry, aby zasłużyć na miłość mamy w uprzedniej formie i intensywności. Stąd jego samopotępiające wypowiedzi – „wyrzuc się do kosza na śmieci”. Wszystko wskazuje również na to, że zaczął się moczyć do łóżka, bo zaobserwował, iż zmoczenie się brata wywołuje wzmożoną uwagę matki i liczne jej zabiegi wokół małego, do których on sam tęsknił. Do szafy chował się, bo pragnął, by matka go poszukiwała, niepokoiła się o niego i cieszyła z odnalezienia. I tak dalej.

Jak widać, wszystkie niepokojące, a nawet dziwaczne na pierwszy rzut oka, zachowania chłopca dają się wytłu-

maczyć i zrozumieć po umieszczeniu ich w aktualnym kontekście rodzinnym, od którego są w pełni uzależnione. Dodatkowym dowodem, że tak jest w istocie, były zmiany w zachowaniu dziecka, jakie nastąpiły w wyniku zmiany postępowania matki. Poradziłem jej, żeby dwa razy dziennie (najlepiej po nakarmieniu młodszego dziecka) poświęciła pół godziny na „pobycie” ze starszym synem. Owo „pobycie” mogło przybrać formę po prostu tak przez dzieci lubianych pieszczot i „przewalank” albo zabawy „w małe dziecko”, podczas której matka pozwoliłaby chłopcu na „dziecinne zachowania”. Zasugerowałem też, aby następne 15-20 minut przeznaczyła na chwilę zabawy, przeczytanie bajki lub po prostu na ukołysanie syna do snu, kiedy będzie już w łóżku.

Po trzech tygodniach nastąpiła radykalna poprawa w zachowaniu chłopca. I pomyśleć – kosztem tylko 75 minut.

Oczywiście, zachowanie dorosłych czy młodocianych członków rodziny także, choć nie w tak wielkim stopniu jak u małego dziecka, jest uwarunkowane przez system rodzinny. Bez znajomości prawideł jego funkcjonowania nie sposób do końca zrozumieć zachowań ani dzieci, ani rodziców.

Idźmy więc dalej w poznawaniu tych prawideł i zastanówmy się – dlaczego system rodzinny jest **homeostacyjny**, czyli dlaczego rodzina nie lubi zmian?

Rozdział II

WSZYSCY ZE WSZYSTKIMI O WSZYSTKO, CZYLI CODZIENNA WOJNA DOMOWA

W **każdej** rodzinie toczy się nieustanna walka wszystkich ze wszystkimi o wszystko.

Zdaję sobie sprawę z tego, iż powyższe twierdzenie u wielu Czytelników wywoła niedowierzenie i sprzeciw. „W mojej rodzinie nikt z nikim nie walczy. To dobra i zgodna rodzina” – powiedzą. I będą mieli częściowo rację, bowiem tocząca się walka może nie przeszkadzać w tym, że rodzina jest generalnie zgodna i dobra. Mało tego – można, myślę, śmiało zaryzykować twierdzenie, że większość rodzin jest generalnie zgodna i dobra, a mimo to pomiędzy jej przedstawicielami rozgrywa się nieustannie codzienna wojna domowa. Popatrzmy uważniej na nasze rodziny, zadając sobie na razie pytanie raczej nie o to, czy wojna w ogóle ma miejsce, ile: o co ona może się toczyć. Ano, jak każda wojna, toczy się ona, po pierwsze, o terytorium.

Śmiem twierdzić, że nie ma takiego domu, w którym dzieci nie walczyłyby ze sobą o przestrzeń do życia i zabawy nawet wtedy, kiedy mają do dyspozycji dużo miejsca. Z moich doświadczeń wynika, że stałym przedmiotem konfliktów między rodzeństwem posiadającym od-

rębne pokoje jest wzajemne naruszanie cudzego terytorium. Dzieci nieustannie wchodzą do czyjegoś pokoju bez zgody lub pod nieobecność właściciela, „ruszają” jego rzeczy, przeszukują szafki i schowki, korzystają z urządzeń zastrzeżonych do wyłącznego użytku właściciela pokoju (np. z magnetofonu siostry czy elektrycznej temperówki brata) itd.

Rodzice niekiedy kilka razy dziennie słyszą skargi wykrzykiwane na zmianę przez swoje pociechy: „Mamo, on znów grzebał w moim biurku”, „Tato, ona znowu ruszała mój magnetofon”. I tak dalej. Bardzo często zamiast skarg padają poważne ostrzeżenia: „Jeżeli jeszcze raz wejdiesz do mojego pokoju, to popamiętasz” – wrzeszczy do siebie kochające się rodzeństwo. I wreszcie nierzadko ostrzeżenia przeradzają się w czyn, którego wynikiem są wyrwane włosy, podbite oczy oraz zgryzota rozdzielających walczące strony rodziców.

Sytuacja jest o wiele gorsza, kiedy dzieci dzielą wspólne terytorium. Kłótnie, awantury i bójki są wtedy właściwie na porządku dziennym. To zresztą nie przeszkadza, że poza opisanymi zdarzeniami dzieci potrafią się zgodnie bawić i prezentują liczne oznaki autentycznego do siebie przywiązania.

Na tym jednak nie koniec. Dzieci bowiem, szczególnie małe (w wieku 3 – 10 lat), oprócz wewnętrznych niejako walk toczonych o oddaną im do dyspozycji przestrzeń, wykazują zgodną tendencję do ekspansji na terytorium rodziców. Do ich pokoju, a nawet do kuchni czy przedpokoju stopniowo przenoszone są zabawki. Najlepiej też, jak wiadomo, rysuje się czy odrabia lekcje nie na własnym biurku, ale na biurku taty lub na kuchennym stole. A najprzyjemniej jest np. jednocześnie wycinać i słuchać, o czym mama z tatą rozmawiają.

Niejednokrotnie rodzice orientują się w skali zjawiska

dopiero wtedy, gdy spostrzegą, że wolna od dziecięcych rekwizytów i śladów działalności jest już tylko łazienka lub skrawek kuchni. Organizują zatem najczęściej akcję „odwojowania” swojego terytorium.

Zabawki zostają pozbierane i usunięte do pokoju albo kącabia pociech, a sam pokój podlega „odgruzowaniu” i uporządkowaniu. Towarzyszy temu zazwyczaj skierowana do dzieci pedagogiczna pogadanka na temat tego, co się z nimi stanie, jeżeli znów będą „rozwłóczyć zabawki po całym mieszkaniu i robić bałagan w swoim pokoju”. Po czym za dzień lub dwa wszystko zaczyna się od nowa.

Walka o terytorium rozgrywa się oczywiście nie tylko pomiędzy dziećmi czy pomiędzy dziećmi i rodzicami. Również rodzice walczą o to pomiędzy sobą. Niemal w każdym domu jest jakieś uprzywilejowane miejsce (np. ulubiony fotel albo kącik kanapy), którego posiadanie jest przedmiotem rodzicielskiej rywalizacji. To samo dotyczy rozlokowania rzeczy w szafach, szafkach i pawlaczach – czy pory i czasu użytkowania łazienki. Niekiedy rodzice starają się o jakieś swoje całkowicie prywatne i niedostępne reszcie rodziny schowki, co też bywa powodem wzajemnych pretensji i sporów. Zresztą jest to i tak daremny trud, bowiem, zgodnie ze znanymi nam już częściowo prawidłami funkcjonowania rodziny jako systemu, nie da się w niej ukryć nawet własnego bólu głowy, a cóż dopiero schowka. Najczęściej więc o tym, że ma świetny schowek, jest przekonany tylko jego właściciel, podczas kiedy reszta rodziny swobodnie, choć ostrożnie, w nim buszuje.

W wojnie domowej o terytorium stosowane są przeważnie trzy strategie. Dzieci w walkach pomiędzy sobą najczęściej posługują się metodą „globalnej konfrontacji”, a w walkach z rodzicami preferują strategię „małych kroków”. Rodzice natomiast najchętniej używają sposobu „desant na tyły wroga”, według np. takiego scenariusza:

Żona do męża wracającego z kilkudniowej delegacji:
„Wiesz, doszłam do wniosku, że twój gabinet oddamy Pawłowi. W końcu ma już trzynaście lat i trudno, żeby wciąż mieszkał z mamą. Właśnie przestawiliśmy meble i wyobraź sobie – twoje biurko doskonale zmieściło się obok naszego tapczana”.

Po drugie – oprócz terytorium – codzienna wojna domowa toczy się o wszelkie posiadane przez rodzinę dobra materialne. Znow twierdzę, że nie istnieje taka rodzina, w której rodzeństwo, w zbliżonym do siebie wieku, nie walczyłoby o zabawki, łakocie, książki, kredki, piłki, kamyki i wszystkie inne rzeczy będące ich własnością. Pamiętam, ilustrującą tę prawidłowość, charakterystyczną scenę zaobserwowaną kiedyś w sklepie. Oto matka w otoczeniu dwójki dzieci (chłopiec około 5, dziewczynka około 7 lat) na zakończenie zakupów funduje im dwa identyczne lizaki. Pocięchy chwytają słodczyce, oglądają bacznie – i zaczyna się:

„Ja chcę tamtego” – wykrzykuje chłopiec, wskazując lizaka siostry.

Ta oczywiście chowa swoją zdobycz za plecy i ani myśli się wymienić.

„Ależ one są takie same” – tłumaczy zażenowana matka.

„Ale ja chcę tamtego” – wrzeszczy chłopiec na granicy płaczu.

„Wymień się z nim, Kasiu. Przecież one i tak są identyczne” – prosi matka dziewczynkę. Teraz Kasia ma łzy w oczach.

„Nie chcę – woła, wciskając do kieszeni nieszczęsnego lizaka – ja chcę mieć **swojego**”.

„Ja chcę tamtego – ryczy już otwarcie chłopiec. – Niech ona mi da”.

Zawstydzona rozgrywającą się na oczach innych klien-

tów sklepu sceną, matka znajduje w końcu salomonowe rozwiązanie:

„Proszę mi oddać **oba** lizaki” – syczy wściekle, zabierając dzieciom słodycze. Rodzeństwo opuszcza sklep, zgodnie zanosząc się od płaczu.

Tak to jest. Do pewnego wieku wszystko to, co przypada bratu lub siostrze, wydaje się lepsze, ładniejsze, smaczniejsze. Jak tu więc nie próbować tym zawładnąć?

Nieco inna sytuacja jest w tych mniej typowych rodzinach, gdzie istnieje duża rozpiętość wieku pomiędzy rodzeństwem (powiedzmy 8 – 10 lat). Tam walka o dobra materialne pomiędzy dziećmi raczej nie przyjmuje postaci bezpośredniej konfrontacji. Rozgrywa się najczęściej za pośrednictwem rodziców, do których adresowane są oskarżenia obu stron o niesprawiedliwą dystrybucję. Na przykład siedemnastoletni syn otrzymuje upragniony komputer, na co jego siedmioletni brat reaguje wielogodzinnym rykiem i spazmami, domagając się od rodziców takiego samego. Kiedy indziej zaś siedemnastolatek woła z oburzeniem: „Dla mnie nie ma pieniędzy na adidas, ale na kolejne klocki »Lego« dla tego gnojka zawsze się znajdują”. I tak dalej.

Z czasem walka o rzeczy powoli przemieszcza się na płaszczyznę pomiędzy dziećmi i rodzicami. Jest to okres, w którym córki zaczynają nosić ubrania o rozmiarach podobnych do rozmiarów matek i eksperymentować z kosmetykami, a synowie pragną przejechać się ojcowskim samochodem i zakładają krawat (oczywiście nie swój) na pierwsze poważne prywatki. Stąd stałe spory i utarczki o bluzkę, rajstopy, spódnicę, krawat, kluczyki do samochodu i mnóstwo innych jeszcze rzeczy, o których rodzice myśleli dotąd, że są ich wyłączną własnością, nie przypuszczając, iż we własnym potomstwie dochowali się konkurentów aspirujących do ich używania.

Przedmiotem wewnątrzrodzinnej walki jest też jedzenie. Może się to wydać zaskakujące, ale zauważmy, że w **każdej** rodzinie indywidualne wyżeranie z lodówki czy spiżarni jest ścigane i tępione. Zazwyczaj w rodzinie jest „szef organizacyjno-gospodarczy” (najczęściej matka), który decyduje co, kiedy i w jakiej ilości domownicy będą spożywali. Wyłamanie się spod władzy „szefa” – może to mieć miejsce powiedzmy wtedy, kiedy jeden z członków rodziny zje parówki przeznaczone na wspólną kolację – powoduje represje ze strony tegoż w postaci np. wykluczenia winowajcy z udziału w naprędce organizowanym zastępczym posiłku, skwapliwie wspierane przez resztę pokrzywdzonych.

Po trzecie wreszcie, codzienna wojna domowa toczy się o tak zwane „dobra psychologiczne”. Należą do nich miłość, uwaga, zainteresowanie, prestiż, władza, autonomia itp. W **każdej** rodzinie dzieci są zazdrosne o siebie i rywalizują pomiędzy sobą o miłość, zainteresowanie i uwagę rodziców, która zaspokaja ich potrzebę bezpieczeństwa. Im młodsze są dzieci, tym rywalizacja ta jest bardziej otwarta. Małe dzieci (do 10 roku życia) jawnie się np. przechwalają, usiłując przy tym zdyskredytować siostrę lub brata, otwarcie skarżą i donoszą na siebie, zdradzają rodzicom powierzone im przez rodzeństwo tajemnice, niszczą najrozmaitsze wytwory rodzeństwa, których wykonaniem zasłużyło sobie ono na aprobatę rodziców, czy wreszcie wprost domagają się od matki czy ojca czułości i uwagi większej od tej, którą obdarzyli pozostających.

Przypomnijmy sobie, ile razy dziennie słyszymy od naszych dzieci: „Mamo, popatrz, ja już założyłem buty, a Kasia jeszcze się grzebie”, „Mamo, Jasiak powiedział, że ciocia Hela wystroiła się wczoraj jak szczur na otwarcie kanału”, „Mamo, Kaśka mi się przyznała, że zjadła liść od fikusa”, „Mamo, on podarł ten portret kota, który dla cie-

bie narysowałam”, „Mamo, nie idź do tej wstrętnej Kaśki, posiedź jeszcze przy mnie”. I tak dalej. Ileż nieklamanej miłości i cierplivej dyplomacji potrzeba nieraz, aby nie wrzasnąć w końcu: „A dajcież wy mi święty spokój!”.

Oczywiście, rywalizacja dzieci o nasze względy ma też swoje dobre strony. Można ją mianowicie wykorzystać do szybkiego osiągnięcia efektów (inna sprawa, czy będą to efekty trwałe), które na ogół wymagają żmudnej wychowawczej pracy. Któż z nas rodziców oparł się pokusie, by – zamiast systematycznie wdrażać dzieci np. do punktualności – ułatwić sobie życie, rzucając hasło do „pozytywnej rywalizacji”: „No, dzieci, liczę do dziesięciu. Kto pierwszy będzie ubrany, ten jest najdzielniejszy”.

W miarę dorastania te dziecięce rywalizacje o nasz uśmiech, pocałunek, pochwałę czy po prostu o lepszy z nami kontakt stają się mniej jawne. Wysubtelniają się, nabierając czasami makiawelicznego wyrachowania i przebiegłości w snuciu skierowanych przeciwko sobie intryg. No i już nie tak łatwo podpuścić starsze pociechy do tej, co to wy wiecie, a ja rozumiem, „pozytywnej rywalizacji”.

O miłość, zainteresowanie i uwagę rodziców dzieci walczą oczywiście nie tylko pomiędzy sobą. Przedmiotem ich zazdrości i rywalizacji są także sami rodzice. Każdy syn czy córka rywalizuje z ojcem o uwagę i czułość matki, a z matką o uznanie i zainteresowanie ojca. I znowu przypomnijmy sobie te rozliczne sytuacje, kiedy niewinnie nawet całując lub obejmując męża czy żonę, musieliśmy się godzić z obecnością „przyzwoitki” w postaci gwałtownie wpychającego się pomiędzy nas potomka. Albo te urocze chwile, gdy nasze dziecko przerywa nam interesującą rozmowę, wtrącając swoje „trzy grosze” lub żądając jeść, pić, siusiu itd. Czy wreszcie te noce, kiedy słyhać – czasem w najbardziej nieodpowiednim momencie – tupot ukochanych małych stópek i nasza pociecha

łąduje z ulgą pomiędzy nami w naszym łóżku. Dla niejednego małżeństwa taki wędrujący po nocy synek czy córeczka bywa – jak to określiła jedna z moich pacjentek – najbardziej naturalnym środkiem antykoncepcyjnym.

Aby zapobiec groźnym, z punktu widzenia emocjonalnych interesów dzieci, chwilom bliskości pomiędzy rodzicami i zwrócić uwagę na siebie – dzieci posługują się całą gamą środków i sposobów. Od normalnej przymilności poprzez szantaż, symulację choroby, aż do najbardziej bodajże skutecznego robienia rozmaitych „numerów” i niegrzecznego zachowania. Każde małe dziecko dosyć szybko uczy się, że w zasadzie nie jest opłacalne „być grzecznym”, czyli cicho i spokojnie zajmować się kulturalną zabawą, czytaniem, nauką lub czymkolwiek innym tego rodzaju. Cóż bowiem się wtedy dzieje? Ano, uszczęśliwieni darem losu w postaci odrobiny spokoju, rodzice rzucają się w te pędy do swoich spraw, przestając zwracać uwagę na dziecko. A jeśli nie zwracają uwagi, to może przestali kochać albo kochają mniej niż wczoraj? Żeby przerwać tę dręczącą niepewność, wystarczy wykonać dowolny „numer” – coś stłuc, wylać, przewrócić, pobić brata, biegać z krzykiem po mieszkaniu, ciągnąć psa za ogon, zsikać się w majtki itd. I już od razu rodzice porzucają swoje sprawy, biegną zobaczyć, co się przewróciło, co stłukło, pocieszają psa, zmieniają majtki, no i oczywiście skupiają swoją uwagę i zainteresowanie na dziecku. A przecież o to chodzi. Rzadko którym rodzicom przychodzi do głowy zainteresować się potomkiem właśnie wtedy, kiedy jest greczny – podejść, zagadnąć, pobyc chwilę razem, posłuchać dziecka, popatrzeć na to, co robi. Dlatego nie oplaca się być grzecznym. Grzeczni są bowiem zazwyczaj samotni, opuszczeni i zapomniani, podczas gdy wokół niegrzecznych zawsze jest ruch, zainteresowanie i czujna uwaga rodziców.

O miłość, czułość, uwagę i zainteresowanie walczą też pomiędzy sobą rodzice. Jedno chce zazwyczaj zmusić drugie do świadczenia wyrazów czułości, oddania i troski oraz do podziwu i uznania wobec swoich dokonań. Wyraża się to najczęściej w różnych odmianach znanej gry w „moje nieszczęście większe niż twoje”, kiedy powstają takie oto typowe małżeńskie dialogi:

On: (atakuje) Miałem dziś fatalny dzień. Jestem koszmarne zmęczony.

Ona: (odpiera atak i przechodzi do kontrnatarcia) A myślisz, że ja to odpoczywałam? Jeszcze w dodatku po pracy musiałam jechać z Michałem na basen, bo zostawił tam sweter.

On: (wyciąga ostatniego asa) Wiesz, chyba znów odzywa się moje naciśnienie. Dzisiaj miałem krwotok z nosa. Moi pracownicy bardzo się przejęli.

Ona: (przebija superasem) Och! Mówiłam ci przecież, żebyś poszedł do lekarza. Mój doktor już dawno ostrzegł mnie, że przy stanie mojego serca powinnam zmniejszyć tempo.

On: (pozbawiony atutów toczy bój obronny) Boże, napiłbym się gorącej herbaty i poszedł spać.

Ona: (uskrzydłona powodzeniem atakuje ze zdwojoną siłą) Ja też. A w dodatku ten mój doktor mówił, że dobrze zrobiłby mi codzienny masaż stóp przed snem, żeby zapobiec ich niedokrwieniu.

On: (poddaje się i przegrywa) No dobrze, zaparzę herbatę, a potem zrobię ci ten masaż.

Ona: (kwituje wygraną) Och! Jaki ty jesteś kochany. Zrób też dla mnie herbatkę, ale tę ziołową.

Na tego rodzaju stosunkowo niewinnych potyczkach sprawa się oczywiście nie kończy, bowiem rodzice toczą poza tym poważniejsze boje o znaczenie, prestiż i, przede wszystkim, o władzę w rodzinie. Walki te to jeden z new-

ralgicznych procesów w stosunkach małżeńskich i rodzinnych, decydujących w znacznym stopniu o strukturze i funkcjonowaniu rodziny. Ale o tym dokładniej w następnym rozdziale. Na razie odnotujmy tylko, że – w różnych formach – zmagania o władzę pomiędzy rodzicami obecne są w każdej rodzinie. Sakramentalne pytanie – kto tu rządzi? – pada w naszych rodzinach nieraz kilka razy dziennie, ponieważ oboje małżonkowie dążą do monopolu na podejmowanie istotnych decyzji. Czasami dzieje się w tej sprawie tak jak w starym dowcipie, kiedy zdenerwowany domowym chaosem ojciec wali w końcu pięścią w stół, wołając: „Kto tu rządzi?”. I widząc wlepione w siebie kamienne spojrzenie żony, dodaje: „Co? Zapytać nie można?”. Wtedy sprawa jest jasna, a struktura władzy w rodzinie jednoznaczna. Niestety, jednak znacznie częściej na owo pytanie oboje rodzice odpowiadają: „Ja!”. Stąd zdarzające się niemal w każdej rodzinie spory kompetencyjne pomiędzy rodzicami, wzajemne uchylanie swoich zarządzeń, wzajemne podważanie autorytetu wobec dzieci itd., co nierzadko prowadzi do sytuacji, kiedy ostatecznym argumentem w rozgrywce „władców rodziny” stają się różne formy przemocy oraz odporność psychiczna, pozwalająca tę przemoc zastosować.

Oprócz rodziców do współzawodnictwa o władzę w rodzinie włączają się także dzieci. Dzięki odpowiedniemu układowi sił pomiędzy domownikami oraz dzięki pewnym zbiegom okoliczności dziecko może dokonać „zamachu stanu” i objąć rzeczywistą władzę nad całym systemem rodzinnym. Jak może do tego dojść, opowiem w rozdziale piątym. Na razie zaś skonstatujmy, że trwająca ustawicznie w każdej rodzinie codzienna wojna domowa wszystkich ze wszystkimi o wszystko jest faktem. Jak każda wojna domowa, jest ona zazwyczaj wyjątkowo krwawa i okrutna chociażby przez to, że ścierają się ze

sobą przeciwnicy doskonale znający swoje słabe punkty. Nikt przecież nie potrafi nas tak celnie ugodzić i tak boleśnie zranić jak własna żona, mąż czy dziecko. Ponadto w naszych domach, będących przecież azylami prywatności, nie obowiązują hamulce społeczne działające na zewnątrz rodziny. Toteż kłótnie, awantury i starcia rodzinne bywają o wiele bardziej burzliwe i brutalne od tych, które mogą nam się zdarzyć na ulicy, w sklepie czy w miejscu pracy. Potwierdzają to statystyki kryminalne, z których wynika, że największa ilość bójek, pobić, uszkodzeń ciała, a nawet zabójstw ma miejsce właśnie w rodzinach.

Wynikiem codziennej wojny domowej jest ukształtowanie się w rodzinie stanu **dynamicznej równowagi**. Z czasem każdy z członków rodziny wywalcza sobie jakieś własne terytorium, uzyskuje niezaprzeczalne tytuły własności co do niektórych dóbr oraz osiąga pewną pozycję i wpływy. Następuje względne zrównoważenie sił, w którym interesy wszystkich są w miarę zaspokojone, a przyszłość jako tako przewidywalna. Pozostaje tylko stała czujność i walki toczone w obronie osiągniętych zdobyczy. Dlatego właśnie jest to równowaga dynamiczna, że walki o jej utrzymanie nie ustają praktycznie nigdy. Przypomina ona jakąś misterną konstrukcję, utrzymywaną w swoim kształcie poprzez stałą grę działających w niej, wzajemnie się równoważących sił, obciążeń i naprężeń. Jakakolwiek zmiana w układzie tych sił, nie kontrolowany wzrost obciążenia czy nieprzewidziane naprężenia materiału mogą spowodować natychmiastowy rozpad i zniszczenie całej konstrukcji. Dlatego też żaden z członków systemu rodzinnego nie chce dopuścić do zmian w jego funkcjonowaniu, każda bowiem zmiana grozi zaburzeniem osiągniętej równowagi i powrotem do wszechogarniającej wojny o nową. Wynikiem tych dążeń jest wspomniana już wcześniej homeostaza rodzinna i wyni-

kająca z niej oporność rodziny na wszelkie zmiany w jej życiu. Powoduje ona, że w wielu rodzinach, mimo zgodnej opinii wszystkich członków na temat konieczności zmiany jakiejś powtarzającej się sytuacji lub czyjegoś sposobu zachowania się, w istocie żadna zmiana nie następuje, a nieskuteczne rozwiązania wychowawcze czy destrukcyjne sposoby rozładowywania konfliktów, nawet gdy wszyscy są świadomi ich nieużyteczności, powtarzają się latami.

W następnym rozdziale o tym, jak system rodzinny podtrzymuje ustaloną równowagę.

Rozdział III

WSZYSTKO DA SIĘ PRZEWIDZIEĆ, CZYLI SEKWENCJE RODZINNE

Jedną z gwarancji zachowania ustalonej w rodzinie równowagi jest powtarzalność, a co za tym idzie, przewidywalność mogących w niej zaistnieć zdarzeń i sytuacji. Każdy system rodzinny dąży więc do ograniczenia liczby tych zdarzeń i sytuacji oraz przeciwdziała pojawianiu się nowych. Każde bowiem nowe wydarzenie czy splot okoliczności może być tą zmianą, która zburzy dotychczas panujący układ sił. W praktyce oznacza to wywieranie przez członków rodziny rozmaitych wzajemnych nacisków, aby sprowadzić swoje funkcjonowanie i stosunki do ściśle określonego, powtarzającego się repertuaru zachowań i sytuacji interpersonalnych. Celem tych zabiegów jest uczynienie zachowania się każdego z domowników przewidywalnym i, w pewnych ramach, stałym, co gwarantuje, iż nie nastąpi żadna nagle zaskakująca zmiana, która zagrozi ustalonej równowadze. Mówiąc inaczej, każdy system rodzinny dąży do pewnej rytualizacji swojego funkcjonowania i zachowania się swoich członków.

Pierwszy stopień tejszy rytualizacji stanowią ogólne, będące dziedzictwem podkultury, z której wywodzi się rodzina (np. wiejskiej, śląskiej, kaszubskiej itp.), formy i

zasady zachowania panujące w danym domu. Chodzi tu przede wszystkim o przepisy wewnątrzrodzinnego *savoir vivre*’u, a więc np. o formę zwracania się do siebie, o używanie zwrotów grzecznościowych, o pozdrawianie się, witanie, żegnanie, o zachowanie się przy gościach i w gościach, o to, co można powiedzieć głośno, a co tylko po cichu itd.

Na tę ogólną matrycę nakładają się z czasem indywidualne upodobania i predyspozycje poszczególnych członków rodziny, ich temperament, usposobienie i charakter. Daje to w wyniku drugi stopień rytualizacji, czyli wytworzenie się znanego wszystkim indywidualnego sposobu zachowania się każdego z domowników. Sprawia on, że w naszych rodzinach na ogół wiemy z góry, jak kto zachowa się w danej sytuacji. Na przykład ojciec, wchodząc do domu po pracy, zawsze narzeka na bałagan w przedpokoju. Wiadomo też, że np. trzpiotowata Kasia, wracając ze szkoły, woła na cały głos: „Cześć”, jeszcze stojąc na klatce schodowej, a roztargnionego Marka trzeba przywoływać do porządku sakramentalnym: „A dzień dobry to za drzwiami?”. Wszyscy wiedzą również, że gdy przyjdą goście, Kasia będzie brylować przy stole, a Marek zaszyje się w swoim pokoju, że Marek obraża się o byle co, a Kasia nie obraża się nigdy, że Marek je bardzo powoli, nie roniąc ani okruszka, a Kasia połyka jedzenie błyskawicznie, rozrzucając kawałki nawet po podłodze – itd.

Wiadomo też doskonale (szczególnie dzieciom będącym znakomitymi obserwatorami), jak w określonych sytuacjach zachowują się mama i tata. Rodzice wytwarzają poza tym pewne rytualne zachowania regulujące wyłącznie ich wzajemne stosunki i przeznaczone tylko dla siebie nawzajem. „Kiedy moja żona zaczyna się gorączkowo krzątać po domu, wyrzekając na nieporządki, wiem, że ma do mnie pretensje i że w czymś jej podpadłem” – stwier-

dził kiedyś jeden z moich pacjentów. A inna pacjentka wyznała: „Zawsze poznaję, czy będziemy mieli z mężem seks, po tym, jak on wieczorem myje zęby”.

Krótko mówiąc, w każdej rodzinie wszyscy nawzajem potrafią przewidzieć swoje zachowanie w większości zdarzających się i możliwych do przewidzenia sytuacji.

Wraz z dalszym upływem czasu każdy system rodzinny osiąga trzeci stopień rytualizacji, czyli wytworzenie się oryginalnego, charakterystycznego dla danej rodziny stylu życia. Składają się nań wciąż powtarzające się ciągi powiązanych ze sobą sytuacji, zachowań i reakcji domowników, zwane „sekwencjami rodzinnymi”. Nierzadko towarzyszy im specjalny „wewnętrzny język” odezwań się, cytatów i znaczeń, stworzony przez rodzinę i zrozumiały tylko dla jej członków. Nawiązuje on do wspólnych rodzinnych doświadczeń, rodzinnej tradycji, znaczących zdarzeń z życia rodziny i charakterystycznych wypowiedzi tworzących ją osób.

Aby dokładniej zrozumieć, czym w istocie są sekwencje rodzinne, przyjrzyjmy się „sekwencji porannego wstawania w niedzielny poranek”, funkcjonującej w rodzinie jednego z moich pacjentów.

„W każdą niedzielę – wspominał on – moja matka jak zwykle wstawała pierwsza i zaczynała się krzątać wokół śniadania. Po pewnym czasie, już ubrana, wchodziła do pokoju, który dzieliłem z młodszą siostrą, i wołała: »Pobudka, wstawać, dziś niedziela«. Oznaczało to, że możemy z siostrą jeszcze poleżeć. W drodze powrotnej do kuchni budziła ojca zawsze w ten sam sposób: »Maryś (ojciec ma na imię Marian), kawa« (kiedy byli w dobrych stosunkach) albo »kawa gotowa« (kiedy byli pokłóceni). Ojciec niezmiennie pytał wtedy, która godzina, a matka podawała mu dokładny czas i wracała do przygotowywania śniadania. Bardzo zawsze uważaliśmy z siostrą na

pierwsze słowa wypowiedane przez ojca po wstaniu z łóżka. Jeśli mówił ze śmiesznym, lwowskim akcentem:

*W imię Ojca i Syna,
Znowu dzień się zaczyna,
Bogu niech będą dzięki,
Skończyły się nocne lęki.*

– znaczyło to, że ma dobry humor. Ta zabawna niby-modlitwa była podobno autorstwa naszej nieżyjącej już babci ze strony mamy. Jeśli zaś ojciec wolał do nas: »Co to, przyrośliście do łóżek?«, albo gdy nic nie mówił, oznaczało to raczej podły nastrój. Następnie ojciec szedł do łazienki, gdzie mył się i golił. Matka w tym czasie przychodziła do naszego pokoju, aby przygotować nam ubrania. I znów – jeśli pytała nas, w co się chcemy ubrać, oznaczało to jej dobry nastrój, jeżeli zaś przygotowywała je w milczeniu – lepiej było nie wchodzić jej w drogę. W łóżkach wolno nam było pozostać aż do momentu wyjścia ojca z łazienki. Wtedy była moja kolej na mycie się. Ostatnia myła się siostra, w czym pomagała jej matka. Następnie matka czesała siostrę. W tym czasie ojciec pił w kuchni kawę, a ja mu towarzyszyłem. Były to bardzo fajne chwile. Gadaliśmy sobie poważnie o różnych rzeczach, podczas gdy z pokoju dochodziły wrzaski siostry i zdenerwowany głos strofującej ją matki. Potem wszyscy siadaliśmy do stołu w kuchni, przy czym my z siostrą i ojciec w piżamach. Był to nasz niedzielny przywilej. Śniadanie trwało zazwyczaj długo. Jedliśmy powoli, rozmawiając o zdarzeniach z całego tygodnia i żartując. Ja i siostra szczególnie dobrze czuliśmy się, jeśli rodzice byli zgodni, weseli i odprężeni. Strasznie zresztą te śniadania lubiliśmy. Kończyła je zawsze matka, wstając od stołu ze słowami: »No, ludzie, czas zacząć żyć«. Wtedy szliśmy się ubierać.

Jak daleko sięgam pamięcią w dzieciństwo i wczesną młodość, wszystkie lub prawie wszystkie niedzielne poranki w moim domu miały taki przebieg”.

Na podstawie tego opisu możemy dokładniej zdefiniować sekwencje rodzinne jako ciągi zawsze takich samych lub bardzo podobnych zdarzeń i sytuacji interpersonalnych, powiązanych ze sobą i następujących w ściśle określonej kolejności. Różne zdarzenia i różne sytuacje układają się w różne ciągi. Dlatego też w każdej rodzinie istnieje wiele różnych sekwencji. Oprócz „sekwencji wstawania w niedzielny poranek” będzie to np. „sekwencja porannego wstawania w dzień powszedni”, „sekwencja rodzinnego obiadu”, „sekwencja rodzinnej kłótni”, „sekwencja sprzątanía mieszkania”, „sekwencja układania się do snu”, „sekwencja odwiedzin znajomych”, „sekwencja powrotu rodziców z wywiadówki” i wiele jeszcze innych. Obok spotykanych w większości rodzin (choć zawsze odmiennych od siebie i oryginalnych) sekwencji związanych z rozkładem dnia (wstawanie, obiad, układanie się do snu itp.) jest też oczywiście mnóstwo sekwencji wybitnie oryginalnych, charakterystycznych tylko dla jednej jedynej rodziny, jak choćby ta, opisana przez moją nastoletnią pacjentkę – „sekwencja wizyty cioci Heli”.

„Ciocia Hela, starsza siostra mojego taty, wpada do nas zawsze bez uprzedzenia, najczęściej około 16.00 – 17.00. Już od drzwi obwieszcza, że zostanie tylko chwilę, bo właśnie była niedaleko naszego domu załatwiać takie czy inne sprawy i pomyślała, że dobrze byłoby zobaczyć bracia. Taty najczęściej jeszcze wtedy nie ma w domu, co nie przeszkadza cioci rozsiać się w pokoju. Mama zawsze pyta ją, czy może coś zje albo wypije. Ciocia gwałtownie dziękuje: »Ależ daj spokój, jestem już po obiedzie, no, chyba że macie coś dobrego« – po czym wysłuchuje sprawozdania mamy na temat tego, co było na obiad. Za-

wsze też coś jej przypada do gustu i wtedy mówi np.: »O! Pierogi z serem. Dawno nie jadłam. To może zjem kilka«. Mama z oczami wzniesionymi do góry, co u niej oznacza: Boże! Daj mi cierpliwość, podaje talerz pierogów, które ciocia pałaszuje w przyzwoitym tempie, dogadując przy tym, ot tak sobie, do nikogo, np.: »Twardawe te pierogi. I ser mało słodki. Pewnie kupione w garmażerii. A pierogi to najlepiej zrobić samemu. Te gotowe nigdy nie smakują jak domowe...« itd. Podobne uwagi odnoszą się zresztą do kurczaka (coś za suchy), do kotletów schabowych (za dużo panieru), do wątróbki (trochę gumiasta). Po jedzeniu ciocia zapala papierosa, rozgląda się nieodmiennie i mówi: »Kiedy wy się weźmiecie za remont tego mieszkania. Przecież to nora«. Mama nieodmiennie bąka coś o braku pieniędzy. Ciocia: »Jak to nie macie pieniędzy? Przecież oboje pracujecie, a Marek (czyli tata) nieźle zarabia. To jak wy się gospodarzycie?«. I tu następuje zawsze ta sama opowieść o tym, jak to ciocię, mimo że ma mniej pieniędzy od nas, stać na wszystko (w tym i na remont mieszkania), bo się dobrze gospodarzy. Mama, aby skończyć te znane nam na pamięć wywody, proponuje kawę. Ciocia oczywiście odmawia, bo przecież wpadła tylko na chwilę, ale w końcu daje się namówić. Przy kawie zawsze zabiera się do mnie. Krytykuje mój strój, uczesanie, szkołę, którą wybrałam itp. Przestrzega też mamę, żeby mnie krótko trzymała, bo teraz dziewczęta się zupełnie nie szanują. Po wypiciu kawy jest jeszcze druga kawa, aż wreszcie ciocia stwierdza, że nie będzie już czekać na tatę i wpadnie innym razem. Wychodząc (po 3 lub 4 godzinach od przyjścia), zawsze mówi: »No, to do miłego zobaczenia«. Po jej wyjściu mama albo klnie (i to jest lepiej), albo płacze. Jeszcze nigdy wizyta cioci Heli nie przebiegła inaczej. A tata po wysłuchaniu naszej opowieści o tych uroczych odwiedzinach nieodmiennie mówi:

»No, może nie ma ona najłatwiejszego charakteru, ale musicie zrozumieć« – i tu włącza się mama: »Tak, tak, wiem – mówি – to przecież twoja jedyna siostra».

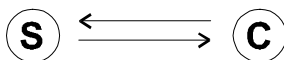
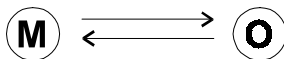
Jak pamiętamy, sekwencje rodzinne są przejawem homeostazy i służą utrzymaniu ustalonej równowagi. Za ich pomocą system rodzinny ogranicza zawsze niosącą ryzyko zmiany spontaniczność zachowania się swoich członków – na rzecz bezpiecznego rytuału i rutyny. Oczywiście, nie należy wyobrażać sobie w tym miejscu homeostazy rodzinnej jako ciemnej, abstrakcyjnej siły, tłamszącej swobodę podległych jej niewolników. To sami członkowie rodziny zainteresowani są sprawnym i niezakłóconym przebiegiem sekwencji rodzinnych, bowiem zabezpiecza to ich interesy w ramach wywalczonej w codziennej wojnie domowej równowagi sił. Sami też członkowie rodziny zwalczają i dyscyplinują tych spośród siebie, którzy zakłócają sekwencje rodzinne nieprzewidywanymi wyskokami. Zachowania któregokolwiek z nich, znacznie odbiegające od postępowania przewidzianego przez sekwencje rodzinne, budzą w rodzinie niepokój i najczęściej interpretowane są jako dziwaczne lub nienormalne. Homeostaza rodzinna nie znosi bowiem zbytnej oryginalności. Chyba że ktoś jest w danej rodzinie „zawodowym oryginałem”, a przejawy jego oryginalności mieszczą się w ramach sekwencji: „szokujące popisy rodzinnego enfant terrible na użytek tych, którzy ich jeszcze nie znają”.

W następnym rozdziale słów kilka o strukturze rodziny.

Rozdział IV

KTO Z KIM, CZYLI O STRUKTURZE RODZINY

Każdy system rodzinny składa się z dwu podsystemów – rodzicielskiego i dziecięcego. W skład podsystemu rodzicielskiego wchodzi, jak sama nazwa wskazuje – rodzice, a w skład podsystemu dziecięcego (zwanego też pod-



systemem rodzeństwa) – dzieci. Jest to podstawowa, a przy tym prawidłowa struktura normalnie funkcjonującej rodziny, którą graficznie możemy przedstawić tak (matka – ojciec; syn – córka):

Przy czym strzałki nie oznaczają tu sprzężeń zwrotnych (te istnieją zawsze pomiędzy wszystkimi członkami rodziny), ale – jeśli tak można powiedzieć – „nici porozumienia i współdziałania”.

Tym, co powoduje wyodrębnienie się owych podsystemów, jest wspólnota interesów dwu tworzących rodzinę generacji. Rodzice muszą ze sobą współdziałać i wspierać się wzajemnie, aby z jednej strony podołać spoczywającym na nich obowiązkom – opiece nad dziećmi i ich wychowaniu, utrzymaniu domu, zapewnieniu warunków do zaspokojenia przez członków rodziny swoich potrzeb itd. – a z drugiej strony, by stworzyć w rodzinie pewną „przestrzeń życiową” dla ich wzajemnej miłości, życia intymnego, odpoczynku czy zainteresowań i pasji. Dzieci, z kolei, zbliżają do siebie wspólne potrzeby rozwojowe oraz opór stawiany wychowawczym usiłowaniom rodziców.

Niemal od momentu przyjścia na świat niektóre interesy rodziców i dzieci są, można powiedzieć, strukturalnie sprzeczne. Prawidłowości i potrzeby rozwojowe popychają małe dzieci do ogromnej aktywności, ruchliwości i ciekawości. Pragną one intensywnie badać i poznawać otaczający je świat wszystkimi zmysłami (dla nich oczywiste jest badanie np. smaku piasku czy poznawanie dotykiem konsystencji i przydatności do zabawy – błota), aby zdobywać nowe i urozmaicone doświadczenia. Zmęczeni zaś rodzice najczęściej pragną odrobiny spokoju i nade wszystko boją się, że nieposkromiona ciekawość i aktywność narazi niedoświadczonego potomka na liczne niebezpieczeństwa. Stąd tendencja do hamowania jego żywotności i dążenie do tego, aby był „grzeczny”, czyli nie absorbujący uwagi i pozwalający rodzicom zająć się choć trochę swoimi sprawami. Szkopuł w tym, że, jak już wiemy, na grzeczne dziecko rodzice nie zwracają specjalnej uwagi, więc dzieciom nie opłaca się być grzecznymi. Okres dorastania z kolei popycha młode pokolenie do buntu przeciw rodzicielskiemu autorytetowi oraz do walki o samodzielność i autonomię, w której to walce młodzi ludzie są dla siebie nawzajem sojusznikami. Rodziców

zaś obawa o szeroko rozumiane bezpieczeństwo zrewoltowanego potomstwa, a także sprzeciw wobec nagłej utraty wpływu na jego postępowanie, popycha w kierunku współdziałania we wzmożeniu kontroli i nadzoru nad dziećmi. To staje się znów zarzewiem „konfliktu pokoleń” (o którym szerzej w drugiej części książki).

Jak więc widać, niemal permanentna rozbieżność interesów dzieci i rodziców w sposób naturalny czyni z jednych i drugich dwie najbardziej stabilne „koalicje” (lub, jak to wcześniej powiedzieliśmy – podsystemy) w systemie rodzinnym. Nie są to, oczywiście, koalicje jedyne. Tocząca się w każdej rodzinie codzienna wojna domowa, której poświęciliśmy już wcześniej nieco uwagi, w swojej „taktyce” opiera się właśnie na sojuszach (koalicjach) i zdradzie. Mamy tu do czynienia z sojuszami doraźnymi, sytuacyjnymi, a co za tym idzie – zmiennymi i mało stabilnymi. Nikt nie lubi walczyć samotnie, toteż każdy z nas – mając do „przepchnięcia” jakąś sprawę na forum rodziny – pilnie rozgląda się za sojusznikiem. Najbardziej pożądanym jest, rzecz jasna, sprzymierzeniec z naszego własnego podsystemu (drugi rodzic, gdy jesteśmy rodzicem) lub z podsystemu rodziców (gdy jesteśmy dzieckiem). Ale jeśli nie da się takiego sojusznika pozyskać, to w zasadzie dobry jest każdy inny „koalicjant”, choćby to było, w przypadku rodzica, dziecko, a nawet pies. Znana mi jest rodzina, w której bardzo silne „lobby” stanowi pan domu oraz należący do niego i okazujący mu szczególną admirację ogromny rottweiler.

Mając sojusznika, raźniej przystępujemy do naszej roszkryki, osiągamy to, o co nam chodzi, i sprzymierzeniec staje się zbędny. Jednocześnie pojawia się do „przewalczania” inna sprawa, w której bardziej pożądanym byłby inny „koalicjant”. Cóż więc robimy? Ano bez mrugnienia okiem zdradzamy dotychczasowego współnika i puszcza-

jąc go w trąbę, zawiązujemy nową koalicję. W praktyce wygląda to w sposób np. taki:

W określonej sprawie (powiedzmy dotyczącej zakupu nowych mebli do pokoju córki) nastoletnia córka i matka występują przeciwko ojcu, który uważa, że nie jest to najpilniejszy wydatek w ich rodzinie. Córka, czując wsparcie „koalicjantki” (matki), poczyna sobie dzielnie i atakuje ojca coraz ostrzej. Budzi to w pewnym momencie zaniepokojenie matki, która przewiduje, że w przyszłości ona sama może stać się obiektem takiego ataku. Zdradza więc córkę i przechodzi na stronę ojca, mówiąc:

„No dobrze, meble meblami, ale ty sobie tak w stosunku do ojca nie pozwalaj”.

Skonsternowanej zdradą matki córce opada przysłowiowa szczeka i zaprzestaje ataku. Daje to ojcu czas na zebranie myśli i dostrzeżenie szansy odegrania się na żonie za jej skierowany przeciwko sobie sojusz z córką. Zdradza więc chwilową koalicję z matką i przechodzi na stronę córki, mówiąc do żony:

„Czego ty od niej chcesz. Przecież ona tylko naśladuje w swoich wypowiedziach mamusię”.

Matka, wobec takiej zdrady, błyskawicznie wraca do sojuszu z córką i znów atakuje męża:

„Co by nie mówić, jest faktem, że ty nigdy nie dostrzeżasz jej potrzeb. Zawsze ci się wydaje, że dziecko obejdzie się byle czym”.

Teraz z kolei córka dostrzeżę okazję do zemsty na matce za popełnioną przed chwilą zdradę. Zdradza więc chwilową współpracę i przechodzi na stronę ojca, zwracając się do matki:

„To nieprawda! Tata zawsze stara się jak może, tylko ty nie pozwalasz mu nic zrobić po swojemu, bo wszystko musi się odbywać po twojej myśli”.

Gwałtowność ataku na matkę ze strony córki wywołuje

je zaniepokojenie ojca, czy nie posunął się za daleko i czy sam w przyszłości nie padnie ofiarą bezkarnej napastliwości córki. Zdradza więc ją i przechodzi na stronę matki, zwracając córce uwagę:

„No! No! Jesteś jeszcze zbyt smarkata, żeby tak mówić do matki”.

Daje to szansę matce... I tak dalej. I tym podobnie. Tętno życie rodzinne.

Warto przy tym zauważyć, że sytuacyjne sojusze i zdrady zawiązywane są i dokonywane bez specjalnych skrupułów i poczucia winy którejkolwiek ze stron. Wszyscy w rodzinie uważają je zazwyczaj za coś normalnego i oczywistego, toteż nikt się za nie nie wstydzi, nie obraża ani na dłuższą metę nie ma ich nikomu za złe. Najczęściej zresztą są one, to znaczy sojusze i zdrady, dodatkowo „oswojone” poprzez włączenie ich w przebieg sekwencji rodzinnych (z góry wiadomo kto, kogo, w jakiej sprawie i jak poprze), dzięki czemu stają się one paradoksalnie czynnikiem sprzyjającym utrzymaniu ustalonej w rodzinie równowagi.

O nieco innej strukturze rodziny i paru jeszcze sprawach w następnym rozdziale.

Rozdział V

ZABÓJCZA RÓWNOWAGA, CZYLI O PATOLOGII RODZINY

W swoim dążeniu do równowagi system rodzinny, za pomocą sekwencji rodzinnych oraz układu trwałych koalicji i doraźnych sojuszy, zmierza zawsze do wyeliminowania z postępowania swoich członków zachowań nieprzewidywalnych i przypadkowych. Jeżeli więc jakieś zachowania występują w rodzinie, to można śmiało zaryzykować twierdzenie, że są one koniecznym elementem panującej w niej równowagi, a nawet wręcz, że zostały wytworzone specjalnie w celu jej podtrzymania. Dotyczy to również, a może przede wszystkim, zachowań pozornie „nienormalnych”, patologicznych, zwanych symptomami lub objawami. Należą do nich wszelkie objawy nerwicowe i psychosomatyczne (np. lęki, bezsenność, migreny, kołatania serca, owrzodzenia dwunastnicy, łysienie plackowate itp.), szczególnie częste u dzieci objawy tzw. zaburzeń zachowania (np. tzw. trudności wychowawcze, nadmierna agresywność, czyny aspołeczne i przestępcze, nawyki patologiczne – np. ogryzanie paznokci czy onanizm, tiki itp.) oraz najcięższe objawy psychotyczne, takie jak np. urojenia czy halucynacje.

Twierdzenie, że objaw może zostać niejako „wyprodu-

kowany” przez system rodzinny i służyć podtrzymaniu jego równowagi, wydaje się na pierwszy rzut oka zaskakujące, a nawet absurdalne. Trudno bowiem zrazu uwierzyć, że rodzina sama tworzy swoich chorych czy kłopotliwych członków, przysparzających jej przecież niepokoju, napięcia i autentycznych cierpień. Niestety, wszystko wskazuje na to, że tak właśnie się dzieje.

Aby to lepiej zrozumieć, zastanówmy się najpierw, czym jest w istocie objaw? Otóż dzisiaj wiadomo już na pewno, że nie jest on przypadkowym, bezsensownym **złym czynnikiem** zakłócającym funkcjonowanie człowieka. Wręcz przeciwnie. Każdy objaw ma swój głęboki sens, ponieważ w istocie jest on sposobem przystosowania się jednostki do jej środowiska i szeroko rozumianej sytuacji życiowej. Dla przykładu gorączka nie jest bezsensownym, przypadkowym „złem” powodującym osłabienie i gorsze samopoczucie. Jest ona przejawem toczącego się w organizmie procesu zapalnego, który to proces jest z kolei przystosowaniem się tegoż organizmu do mającej w nim miejsce infekcji bakteryjnej lub wirusowej. Krótko mówiąc, gorączka jest przejawem walki organizmu o przetrwanie w sytuacji zagrożenia z zewnątrz. W przypadku objawów dotyczących sfery psychicznej mechanizm ich powstawania jest o wiele bardziej skomplikowany, bo też są one sposobem przystosowania się człowieka do sytuacji nieskończenie bardziej złożonych niż zarażenie się anginą. A jedną z najbardziej złożonych sytuacji życiowych każdego z nas jest nasza sytuacja rodzinna. Skoro więc objawy są sposobem przystosowania się jednostki do jej sytuacji życiowej, to aby zrozumieć mechanizmy ich powstawania, trzeba znaleźć odpowiedź na pytania, które na pozór brzmią paradoksalnie. Na przykład:

Do czego potrzebna jest panu X jego migrena?

Jaką funkcję w życiu pana Y pełnią jego lęki przed samotnym wyjściem na ulicę?

Do czego przystosowuje się sześciolatnia Kasia swoimi napadami złości? – I tak dalej. Jeśli zaś popatrzymy na Kasię jak na element systemu rodzinnego, to do pytań tych dojdą dalsze, jeszcze bardziej z pozoru paradoksalne. Na przykład:

Do czego potrzebne są rodzicom Kasi jej napady złości? Jaki stan równowagi w rodzinie pana X podtrzymują jego migreny? Co każdy z członków rodziny ma z tego, że dwunastoletni Karol sprawia ustawiczne kłopoty swoim złym zachowaniem się w szkole i słabymi postępami w nauce?

Niestety, nie są to bynajmniej pytania paradoksalne. Dotyczą one bowiem spraw jak najbardziej realnych i konkretnych.

W każdej rodzinie na pewnym etapie jej ewolucji może ukształtować się stan równowagi w postaci permanentnego, pełnego napięcia kryzysu (o takich sytuacjach piszę szerzej w jednym z dalszych rozdziałów). W każdym też systemie rodzinnym jest zawsze najsłabszy, najmniej odporny na te napięcia element (bardzo często jest to dziecko), który najłatwiej i najszybciej reaguje na nie objawami. Fakt „załamania się” owego słabeusza, czyli wystąpienie u niego symptomów i pojawienie się konieczności jego szeroko rozumianego leczenia, jest z reguły zdarzeniem pozwalającym reszcie członków rodziny uciec od wspomnianej, nabrzmiałej, kryzysowej sytuacji i skupić się na jego chorobie lub problemie. Dzięki temu w rodzinie ustala się nowy stan równowagi, w którym spodziewane bolesne konsekwencje rozładowania istniejących w niej napięć zostają co najmniej odsunięte w czasie. Powiemy wtedy, że w rodzinie zadziałał homeostatyczny mechanizm – objaw choroby jednego z jej członków umożliwił podtrzy-

manie istniejącej w niej równowagi bez ryzyka poniesienia groźnych konsekwencji jej zachwiania. Nic więc dziwnego, że ten objaw choroby staje się potrzebny wszystkim domownikom, bowiem póki on istnieje, nic się nie zmieni. Nie będzie bolesnych przesileń kryzysu i wyczerpującej walki o nową równowagę. Wszystko pozostanie tak, jak jest, a więc w miarę znajome i bezpieczne. Aby tak się stało, rodzina zmobilizuje siły, aby „leczyć” dotkniętego objawem choroby członka i tym samym utwierdzać go w roli „chorego” lub „problemowego”, nic jednocześnie nie zmieniając w swojej wewnętrznej sytuacji, która przecież objaw wywołała. Dzięki temu „leczenie” jest z reguły długie i na ogół bezskuteczne, a inni domownicy nawet chętnie godzą się wziąć w nim udział i lepiej dopilnować, by „pacjent” przypadkiem nie wyzdrowiał.

Oczywiście, ogromna część opisanych tu działań członków systemu rodzinnego nie ma nic wspólnego ze świadomie podejmowanymi decyzjami i na zimno wy kalkulowanym postępowaniem. Wynika ono w większości przypadków z wypartych, pozaświadomych, osobistych motywów. Na poziomie świadomości wszyscy są przekonani, że jedynym celem ich działania jest niesienie ulgi i pomocy nękanemu przez objaw nieszczęśnikowi. Opisany powyżej ciąg zdarzeń pozwoli nam bardziej konkretnie wyobrazić sobie następująca historia:

Kilka miesięcy temu zgłosili się do mnie zdesperowani rodzice ośmioletniej Oli, usilnie prosząc o pomoc dla ich jedyne dziecko. Dziewczynkę od ponad dwu lat leczono z powodu łysienia plackowatego, a w czasie owej pierwszej wizyty była ona niemal całkowicie łysa, co robiło na otoczeniu, w tym i na mnie, dość szokujące wrażenie.

Z odpowiedzi rodziców na zadawane im pytania wyłoniły się takie oto fakty:

W rodzinie Oli od ponad dwu lat trwa kryzys spowodowany zdradą męża, który nie może się zdecydować na porzucenie żony ani na zerwanie z „kochanką”. Żona bardzo źle znosi tę sytuację, ale również nie potrafi ani odejść od męża, ani przytknąć oczu na jego romans. Powtarzają się brutalne czasami awantury. Sytuacja w domu staje się coraz bardziej napięta. Małżonkowie prawie nie komunikują się ze sobą inaczej niż za pomocą wzajemnych oskarżeń, ataków i złośliwości. Rozwód „wisi” w powietrzu. I wtedy nagle ich niespełna siedmioletnia, uroczą, choć bardzo nerwową i kłopotliwą córeczką zapada na dziwną i niepokojącą chorobę. Zaczyna gwałtowniełysieć. Jej długie, śliczne włosy wypadają całymi pasmami, pozostawiając odrażające łyse placki. Przerażeni rodzice natychmiast podejmują częściowe zawieszenie broni. Zaczynają normalnie rozmawiać o chorobie córki oraz zgodnie współdziałać w opiece nad nią i w jej leczeniu. Odwiedzają niezliczonych lekarzy. Biegają za trudnymi do zdobycia lekarstwami. Wykonują zleczone im skomplikowane zabiegi wokół głowy i włosów Oli. Awantury właściwie zanikają. O rozwodzie przestaje się mówić. O „kochance” też, choć mąż od czasu do czasu się z nią widuje. Część lekarzy twierdzi, że choroba dziecka ma podłoże psychiczne, ale rodzice nie są o tym przekonani. Wynajdują coraz to nowych dermatologów, sprowadzają z zagranicy drogie specyfiki, kosztem licznych ograniczeń wyjeżdżają na konsultacje do znanego szwedzkiego profesora. W tym samym czasie mąż naciskany przez „kochankę” w kierunku podjęcia jakiejś decyzji mówi jej stale: „Nie widzisz, że mam chore dziecko? Poczekaj”. Żona zaś na napomknięcia męża o konieczności uregulowania ich spraw odpowiada: „Nie teraz. Poczekaj, aż mała wyzdrowieje”. I tak dalej.

Do psychiatry, a potem do psychologa (czyli do mnie)

trafiają w końcu po dwu latach, kiedy dziewczynka jest już niemal całkowicie łysa i niewiarygodnie rozpieszczona.

Prawda, że trudno o tych rodzicach powiedzieć, iż nie chcieli wyleczyć swojego dziecka? Na pewno bardzo chcieli. I na pewno nie zdawali sobie sprawy z tego, że dzięki chorobie dziecka przez dwa lata mogli unikać jakiegokolwiek rozwiązania swojego dylematu, który rysował się im jako dwie, w gruncie rzeczy nie do przyjęcia, możliwości – rozwód lub pozostanie razem bez żadnych zmian.

Z czasem rodzice ujawnili dalsze fakty. Okazało się, że ich małżeństwo od początku układało się nie najlepiej, mimo iż byli ze sobą bardzo związani uczuciowo. Spowodowane to było głównie niedopasowaniem seksualnym (duże zapotrzebowanie męża w tej dziedzinie przy minimalnych potrzebach nie rozbudzonej seksualnie żony) oraz pewnymi postawami małżonków wobec siebie. Żona, mianowicie, prezentowała wobec męża dziecinne, roszczeniowe zachowania, domagając się od niego stałego zajmowania się nią, opieki, wyręczania w różnych zajęciach itd. Niezmiernie rzadko była przy tym zadowolona z tego, co robił partner, mnożąc żądania i nieustannie zasypując go pretensjami (taki model „bycia żoną” wyniosła ze swojego domu rodzinnego i z obserwacji swojej matki). Jednocześnie uskarżała się na mnóstwo rozmaitych mniej lub bardziej sprecyzowanych dolegliwości (ze stałym uczuciem zmęczenia na czele), które były częstym pretekstem do unikania kontaktów seksualnych. Urodzenie dziecka znacznie zaostrzyło te postawy, co wyrażało się wzrostem liczby wymagań, pretensji i dolegliwości.

Postawa męża wobec żony była, w gruncie rzeczy, taka sama jak żony wobec niego. On też domagał się stałego zainteresowania swoją osobą, opieki i uznania, zasypując współmałżonkę pretensjami o niedbałe prowadzenie domu, egoistyczne zapatrzenie w siebie, unikanie współżycia itp.

W ten sposób obydwójce nie dostawali tego, czego od siebie oczekiwali, ponieważ każde z nich chciało głównie brać od drugiego, samemu nic właściwie nie dając. Powodowało to znaczne między nimi napięcia i wynikające z niego nieprzeliczone scysje. Urodzenie się córki zaostriło jeszcze sytuację, gdyż żona skupiła się całkowicie na dziecku, usiłując sprowadzić męża do roli „obsługi technicznej” obu pań.

W tym czasie mąż nawiązał intymną znajomość ze swoją koleżanką z pracy. Była to kobieta doświadczona, o kilka lat od niego starsza, rozwiedziona matka dziesięcioletniego syna i, według jego relacji, też mająca „ciężki charakter”. Ale za to duży temperament seksualny i brak zahamowań w tym zakresie. Ów „ciężki charakter” polegał na apodyktyczności, wybuchowości i zaborczości nowej partnerki, która również stawiała różne wymagania (np. żądała, aby zorganizował wakacje jej synowi, skoro nie mogli ich spędzić razem), domagała się wyłączności i zdecydowanie parła do ujednoznacznienia ich związku poprzez rozwód partnera i zamieszkanie razem.

Mąż wzbraniał się przed takim rozwiązaniem, ponieważ, jak twierdził, kocha żonę i córkę, czuje się za nie odpowiedzialny, a jako katolik nie wyobraża sobie rozwodu.

Żona z kolei czuła się upokorzona i skrzywdzona, ale jednocześnie twierdziła, że kocha męża i nie wyobraża sobie życia bez niego. Podkreślała też, że jeżeli zerwie on z „tą kobietą”, to ona jest gotowa wszystko mu wybaczyć i kontynuować związek. Na to mąż z oburzeniem argumentował, iż to właśnie żona jest w pewnym sensie winna całej sprawie i że gdyby nie jej postępowanie – on nie byłby zmuszony do „szukania gdzie indziej tego, co miałby pod ręką”. I tak dalej.

Popatrzmy teraz na całą tę sytuację z punktu widzenia Oli. Każde małe dziecko reaguje silnym napięciem psy-

chicznym na rozdźwięki pomiędzy rodzicami, ponieważ jego poczucie bezpieczeństwa (potrzeba czucia się bezpiecznym jest jedną z kardynalnych potrzeb psychicznych dziecka i nie tylko dziecka) jest całkowicie uzależnione od atmosfery domowej, tworzonej przez rodziców. Napięcie to, w zależności od jego siły i czasu trwania, manifestuje się różnymi objawami. Od takich, które zaliczamy jeszcze do względnej normy (np. przejściowy brak apetytu, trudności z zasypianiem, wzrost agresywności, ogólne rozdrażnienie i rozgrymaszenie itp.), aż do takich, które normą już na pewno nie są (np. zaburzenia mowy, tiki, moczenie nocne, natręctwa, łysienie plackowate, niektóre postaci astmy itp.). Siedmioletnia (a więc jeszcze mała) Ola była, jak pamiętamy, dzieckiem nerwowym i kłopotliwym. Okazało się, że owa nerwowość i kłopotliwość polegała na tym, że dziewczynka systematycznie moczyła się w nocy do łóżka, „zrywała się”, czyli budziła się kilka razy w ciągu nocy z krzykiem i objawami lęku, ogryzała paznokcie, zdarzało się jej onanizować, była na przemian rozdrażniona i agresywna lub płacziwa i apatyczna. Wszystko to wskazuje, że przeżywała ona permanentne stany silnego napięcia psychicznego i lęku. Z bardzo dużym prawdopodobieństwem można założyć, że były one związane z napiętą atmosferą w domu, wynikającą z konfliktów pomiędzy rodzicami. Apogeum tych konfliktów i napięć nastąpiło dwa lata temu, kiedy rodzina stanęła w obliczu rozpadu. I wtedy właśnie wystąpiły u dziewczynki objawy łysienia. Można śmiało powiedzieć, że spadły one rodzicom jak z nieba. Żonie pozwoliły wycofać się „z twarzą” z żądań rozwodowych stawianych przede wszystkim pod wpływem urażonej godności i dumy, podczas gdy w rzeczywistości czuła się ona uzależniona od męża, bała się związanych z samotnością kłopotów życiowych i po swojemu go kochała. Dzięki chorobie córki mogła po-

zostać z mężem (czego w istocie pragnęła) bez uszczerbku na honorze, jakim byłoby zapewne przyznanie się do popełnianych wobec niego błędów lub dalsze życie z nim mimo jego kontaktów z „kochanką”. Przy okazji unikała też większych zmian w swoim dotychczasowym funkcjonowaniu, co zawsze jest trudne i budzi lęk. Mężowi z kolei objawy choroby córki pozwoliły uniknąć głębszego zaangażowania się w związek z nie akceptowaną do końca nową partnerką, którego się obawiał i któremu nie czuł się na siłach sprostać, umożliwiając jednocześnie zachowanie satysfakcjonującego go układu seksualnego. Poza tym on także mógł uniknąć konieczności głębszych zmian swojego zachowania się i pozostać z żoną bez upokarzających procedur związanych z powrotem „marnotrawnego męża” na wzgardzone niegdyś łono rodziny (i żony).

A co zyskała Ola – zapytacie – oprócz oszpeccenia i związanego z tym cierpienia? Proszę bardzo! Po pierwsze, zapobiegła rozpadowi rodziny oraz, czyniąc z siebie jej „główny problem”, pogodziła ze sobą rodziców poprzez zintegrowanie ich myślenia i działania wokół spraw swojego leczenia. Tym samym odzyskała w znacznym stopniu poczucie bezpieczeństwa (według relacji rodziców w okresie łysienia nieco „wygrzeczniała”, przestała „zrywać się” w nocy i moczyć do łóżka). Po drugie, zyskała pewną (wcale nie małą) władzę nad rodzicami, zmuszając ich, z pozycji chorej, biednej i tak straszliwie pokrzywdzonej przez los, do podporządkowania się większości jej zachcianek i żądań. Rodzice pod wpływem przeżywanego poczucia winy i współczucia nie byli w stanie niczego jej właściwie odmówić ani wykazać odrobiny wychowawczej stanowczości. Stąd zapewne wynikało jej zupełne rozpieszczenie i brak jakiegokolwiek liczenia się z matką i ojcem, które obserwowałem w czasie pierwszych u mnie wizyt. Po trzecie wreszcie, stała się centrum uwagi, wokół

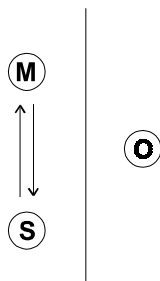
którego kręciło się mnóstwo zaaferowanych dorosłych, z rodzicami na czele, dając jej odczuć, jak jest kochana, ważna, dzielna i wspaniała – czyli traktując ją z bardzo przez dzieci pożądaną pełną akceptacją, bez żadnych ograniczających ją warunków.

Historia Oli pokazuje wyraźnie, że odpowiedzi na nasze postawione wcześniej, pozornie „paradoksalne” pytania, są jak najbardziej możliwe i konkretne. Choroba dziewczynki przyniosła niebagatelne korzyści wszystkim, łącznie z nią samą, członkom rodziny, równoważąc w sumie cierpienie związane z wystąpieniem objawu. Z powodu tychże właśnie korzyści rodzice podświadomie tak długo trzymali się rozmaitych sposobów leczenia, które ewidentnie nie dawały rezultatów, i odrzucali sugestie niektórych lekarzy nakłaniające ich do szukania pomocy u psychologa. Należało się też spodziewać (i tak było), że niełatwo będzie ich tych korzyści pozbawić i zachęcić do zmian w dotychczasowym funkcjonowaniu. Tym bardziej że posiadanie chorego (a szczególnie tak „tajemniczo” chorego) dziecka przynosi zawsze jeszcze jedną, tym razem społeczną korzyść w postaci powszechnego współczucia i uznania dla ich dzielności i hartu w znoszeniu nieszczęścia.

W miejsce łysiejącej Oli można oczywiście wstawić Karola źle się zachowującego w szkole i mającego słabe wyniki w nauce, mimo wysokiej inteligencji, Kasię mającą bulwersujące otoczenie napady złości, pana X. z jego migrenami itd. Mechanizm jest zawsze ten sam. Objaw przynosi określone korzyści wszystkim członkom rodziny, pozwalając tym samym systemowi rodzinnemu na zachowanie ustalonej w nim równowagi. Ten sposób rozumowania prowadzi do niezwykle ważnego wniosku. A mianowicie – skoro rodzina w istocie „produkuje” u swoich członków rozmaite patologiczne zachowania (obja-

wy), potrzebne jej do utrzymania status quo, to wyeliminowanie tychże zachowań jest możliwe tylko wtedy, jeśli systemowi rodzinnemu uda się zmienić swoje funkcjonowanie tak, aby objaw przestał mu być potrzebny do utrzymania osiągniętej równowagi. W praktyce oznacza to tyle, że najczęściej usunięcie trudności wychowawczych z dzieckiem wymaga np. zajęcia się sposobami rozgrywania konfliktów pomiędzy jego rodzicami. Dla rodziców tego rodzaju konstatacja bywa z reguły dużym zaskoczeniem, bowiem niezwykle trudno pogodzić im się z faktem, iż dziwaczne i kłopotliwe zachowania ich dzieci są, w gruncie rzeczy, wynikiem całokształtu wewnątrzrodzinnych napięć, konfliktów i rozgrywek. Równie trudna do przyjęcia jest logiczna konsekwencja tej zależności, mówiąca, że poradzenie sobie z kłopotami, jakie sprawia dziecko, wymaga skupienia uwagi nie tyle na samym dziecku, ile na funkcjonowaniu całego systemu rodzinnego i na wprowadzeniu do niego zmian usuwających „zapotrzebowanie” na patologiczne zachowania się potomka.

I jeszcze jedna sprawa. Kryzysowe sytuacje pojawiające się w życiu każdego systemu rodzinnego (i będące najzupełniej normalnym przejawem jego ewolucji – o czym w następnym rozdziale) powodują często ukształtowanie się innej od opisanej w poprzednim rozdziale, normalnej struktury rodziny. Graficznie strukturę tę można przedstawić następująco:



Jak widać, zamiast dwu podstawowych podsystemów – rodzicielskiego i dziecięcego – występują w niej tzw. **koalicje międzypokoleniowe**, czyli trwałe sojusze jednego z rodziców z dziećmi (lub z dzieckiem), skierowane przeciwko drugiemu rodzicowi. Powstają one zawsze wtedy, kiedy więź uczuciowa łącząca rodziców ulega nadwątleniu lub wręcz zerwaniu. Jako przykład może tu posłużyć np. koalicja z synem skierowana przeciw nie dającym żonie oparcia emocjonalnego brutalnemu i oziębłemu ojcu. Syn zaczyna w tej sytuacji pełnić wobec matki rolę źródła gratyfikacji uczuciowych, których nie dostaje ona od męża. Przejawiając wobec niej miłość, podziw, respekt i czułą akceptację, mały chłopiec staje się dla matki kimś znacznie ważniejszym od pozbawionego podobnych uczuć męża. Kształtujący się na tej bazie ścisły związek matki z synem bywa zazwyczaj punktem wyjścia do ustalenia się w rodzinie nowej, patologicznej równowagi. Na przykład syn zaczyna chorować na astmę, co usprawiedliwia pewne formy szczególnej nad nim opieki ze strony matki oraz zmusza ojca do zmiany zachowania się w kierunku uległości wobec żony. Ojciec, przestraszony chorobą syna, przyjmuje narzucone mu przez matkę standardy zachowania (np. bądź spokojny, mów cicho i łagodnie, pokazuj, że wszystko między nami jest w porządku, bo tego wymaga od nas nasze chore dziecko) i tym samym godzi się, aby jego mały syn (przy wsparciu matki) objął władzę w rodzinie i narzucił jej odpowiadający mu sposób funkcjonowania.

Podsumowując, możemy powiedzieć, że z patologią rodziny mamy do czynienia wtedy, kiedy do sprawnego działania w ustalonej równowadze potrzebuje ona patologicznych (chorobliwych, nienormalnych, kłopotliwych) zachowań co najmniej jednego ze swoich członków – i takie zachowania generuje. Okolicznością wybitnie

sprzyjającą ukształtowaniu się takiej równowagi jest powstawanie, pod wpływem trudnych, kryzysowych sytuacji, nieprawidłowej struktury rodziny charakteryzującej się obecnością koalicji międzypokoleniowych.

A teraz nieco więcej o owych trudnych, kryzysowych sytuacjach w rodzinie.

Rozdział VI

EWOLUCJA RODZINY, CZYLI OD KRYZYSU DO KRYZYSU

Zdecydowana większość długotrwałych procesów społecznych i psychologicznych ma przebieg ewolucyjny i fazowy. Okresy utajenia i spokoju, kiedy pozornie nic się nie dzieje, oddzielone są w nich mniej lub bardziej burzliwymi przesileniami, podczas których dochodzi do zmian w dotychczasowym stanie rzeczy. Przesilenia te określa się mianem kryzysów.

Rodzina jako żywy organizm społeczny, którego egzystencja jest jednocześnie długotrwałym procesem społecznych i psychologicznych przemian, podlega również ewolucji. Okresy względnej stabilizacji i spokoju przedzielone są w jej życiu gwałtownymi przesileniami, kiedy dochodzi do zburzenia wcześniej ukształtowanej równowagi i powrotu do codziennej wojny domowej o nową jej odmianę.

Kryzys, jak mówi definicja słownikowa, jest to „moment rozstrzygający, punkt zwrotny, okres przełomu” bądź też „stan destabilizacji poprzednio istniejącej równowagi, po którym może nastąpić zarówno poprawa, jak i pogorszenie”*.

* Słownik wyrazów obcych, PWN, Warszawa 1972.

Momenty przełomu i destabilizacji wcześniej ustalonej równowagi możemy obserwować zarówno w rozwoju psychicznym i społecznym jednostki (np. moment pójścia do szkoły, okres dorastania, podjęcie samodzielnego życia itd.), jak i w procesie powstawania i rozwoju systemu rodzinnego. Dają się też one obserwować w przebiegu prawie każdego długotrwałego kontaktu międzyludzkiego.

Z pojęciem kryzysu łączy się nierozzerwalnie pojęcie konfliktu. Konflikt na nasz użytek będziemy definiować jako sprzeczność ludzkich interesów, poglądów i postaw, manifestującą się w postaci sporów, zatargów lub otwartej konfrontacji. Przedmiotem naszego szczególnego zainteresowania będzie jeden z rodzajów konfliktu międzyludzkiego (w odróżnieniu np. od wewnątrzpsychicznego konfliktu motywów czy potrzeb, który ma miejsce w klasycznej sytuacji typu: chciałyby i boję się), w którym zachodzi konkretna sprzeczność interesów pomiędzy ludźmi pozostającymi ze sobą w stałym związku uczuciowym i dzielącymi wspólne terytorium. Kryzys rodzinny będzie więc polegał, w naszym pojęciu, na mniej lub bardziej gwałtownym ujawnieniu się tak rozumianego konfliktu.

Zazwyczaj mówiąc o konflikcie, koncentrujemy się na jego treści, czyli na przedmiocie sprzeczności. Rzadko natomiast zwracamy uwagę na przebieg konfliktu w czasie i na fakt, że może on istnieć przez długi okres, nie ujawniając się na zewnątrz. W każdej rodzinie istnieje wiele sprzecznych interesów, np. dzieci i rodziców (już o tym wcześniej wspominałem), które przez długi czas nie dają znać o sobie. Dopiero w okresie dorastania, jeżeli rodzice nie uwzględnią w porę zmian zachodzących w ich dzieciach, konflikt może ujawnić się w postaci kryzysu.

Sprzeczności interesów pomiędzy związanymi ze sobą uczuciowo i żyjącymi razem ludźmi są, jak wskazują niezliczone doświadczenia, zjawiskiem nieuniknionym. Za-

tem również od kryzysów nie ma ucieczki. A kryzys, jak pamiętamy, może zawsze stać się punktem wyjścia zabójczej patologicznej równowagi kształtującej się w danym systemie rodzinnym. Jednakże każdy kryzys, w zależności od tego, jak został rozwiązany, może prowadzić do różnych skutków. Jeżeli został on rozwiązany konstruktywnie, to znaczy, jeśli konfrontacja kończy się kompromisem uwzględniającym interesy skonfliktowanych stron, wówczas nie ma osób wygrywających ani pokonanych. Ustala się najczęściej nowa równowaga, która w sposób pełniejszy zaspokaja potrzeby i oczekiwania wszystkich uczestników kryzysu.

Dorastająca córka zaczyna znikać z domu i późno do niego wracać. Okazuje się też, że ma swoje tajemnice oraz zwiększone potrzeby finansowe. Rodzice zaniepokojeni, że dziecko „wymyka im się z rąk”, reagują na ten stan rzeczy mnożeniem rozmaitych zakazów i nakazów, które córka przeważnie ignoruje lub po prostu łamie. Dochodzi do ostrego starcia. W wyniku spowodowanych tym rozmów i dyskusji do rodziców dociera informacja, że potrzeby ich córki uległy zmianie. Zaczynają dostrzegać, że nie jest ona już małym dzieckiem, które wymaga stałego nadzoru i opieki, ale dorastającą młodą kobietą, potrzebującą do dalszego prawidłowego rozwoju większej autonomii i swobody. Cofają więc niektóre zakazy i rozluźniają nadzór. Również do córki dociera w końcu informacja, że – mimo bardzo świeżej daty dorosłości – dla rodziców pozostała nadal dzieckiem, o które się po prostu i po rodzicielsku boją, i że chcieliby ją ustrzec od wszelkich możliwych złych zdarzeń. Uwzględniając to, zgadza się podporządkować niektórym zakazom, a także szerzej informować rodziców o swoim nowym trybie życia i związanych z nim sprawach. W ten sposób kryzys został rozwiązany konstruktywnie. Rozpoczyna się nowy okres „pokojowej

koegzystencji” stron, w którym rodzice już nie tyle pilnują i nadzorują, ile towarzyszą córce zdobywającej nowe, niezbędne w dalszym życiu doświadczenia. Nikt nie przegrał. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że wszyscy coś wygrali.

Ten sam kryzys może jednak zostać rozwiązany destrukcyjnie. Na przykład w wyniku wspomnianego wyżej ostrego starcia córka zostaje zmuszona przez rodziców do bezwzględnej podporządkowania się ich zakazom. W rezultacie dziewczyna zamyka się w sobie i w ogóle przestaje rozmawiać z nimi o swoich sprawach. Doprowadza to szybko do nowego konfliktu, bowiem rodzice wymagają od córki „normalnego” zachowania się i pełnych informacji o tym, co robi, co planuje i co się z nią dzieje. Aby to osiągnąć, wzmagają jeszcze nadzór, pragnąc tą drogą doprowadzić buntowniczkę do całkowitej uległości. W kilka dni później córka dokonuje poważnej próby samobójczej.

Ten złowieszczy scenariusz nie jest bynajmniej produktem mojej wybujałej wyobraźni, a raczej syntezą dziesiątków obserwowanych przeze mnie destrukcyjnie rozwiązywanych kryzysów pomiędzy dorastającymi dziećmi i ich rodzicami. W rozwiązaniach takich zawsze pojawia się podział na stronę wygrywającą (rodzice) i pokonaną (córka). Tyle tylko, że zarówno wygrana, w tym przypadku rodziców, jak i przegrana córki są wysoce problematyczne. Sytuacja obu stron nadaje się bowiem jak ułóżka na ilustrację znanego wierszyka Tuwima o rycerzu Krzykałskim, który „złapał Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma”. Nie jest wykluczone, że w następnej rundzie (a zwykle do niej dochodzi) córka z kolei zmusi wystraszonych jej postępkiem rodziców do uległości i wywalczy sobie całkowitą swobodę postępowania, w wyniku czego np. zgnębiony ojciec dozna zawału serca. I tak dalej. Nietrudno sobie wyobrazić, że finał takiego ciągu kryzysów prze-

ważnie bywa bardzo smutny, a nieraz i tragiczny, dla wszystkich jego uczestników.

Skoro więc konflikty są nieuniknione, a nasze życie tak czy inaczej musi zawierać sytuacje kryzysowe, warto poznać bliżej niektóre typowe kryzysy i rządzące nimi prawidłowości. Wiedza ta powinna zwiększyć prawdopodobieństwo, że przeżywając je częściej, będziemy wybierać konstruktywne rozwiązania.

Życie w każdej rodzinie przebiega od kryzysu do kryzysu. Takie są prawidłowości rządzące jej ewolucją, w związku z czym momenty kryzysowe w większości rodzin uważane są za normalne przejawy życia, a ich członkowie nie dostrzegają w nich zazwyczaj niczego, że tak powiem, specjalnego. Dotyczy to głównie tzw. „kryzysów strukturalnych”, czyli przesileni związanych z samym faktem istnienia rodziny i przechodzenia przez nią ewolucyjnych faz rozwoju. Występują one w każdym systemie rodzinnym, ponieważ związane są z sytuacjami i wydarzeniami, które w każdej rodzinie muszą się rozegrać, aby mogła ona spełnić swe podstawowe zadania i w ogóle nazwać się rodziną.

A oto owe kryzysy.

Kryzys ślubu

Zawarcie związku małżeńskiego i podjęcie życia we dwoje na wspólnym terytorium jest pierwszym kryzysem w życiu założonej właśnie rodziny. Teza ta na pozór wydaje się zaskakująca. Ale tylko na pozór. W istocie bowiem ślub jest zdarzeniem destabilizującym dotychczasową równowagę ukształtowaną w poprzedzającym go okresie narzeczeństwa. Jest ona, mówiąc nieco poetycko, gwałtownym przeskokiem od kolorowego świata narzeczeństwa do szarej, na ogół, codzienności małżeństwa. Narzeczeni, celebrując swoją miłość, najczęściej odrucho-

wo, pozaświadomie prezentują się sobie od jak najlepszej strony. Ich spotkania (właśnie spotkania, a nie wspólne życie) są zazwyczaj wyczekiwanyymi, świątecznymi wydarzeniami, w których uczucie uskrzydla i dodaje blasku urodzie. W czasie ich trwania on jest nienaganny w manierach, rycerski, opiekuńczy, gotów na każde skinienie i do każdego wysiłku na rzecz ukochanej. Ona odwzajemnia mu się podziwem, „zapatrzeniem”, „zasłuchaniem”, delikatnością i oddaniem. Jeżeli nawet narzeczeni posiadają wady, z których zdają sobie sprawę, to z reguły i najczęściej nie do końca świadomie starają się ich raczej nie eksponować partnerowi, tym bardziej że w świątecznej atmosferze spotkań i randek po prostu nie ma okazji do ich ujawnienia. Nie ma też zazwyczaj powodu do poruszania tak zwanych poważnych, życiowych tematów. A jeśli już, to raczej w postaci snucia barwnych fantazji i planów na temat wspólnej przyszłości.

Ślub i zamieszkanie na wspólnym terytorium destabilizują tak ukształtowany stan „równowagi narzeczeńskiej”. Oba te zdarzenia (z reguły zresztą nierozdzielne) są niejako oficjalnym przypieczętowaniem dokonanych wyborów i faktu należenia do siebie. Najczęściej powoduje to wycofanie się (już) małżonków z wielu pochłaniających czas i energię zachowań obliczonych na zdobycie miłości i uznania partnera. Skoro bowiem został on już oficjalnie zdobyty, nie ma sensu tracić sił i środków na dalsze zdobywanie. On przestaje więc być rycerski i okazuje się miłującym własną wygodę egoistą, a ona, zamiast „zapatrzenia” i uległości, przejawia tendencje do apodyktycznej dominacji. Ale to nie wszystko. Konieczność dzielenia wspólnego terytorium powoduje ujawnienie się wielu dotychczas nie znanych małżonkom nawyków i upodobań partnera. Okazuje się, że np. on, dotąd „nieskazitelny dandy”, chrapie w nocy, ma skłonność do używania cudzej

szczoteczki do zębów i ustawicznie zapomina zmienić skarpetki. Ona zaś, dotąd subtelna, do przesady elegancka i delikatna, okazuje się lubić chodzenie po domu w starych dziurawych majtkach, miewa czkawkę w najbardziej nieodpowiednich momentach i myje włosy „od wielkiego dzwonu”. Nie wspominam tutaj o takich sprawach, jak niejako klasyczne ujawnienie się po ślubie nadmiernego zamiłowania do alkoholu czy skłonności do niezbyt poważnego traktowania przyrzeczenia małżeńskiego w jego fragmencie dotyczącym wierności. Ponadto może się jeszcze okazać, że małżonkowie znacznie różnią się w swoich opiniach na wspomniane już „poważne życiowe tematy”, takie jak standard wspólnego życia, podział obowiązków domowych, zarabianie i wydawanie pieniędzy itp.

Wszystko to powoduje, że dla każdej pary małżeńskiej okres tuż po ślubie jest autentycznym i często bardzo burzliwym kryzysem, jaki przychodzi im przeżyć w nowo powstałej rodzinie. Jeżeli zostanie on rozwiązany destrukcyjnie, czyli jeżeli jedno z małżonków zmusi drugie do uległości, nie uwzględniając jego interesów i potrzeb, dochodzi albo do rozpadu małżeństwa, albo do ustalenia się w nim patologicznej równowagi zwanej eufemistycznie „nieudanym pożyciem”. Konstruktywne rozwiązanie kryzysu ślubu jest zawsze kompromisem, co nie jest z reguły proste. Dostosowanie się do współmałżonka wymaga bowiem cierpliwości, tolerancji i zrozumienia, a przede wszystkim akceptacji i miłości. Nie przez przypadek okres „docierania się” młodych po ślubie jest powszechnie uważany za „ogniową próbę” wzajemnego uczucia małżonków.

Kryzys pierwszego dziecka

Przyjście na świat pierwszego dziecka jest jednocześnie wejściem małżonków w nowe, zupełnie im nie znane

i trudne role rodziców. Łączy się to z reguły z całkowitą destabilizacją dopiero co osiągniętej po ślubie „równowagi małżeńskiej”. Życie rodziców, przynajmniej w początkowym okresie opieki nad dzieckiem, zostaje prawie całkowicie podporządkowane jego interesom. W konfrontacji z koniecznością zaspokojenia potrzeb dziecka potrzeby rodziców muszą zejść na drugi plan. Niemowlęciu nie można wytłumaczyć ani wyperswadować, nie może ono poczekać, wytrzymać ani po prostu zrezygnować z zaspokojenia żadnej ze swoich potrzeb. Rytm życia rodziny zostaje na długi czas podporządkowany rytmowi zaspokajania, wciąż się zresztą zmieniających i rozrastających, potrzeb dziecka. Na długi też czas przynajmniej jedno z rodziców zostaje, niemal dosłownie, „przywiązane” do dziecka i skazane na nieustanne jego towarzystwo.

Wszystko to wymaga ukształtowania się w rodzinie nowego stanu równowagi, uwzględniającego fakt istnienia potomka. Całkowitej zmianie musi ulec podział obowiązków, rozkład dnia i bilans czasowy rodziców. Diamentalnie zmieniają się życie towarzyskie i formy odpoczynku. Zawieszeniu lub zaniechaniu ulega większość dotychczasowych rytuałów (sekwencji rodzinnych) i obyczajów danego domu. Inny musi być podział budżetu, co niejednokrotnie oznacza rezygnację z ulubionych wydatków i sposobów gospodarowania pieniędzmi. Praktycznemu wyeliminowaniu z życia rodziny ulega możliwość spontanicznej improwizacji (typu: pal sześć te parówki w lodówce, jedziemy do „Szanghaju” na kolację) lub ad hoc podejmowanych decyzji (wyskoczmy na jeden dzień do Mikołajek). I tak dalej. W dodatku wszystkie te fundamentalne zmiany muszą być dokonywane w iście oszałamiającym tempie. Krótko mówiąc, przyjście na świat pierwszego dziecka jest w życiu każdego małżeństwa burzliwą rewolucją, która bez śladu i właściwie na zawsze zmiata „stary porządek”.

Ta rewolucja ma jeszcze i inne aspekty. Oto np. diametralnie i na długo zmienia się sytuacja psychologiczna młodych rodziców. Dziecko jest i będzie przez większą część ich życia niezwykle absorbującym przedmiotem uwagi i troski. Będzie ono im odtąd towarzyszyć w myśłach, planach i zamiarach. Będzie obiektem przejmującego lęku, bezsennych nocy i paraliżującej bezradności. Będzie wreszcie wymagać długotrwałego i skomplikowanego procesu wychowania, który jest w stanie pochłonąć każdą ilość energii. Ta stała psychologiczna obecność dziecka w świadomości jest obecnością **pomiędzy** rodzicami, powodując spadek intensywności i różnorodności form ich bycia ze sobą. Wiele matek, koncentrując się na dziecku, pozaświadomie odsuwa się od mężów, obdarza ich mniejszym zainteresowaniem i mniejszą, jeśli tak można powiedzieć, „ilością aprobaty”. Wielu ojców z kolei przeżywa nie w pełni świadomie uczucia zazdrości i złości w stosunku do swojego nowo narodzonego potomka za zabranie partnerki. Jest to typowa sytuacja, w której w systemie rodzinnym powstaje „zapotrzebowanie” na chorobę lub inny kłopot ze strony dziecka usprawiedliwiający postawę matki i neutralizujący pretensje ojca. Chore dziecko, jak wiadomo, musi mieć zapewnioną intensywniejszą opiekę i musi być traktowane nieco inaczej niż zdrowe. Rodzina wchodzi w tym momencie na drogę kształtowania się patologicznej równowagi, w której ostatecznym ustaleniu objawy dziecka pełnią znaczącą rolę.

Trzeba przyznać, że ukazana powyżej wizja rodzicielstwa jest niezbyt zachęcająca. Stanowi ona jednak pewien model służący pokazaniu wszystkich aspektów opisywanego kryzysu. Poza tym, ze zrozumiałych względów, rezygnuję tutaj z opisu wszystkich niepowtarzalnych przeżyć i radości towarzyszących wchodzeniu w rolę rodziców. To temat na oddzielne opowiadanie.

Konstruktywne rozwiązanie kryzysu pierwszego dziecka w ogromnym stopniu zależy od rozwiązania kryzysu ślubu. Im lepiej (czyli bardziej konstruktywnie) był on rozwiązany, im większy stopień porozumienia i wzajemnego dostosowania się osiągnęli małżonkowie w poprzednim okresie, tym łatwiej będzie im pozytywnie rozwiązać kryzys początków rodzicielstwa. Zależność ta jest egzemplifikacją ogólniejszej prawidłowości mówiącej, że sposób rozwiązania każdego następnego kryzysu w rodzinie wiąże się ze sposobem rozwiązania poprzednich. Konstruktywne, czyli kompromisowe rozwiązanie kryzysu pierwszego dziecka, postuluje **partnerskie współdziałanie** obojga małżonków w opiece nad dzieckiem i w jego wychowaniu. Niektóre tradycyjne rozwiązania, wychodzące np. z założenia, że dziecko jest sprawą matki, w dzisiejszych warunkach społecznych są rozwiązaniami destrukcyjnymi.

Opisany kryzys towarzyszy, w mniejszym lub większym stopniu, przyjsciu na świat każdego następnego dziecka. Jednakże przesilenia te są rozwiązywane z reguły łatwiej i mają łagodniejszy przebieg. Każdy następny potomek jest bowiem oczekiwany z mniejszym napięciem i lękiem – co wcale nie oznacza, że z mniejszą radością. Rodzicom łatwiej jest wejść w rytm i podział czynności, który już został kiedyś wypróbowany i zdał egzamin.

Mamy już prawie wszystko, czyli kryzys stabilizacji

W większości par małżeńskich w Polsce po okresie „docierania się” następuje pora intensywnego „urządzania się”, „dorabiania” oraz stabilizowania swojej pozycji zawodowej i statusu ekonomicznego. Jest to czas zdobywania i urządzania własnego mieszkania, czas dokonywania ważnych zakupów, będących zaczątkiem trwałego majątku rodziny, a także niejednokrotnie czas kończenia eduka-

cji i rozpoczynania kariery zawodowej. Wszystko to, szczególnie w naszych nie najłatwiejszych realiach społeczno-ekonomicznych, wymaga ogromnego wysiłku oraz dużych inwestycji czasowych i pieniędzy. Wiele małżeństw bierze w tym okresie rozmaite kredyty, pożyczki i zaciąga zobowiązania finansowe, których skutki będą dla nich odczuwalne w ciągu wielu następnych lat. Łączy się to bardzo często z zabiegami o poprawę swojej pozycji w pracy i w zawodzie, z podejmowaniem dodatkowego zatrudnienia i gorączkowym poszukiwaniem wszelkich możliwych źródeł dochodu.

Na taką sytuację nakłada się nierzadko przyjście na świat pierwszego dziecka i związana z tym konieczność wspomnianych już rozległych zmian w sposobie życia. Podołanie tym wszystkim zadaniom i koniecznościom wymaga nieprzeciętnej energii, odporności i siły. Małżonkowie są w tym okresie z reguły ponad miarę zabiegani i przeciążeni. Uginają się pod ciężarem spadających na nich kolejnych zobowiązań i dobywają nieraz ostatnich sił, aby się z nich wywiązać. Ceną za to bywa napięcie i niepokój, często poczucie krzywdy, żal i złość oraz oczywiście stałe zmęczenie, które to uczucia wszystkie razem odbierają czasami smak osiąganym sukcesom.

„Nie mieliśmy sił, żeby się cieszyć z naszego nowego mieszkania i mebli. Zdarzało się, że mąż zasypiał pierwszy, kiedy starał się usnąć syna. Wyjście do kina czy do znajomych było dla nas wtedy dodatkowym wysiłkiem, na który nie mieliśmy energii” – wspomina ten czas jedna z moich pacjentek.

„To było straszne – relacjonuje inna. – Przez dwa lata nie mieliśmy okazji, żeby porozmawiać i nacieszyć się sobą. Nasze małżeństwo sprowadziło się do zmęczonego pośpiesznego seksu i do technicznych ustaleń – co, kiedy i jak zrobić”.

Wreszcie jednak przychodzi upragniona chwila spokoju. Mamy już prawie wszystko. Mieszkanie, lodówkę, pralkę, telewizor, dywan i psa, a przed domem często stoi przedmiot wyjątkowej dumy i dobitne podkreślenie osiągniętej pozycji – samochód. Dziecko (dzieci) jest już „odchowane”. Pozycja zawodowa w miarę ustabilizowana. Poziom życia i dochodów zabezpieczony. Niespodziewanie mamy czas dla siebie. I wtedy zaczyna się problem. Patrzymy na współmałżonka i zadajemy sobie pytanie: „Kto to właściwie jest?”, „Co on (ona) robi w moim mieszkaniu?”. Okazuje się bowiem, że nie o to samo nam chodzi, że nasze upodobania i hierarchia wartości są całkowicie odmienne, że nie mamy dla siebie nawzajem zainteresowania, cierpliwości i tolerancji. Coś przeoczyliśmy. Mamy już prawie wszystko – z wyjątkiem wzajemnego porozumienia. Potrafimy dobrze współpracować i współdziałać, ale z naszego bycia razem ulotniła się intymność i wzajemna fascynacja. Jesteśmy do siebie przyzwyczajeni, a nawet przywiązani, ale czy się jeszcze kochamy?

Tak w przybliżeniu wygląda kryzys stabilizacji. Wszystko wskazuje, że to kryzys strukturalny, pojawiający się w różnym natężeniu w każdym małżeństwie pomiędzy 6 a 12 rokiem jego trwania. Czy możliwe jest jego konstruktywne rozwiązanie? Na pewno tak. Jeżeli będziemy pamiętać, że inwestowanie we wzajemną bliskość i porozumienie jest może nawet ważniejsze od wysiłków ponoszonych na rzecz materialnej i społecznej stabilizacji rodziny. Jeśli nie ulegniemy złudzeniu, że najpierw trzeba jak najszybciej mieć, aby potem ze sobą być – wspomniany kryzys będzie przebiegał łagodnie. Ale jeżeli nawet wszystko już się stało – i oto patrzemy na siebie bezradnie jak obcy sobie ludzie – zawsze jest szansa odnalezienia się nawzajem, bowiem miłość nie umiera od razu, choć

czasem omdlała, przysypana gruzem codziennych trudności, może sprawiać wrażenie martwej.

Kryzys dorastania

Jest to jeden z najważniejszych przełomów w życiu rodziny. Polega on z jednej strony na przejściu dziecka do roli człowieka dorosłego – i z drugiej, na przejściu rodziców od roli wychowawców sprawujących pełną władzę i kontrolę nad dzieckiem do roli partnerów towarzyszących mu w jego dalszym rozwoju. Temu kryzysowi poświęcam odrębne rozważania w drugiej części książki.

Kryzys odlotu

Jest nim moment odejścia dziecka z domu rodzinnego i podjęcie przezeń dorosłego, samodzielnego życia. Ten, wbrew pozorom, bardzo trudny kryzys przebiega pod znakiem ambiwalencji, bowiem zarówno dziećmi, jak i rodzicami kierują z reguły dwie przeciwstawne tendencje. Z jednej strony rodzice zdają sobie sprawę z biologicznej i społecznej dojrzałości swych dzieci oraz z tego, że podjęcie przez nie samodzielnego, dorosłego życia jest nieuchronną koniecznością. Z drugiej jednak strony ci sami rodzice mają najczęściej własną wizję samodzielnego życia dziecka, jego kariery, jego przyszłego partnera i jego szczęścia. Pragnąc doprowadzić do jej urzeczywistnienia, usiłują nadal wywierać wpływ na życie potomka i kierować nim tak, jak to działało się we wcześniejszych okresach. Samodzielne zamiary i decyzje młodego człowieka są więc przez nich najczęściej krytykowane i negowane, choć pozornie nie mają oni nic przeciwko podjęciu przez córkę czy syna dorosłego życia.

„Czas już, żebyś poszedł do pracy” – mówią mu na przykład. Ale jednocześnie dodają: „Już lepiej siedź w domu, jeśli masz iść do **takiej** pracy”. „Czemu nie wycho-

dzisz za mąż?” – popędzają córkę do dorosłości. I natychmiast powstrzymują: „Zastanów się. To nie jest chłopak dla ciebie. Poczekaj. Masz czas”. I tak dalej. To powstrzymywanie ma jeszcze jeden aspekt. Otóż rodzicom z reguły trudno pogodzić się z dorosłością dzieci. Trudno im uwolnić się od poczucia, że wciąż jeszcze są małe, bezradne i wymagające opieki. A poza tym rodzice najzwyczajniej w świecie, mniej lub bardziej świadomie, nie chcą rozstać się z dzieckiem, ponieważ boją się samotności i uczuciowej pustki po jego odejściu.

Sytuacja emocjonalna dzieci jest bardzo podobna. Z jednej strony potrzeba niezależności, chęć uwolnienia się od kurateli rodziców i pragnienie nieskrępowanej realizacji swoich zamierzeń popycha je do „odlotu”. Z drugiej – lęk przed nieznanym, obawa przed koniecznością twardego zmierzenia się z przeciwnościami i wreszcie strach przed możliwymi i bardzo prawdopodobnymi niepowodzeniami w dorosłym życiu powstrzymuje je przed wyjściem spod „skrzydeł” rodziców. Dom rodzinny jest przecież znany i swojski, a życie z rodzicami, mimo różnych ograniczeń i niedogodności, stabilne i bezpieczne. Samodzielność zaś jest nieznaną, pełną ryzyka i niebezpieczną. I może właśnie dlatego tak pociągająca? Oto trudny wybór i związana z nim ambiwalencja, będąca przyczyną wielu konfliktów. Wystarczy sobie wyobrazić, że okres nacisków na wyjście z domu ze strony rodziców przypada na okres wzmożonych lęków przed dorosłością u ich dziecka albo na odwrót – dziecko rwie się do samodzielności, a rodzice, drżąc ze strachu, powstrzymują je przed np., w ich pojęciu, mezaliansem. Ileż pociąga to za sobą kłótni i ile ważkich decyzji podejmowanych pochopnie, „na złość starym”? Ile małżeństw pośpiesznie zawartych nie z miłości, ale z chęci opuszczenia rodzicielskiego domu?

Konstruktywne rozwiązanie kryzysu odlotu, tak jak i rozwiązania innych kryzysów, może być tylko kompromisem, w którym rodzice akceptują mimo wszystko wybory dzieci, a dzieci traktują rozmaite zastrzeżenia rodziców jak rady i przestrogi, które warto w swoich decyzjach wziąć pod uwagę. Jeżeli tylko wcześniejszy kryzys dorastania został rozwiązany konstruktywnie, jest to w pełni możliwe.

Kryzys pustego gniazda

Dwa pierwsze z opisanych kryzysów są kryzysami młodości. Dwa kolejne – to przełomy wieku dojrzałego. Kryzys pustego gniazda jest kryzysem starości.

Oto dzieci odeszły z domu, aby założyć własne rodziny, a rodzice znów, tak jak na początku swojej drogi, są tylko we dwoje. Ale w międzyczasie przeminęła większość życia. Nieaktualnych jest już wiele obowiązków, rentą lub emeryturą zakończył się okres pracy zawodowej, a energia, żywotność i zainteresowania młodości czy też wieku dojrzałego przeszły do historii. Pozostaje dużo, aż za dużo wolnego czasu.

Dla większości starszych ludzi jest to bardzo trudny okres. Ich udziałem staje się nuda i jednostajność życia, czemu towarzyszy uczucie pustki i bezsensu dalszej egzystencji. Starzy rodzice czują się niepotrzebni. Widzą wyraźnie, że ich rola zarówno w życiu ich dzieci, jak i w życiu społeczeństwa dobiega końca. Nikt już właściwie niczego od nich nie oczekuje i nie potrzebuje. Na dobrą sprawę mogą odejść. Dlatego moment przejścia na emeryturę jest dla wielu z nich punktem zwrotnym, od którego zaczyna się umieranie. Niektórzy reagują nań gwałtownym spadkiem sił oraz pojawieniem się rozmaitych dolegliwości i rzeczywiście szybko umierają. Czasami wygląda to tak, jakby pośpiesznie zabierali się ze świata, w któ-

rym nie mają już do odegrania żadnej roli. Inni wegetują w marazmie i nudzie, stając się powoli uprzykrzeniem otoczenia, własnych dzieci i siebie nawzajem, tym bardziej że wzajemna atrakcyjność, jakkolwiek rozumiana, też z reguły należy już do przeszłości. Jest to wizja pustej i smutnej starości, będącej udziałem wielu, choć nie wszystkich rodziców. Jeżeli przebieg dorastania i separacji dzieci pozwolił zachować z nimi dobry kontakt, porozumienie i ukształtować nowe zasady współżycia, starzy rodzice mogą stać się życzliwymi i zawsze przydatnymi dziadkami, odnajdującymi we wnukach sens i przedłużenie własnej egzystencji. Jeżeli pracy zawodowej towarzyszyły też inne pasje i zainteresowania, to pozostają one z reguły żywe i możliwe do kontynuowania również po przejściu na emeryturę. Jeżeli autorytet rodziców i pełen bliskości kontakt z dziećmi nie został unicestwiony w toku uprzednich przesileń, rodzicielska mądrość i doświadczenie mogą stać się źródłem dobrych rad i wsparcia dla dzieci, dając jednocześnie rodzicom poczucie, że są ważni i potrzebni. Jeżeli życie towarzyskie i przyjaźnie nie zostały uprzednio zaniedbane lub poświęcone na rzecz piętrzących się obowiązków – gniazdo rodzinne po odlocie dzieci nie musi być puste. Te różne „jeżeli” można by jeszcze mnożyć, gdyby nie fakt, że sprowadzają się one właściwie do jednego. W finale życia zbiera się owoce wszystkich minionych rozwiązań przełomowych sytuacji rodzinnych. I one składają się na rozwiązanie tego ostatniego kryzysu.

Rozdział VII

NIE KOŃCZĄCA SIĘ INWESTYCJA, CZYLI KRYZYS WYCHOWANIA

Wychowanie dzieci jest najdłużej trwającym, świadomym wysiłkiem podejmowanym przez rodzinę. Jest to **proces** toczący się we wszystkich prawie fazach życia rodziny i przebiegający poprzez niemal każdy punkt zwrotny i przesilenie. Wszystko wskazuje na to, że **proces wychowania** sam w sobie jest permanentnie trwającym **strukturalnym kryzysem rodzinnym**, jako że w istocie polega on na nieustannym, gwałtownym ujawnianiu się coraz bardziej złożonych i coraz bardziej burzliwych konfliktów pomiędzy dziećmi i rodzicami. Jak już wspomniałem wcześniej, pierwszy taki konflikt ujawnia się mniej więcej pomiędzy 1,5 a 3 rokiem życia dziecka. Jest to czas zwany w psychologii rozwojowej „okresem przekory”, kiedy rodzą się zręby osobowości dziecka oraz powstaje jego poczucie integralności i odrębności jako jednostki. Charakteryzuje się on niezwykle nasilonym dążeniem dziecka do samodzielności, do podkreślania swojej odrębności i do manifestowania przy każdej okazji swojej „niezależnej i samorządnej” woli. Przy znacznej jeszcze nieporadności ruchowej dziecka i jego niewielkich możliwościach intelektualnych tendencja ta jest dla rodziców z re-

guły wyczerpującym doświadczeniem. Trzylatek na niemal wszystkie propozycje mamy lub taty mówi: nie. Chce sam chodzić (czasem jeszcze nie bardzo sprawnie), gdzie mu się podoba, sam jeść, sam się ubierać, sam się myć i sam regulować rozkład swojego dnia. A na interwencje mamy, która usiłuje go wreszcie nakarmić po „samodzielnym” rozchlapaniu trzeciego talerza zupy, reaguje rozgłosnym rykiem protestu i rzęsiстыми łzami wylewanymi nad sponiewieraną niezależnością. Na tym etapie konflikt pomiędzy rodzicami i ich pociechą rozgrywa się na dwu poziomach. Z jednej strony rodzice, ze względów zdrowotnych i bezpieczeństwa, muszą ograniczyć dążenie swojego potomka do samodzielności i zmusić go do podporządkowania się ich woli. Z drugiej strony ruchliwość, ekspansywność i niespożyta energia dziecka stoi w sprzeczności z ich zmęczeniem, pragnieniem odpoczynku i poszukiwaniem możliwości zajęcia się choć przez chwilę swoimi sprawami. Sytuacja taka trwać będzie aż do 10 – 11 roku życia dziecka, kiedy jego energia i zainteresowania skierują się zdecydowanie w stronę grupy rówieśniczej.

Małe dzieci (czyli, jak już wcześniej przyjęliśmy, te do 10 roku życia) są czasami nazywane przez dorosłych „niewinnymi barbarzyńcami”. W ten sposób skrótowo wyrażają oni obserwację, że dzieciom nie wpojono jeszcze cywilizowanych zasad i norm współżycia, w związku z czym nie respektują one wielu zwyczajów, konwenansów i rytuałów regulujących dorosłe życie społeczne. Dzieci mówią o tym, co widzą, nie zważając na społeczną hierarchię i przepisy bon tonu (jak w znanej baśni Andersena „Nowe szaty króla”), wyrażają w sposób nieskrępowany swoje uczucia i potrzeby, pozbawione są w znacznym stopniu wstydu i tak zwanego „wycucia” (czyli umiejętności oceny co wypada, a co nie), nie „chwytają aluzji” i nie zmierzają do celu ogródkami. W związku z tym rodzi-

ce przeżywają nieraz katusze wstydu i zażenowania wynikające ze spontanicznego i szczerego zachowania się potomka. Sam doświadczyłem przed paru laty tego uczucia, kiedy moja córka (chyba wtedy pięcioletnia) odebrała telefon (jak się później okazało od mojego szefa, profesora i znanego naukowca), oświadczając bez ogródek: „Tata nie może teraz podejść, bo robi kupę”. Nic więc dziwnego, że rodzice dążą do okiełznania tej spontaniczności i nadania zachowaniu się pociech cywilizowanej ogłady dobrego wychowania.

W okresie dorastania, z kolei, dzieci dążą do autonomii i swobody, a rodzice pragną zachować kontrolę i nadzór.

Podczas zbierania się potomstwa do odlotu z rodzinnego gniazda we własne, dorosłe życie, rodzice w dobrej wierze usiłują narzucić im swoją tęgo życia koncepcję. I tak dalej.

Wszystko to skłania do wniosku, że proces wychowania w bardzo wielu swoich momentach jest, w gruncie rzeczy, **użyciem przez rodziców różnych form przemocy i nacisku** w celu poskromienia „natury” dziecka i wtłoczenia jego zachowań w społecznie akceptowane ramy. „Samo z siebie” dziecko nie zacznie sikać do sedesu, myć zębów, jeść nożem i widelcem, mówić „przepraszam” i „dziękuję” czy recytować wierszyków na imieninach cici Heli. Dowodzą tego niezliczone przykłady „małych dzikusów” wzrastających w zaniedbanych domach dziecka czy w rodzinach, gdzie z różnych powodów (np. alkoholizmu czy narkomanii rodziców) zajmowanie się dzieckiem sprowadza się do dawania mu (i to nie zawsze) jeść i pić.

Wiadomo też jednak, że użycie przemocy wywołuje w jej ofiarach opór i bunt bez względu na to, kim one są i jaki stopień rozwoju reprezentują. Przeciw bezpośredniemu naciskowi i stosowaniu siły protestują na różne sposoby

zarówno poddawany tresurze pies, świnka morska zmuszona do odgrywania roli ubieranej w śpioszki lalki, jak i dziecko, które w wieku 3 – 4 lat nie rozumie, dlaczego dobrze jest myć zęby. Z tego powodu dzieci (szczególnie małe) stawiają opór wychowawczym poczynaniom rodziców i tym samym czynią z procesu wychowania najbardziej przewlekły i trudny kryzys w każdej rodzinie. W kryzysie tym sytuacja wychowujących (rodziców) i wychowywanych (dzieci) jest diametralnie różna.

Rodzice w swoich działaniach kierują się na ogół dalekosiężnymi przewidywaniami i planami, które dla ich pociech są absolutną abstrakcją. Ośmioletnie czy nawet starsze dziecko nie jest w stanie pojąć, dlaczego ma poświęcać czas, który przecież tak wspaniale można spożytkować na zabawę, nudnym w końcu, jednostajnym i trudnym lekcjom języka angielskiego. Nie rozumie ono do końca motywacji, jakimi kierują się rodzice, zmuszając je do tych lekcji, bowiem czasowy horyzont małego dziecka ogranicza się do kilku dni. Stanowi to mniej więcej normalny pułap w zgodnej z jego rozwojem percepcji czasu. W praktyce dziecko będzie więc na różne sposoby „wymigiwać się” od zazwyczaj kosztownych lekcji języka, unikając ich, markując przygotowywanie się do nich lub, w najgorszym razie, biernie i bez żadnych korzyści w nich uczestnicząc. Sytuacja taka powoduje z reguły rozgoryczenie rodziców i żal z powodu niedoceniania przez syna czy córkę ich zapobiegliwości, zdolności przewidywania, dobrej woli i, w końcu niebagatelnych, finansowych nakładów. To pozaświadome oczekiwanie przez rodziców **wdzięczności** ze strony dziecka za ich rozmaite starania, wysiłki i poświęcenia jest, nawiasem mówiąc, zupełnie pozbawione sensu, bowiem dziecko, niemal aż do okresu dorosłości, przyjmuje to wszystko całkowicie naturalnie jako coś, co mu się od matki czy ojca należy. Fakt sprawo-

wania przez rodziców wszechstronnej nad nim opieki i zaspokajania wszystkich jego potrzeb jest dla dziecka normalnym, ustalonym i niezmiennym porządkiem świata. Tym samym przeciętne, żyjące w normalnej rodzinie dziecko nie przeżywa wobec rodziców uczuć wdzięczności. Nie przychodzi mu bowiem do głowy, że rodzice mogliby zachowywać się inaczej lub że to, co robią, zależy od ich dobrej woli, a nie od owego ustalonego porządku świata. Wdzięczne potrafią być tylko te dzieci, które doświadczyły uprzednio samotności, cierpienia i braku opieki. A i to tylko na krótką metę.

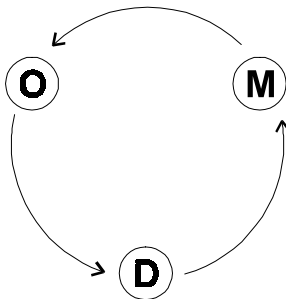
Dla rodziców dziecko jest nie kończąca się inwestycją, życiową „czarną dziurą”, zdolną pochłoniąć każdą ilość energii, uczuć, czasu i dóbr materialnych. Nie dostają przy tym oni satysfakcji innej niż możliwość uczestniczenia w jego rozwoju i obserwowania kolejnych osiągnięć. Jest to w dodatku inwestycją niepewną, ryzykowną, budząca stały niepokój i obawy. Dla rodziców wraz z narodzinami dziecka pojawia się lęk o jego życie, zdrowie, rozwój, bezpieczeństwo, powodzenie, trafne wybory życiowe, o to, by spotkało dobrego partnera. I tak dalej. Lęk o dziecko nie kończy się właściwie nigdy, jest bowiem stałym atrybutem rodzicielstwa i drugą, obok miłości, siłą napędową będącego permanentnym kryzysem procesu wychowania. Na kryzys wychowania składają się setki i tysiące mniejszych kryzysów, rozgrywających się w codziennych sytuacjach życiowych i wychowawczych w każdej rodzinie. Jeżeli przynajmniej część z nich zostanie rozwiązana konstruktywnie, to i cały kryzys znajdzie swój konstruktywny finał w postaci „wyprodukowania” przez rodzinę wartościowego człowieka.

Rozwiązaniu niektórych z tych pomniejszych kryzysów poświęcona jest druga część książki.

Rozdział VIII

KTO W RODZINIE ZAJMUJE SIĘ WYCHOWANIEM, CZYLI O TYM, ŻE DZIECI TEŻ WYCHOWUJĄ RODZICÓW

Przyjście na świat dziecka przekształca małżeństwo w rodzinę. W miejsce układu małżeńskiego powstaje system rodzinny, w którym przebiegać będzie opieka nad potom-



kiem i proces jego wychowania. Skoro zaś wychowanie odbywa się w ramach systemu rodzinnego, to oczywiste jest, że będzie ono dotyczyło całego tego systemu i angażowało wszystkich jego członków. Jak pamiętamy, w sys-

temie rodzinnym wszyscy domownicy powiązani są ze sobą siecią sprzężeń zwrotnych, powodujących, że jakakolwiek zmiana w zachowaniu się jednego z nich powoduje natychmiastowe zmiany w zachowaniu się wszystkich pozostałych. Oznacza to, że zachowanie się matki czy ojca wpływa na zachowanie się dziecka, ale i zachowanie się dziecka wpływa na postępowanie rodziców. Po prostu w systemie rodzinnym wszyscy nawzajem wpływają na swoje zachowanie się według następującej zasady:

Matka wpływa na zachowanie się dziecka w tym samym stopniu, w jakim wpływ dziecka kształtuje jej postępowanie. Dotyczy to oczywiście także układu ojciec – dziecko i ojciec – matka.

Dla przykładu wyobraźmy sobie, że matka rozzłoszczona tym, iż syn wciąż pluje na stół spożywaną właśnie kaszką, daje mu w końcu klapsa. Dziecko zanoszą się rozpaczliwym płaczem i usiłuje przytulić się do matki. Widok łez i rozpachy chłopca wywołuje u matki żal i poczucie winy, w wyniku czego zaczyna ona tulić i uspokajać syna, którego przecież przed chwilą ukarała. Pod wpływem zabiegów matki mały stopniowo się uspokaja i wraca do tak przecież wspaniałej zabawy, jaką jest plucie kaszką. Tym razem matka pod wpływem uprzedniego doświadczenia nie próbuje już klapsa, ale np. zabiera kaszkę. Powoduje to, że dziecko... I tak dalej.

Wszystko to sprawia, że proces wychowania w rodzinie ma charakter relacyjny. Jest on nie kończącym się ciągiem wzajemnych ustosunkowań, czyli relacji, pomiędzy członkami rodziny. W tych relacjach, za pomocą wzajemnego wpływu i oddziaływania na siebie, realizowane są zadania i cele wychowawcze. Na pytanie, kto w rodzinie zajmuje się wychowaniem, odruchowa niejako odpowiedź brzmi: oczywiście rodzice. W rzeczywistości, w relacjach wychowawczych rodzice są też obiektem, naj-

częściej pozaświadomych, oddziaływań wychowawczych dzieci. Swoim postępowaniem potomstwo wpływa na zachowanie się rodziców, powodując liczne i trwałe zmiany w tym zachowaniu. A trwałe zmiany zachowania się są przecież istotą i celem wychowania.

Kontakt z dzieckiem, rodząca się i rozwijająca miłość do niego, świadomość całkowitej odpowiedzialności za jego życie i los wywołują może subtelne, ale za to trwałe zmiany w psychice rodziców. Wiele żon podkreśla, że obcowanie z synem lub córką wpłynęło łagodząco i wyciszająco na ich cholerycznych, wybuchowych mężów. Z kolei wielu mężów stwierdza, że ich małżonki, przeistaczając się w matki, stały się bardziej miękkie, delikatne, cierplive i wyrozumiałe. Opieka nad małym dzieckiem jest rzeczywiście twardą szkołą cierpliwości i wyrozumiałości, co daje odczuwalne efekty nie tylko w relacjach z potomkiem. Tym sposobem niemowlę, a potem małe dziecko, niejako wychowuje własnych rodziców, ucząc ich pokory, cierpliwości i zrozumienia, że wobec tak małej osoby wypróbowane dotąd metody działania (perswazja, złość, szantaż itp.) są po prostu nieprzydatne i że w związku z tym trzeba szukać nowych. Uczy ich ono też odpowiedzialności i wytrwałości, pokazując wciąż, jakie skutki ma i może mieć dla niego rodzicielska niefrasobliwość i opie-szałość. Jedna z moich pacjentek, w przebiegu zrozumienia tej wzajemnej relacji wychowawczej między małym dzieckiem i rodzicami, tak oto ją opisała: „Od czasu przyjs-cia na świat Kasia właściwie rządzi nami i naszym do-mem. Podporządkowała sobie całkowicie mnie i męża, robiąc z nas zupełnie innych ludzi niż poprzednio. W miejsce nieco rozleniwionych »luzaków« pojawiło się dwoje sprężonych i sprawnych wykonawców, wyczulo-nych na grymasy księżniczki manifestowane jej płaczem, okrzykami, stękaniem i innymi »wyrazami« z jej prywat-

nego języka, którego zresztą błyskawicznie się nauczyliśmy. Mój mąż, inżynier i zakamieniały technokrata, już po dwu tygodniach bezbłędnie rozróżniał po płaczu, czy ma ona mokro, czy jest głodna, czy też po prostu się nudzi. Ja sama zaczęłam się inaczej poruszać, od czasu gdy zauważyłam, że kiedy chodzę z Kasią na rękach swoim normalnym, energicznym krokiem albo pcham wózek w moim normalnym, czyli ekspresowym tempie – zamiast zasypiać, staje się ona niespokojna, pobudzona i w końcu zaczyna płakać. Teraz chodzę wolno i dostojnie, a córka zasypia błyskawicznie, ukołysana moim »krokiem matrony«. Przy okazji zauważyłam, że mój stały pośpiech i gorączkowe »miotanie się« właściwie nie mają sensu i są raczej moim nawykiem niż odpowiedzią na konkretne wymogi sytuacji. W efekcie również psychicznie przestałam się niecierpliwić i miotać, co mój mąż przyjął z wyraźnym uznaniem”.

Z czasem akcje wychowawcze dziecka wobec rodziców stają się coraz bardziej złożone i, chciałoby się powiedzieć, przemyślane, choć tak na pewno nie jest. W dalszym ciągu bowiem opierają się one na pozaświadomej intuicji. A oto przykład takiej akcji.

Jakiś czas temu zgłosili się do mnie zdesperowani rodzice pięcioletniego Filipa, twierdząc, że chłopiec w niespełna trzy tygodnie od rozpoczęcia kariery przedszkolaka uciekł z przedszkola, a następnie stanowczo odmówił uczęszczania doń. Fakty były następujące. Krytycznego dnia Filip został jak zwykle odwieziony rano przez matkę do przedszkola, gdzie też, jak zwykle mało chętnie, został. W dwie godziny później chłopiec pojawił się w miejscu pracy matki (bywał tam przedtem już nieraz), odległym od przedszkola o kilka ulic. Półprzymotanej z przerażenia rodzicielce Filip oświadczył stanowczo, że uciekł z przedszkola „raz na zawsze” i że nigdy tam już nie wróci. Sło-

wa dotrzymał. W ciągu najbliższych kilku dni rodzice wszelkimi sposobami starali się go nakłonić do powrotu w przedszkolne progi (gdzie tymczasem, po imponującej akcji śledczej, okazało się, że chłopca nie spotkała żadna przykreść, nie był źle traktowany przez nauczycielki ani nikt nie wypychał mu na siłę znienawidzonego szpinaku), a gdy nic – łącznie z próbami przekupienia uparciucha najbardziej upragnionymi zabawkami – nie dawało rezultatu, zawlekli syna do przedszkola siłą. Filip narobił wrzasku na całą ulicę, oświadczył, że i tak ucieknie... i wygrał. Rodzice zwrócili się teraz do tzw. „specjalistów”, takich jak ja, aby uzyskać pomoc w wyleczeniu ich syna z, jak to nazwała opiekująca się przedszkolem pani psycholog, „fobii przedszkolnej”. Pierwszym moim krokiem „specjalisty” było umieszczenie zachowania się dziecka w kontekście rodzinnym. W wyniku dokładnego wywiadu okazało się, że w domu Filipa od pewnego czasu trwał kryzys związany z konfliktem pomiędzy rodzicami na temat sposobu dalszego funkcjonowania rodziny. Ojciec chłopca domagał się, aby matka zrezygnowała z powrotu do pracy zawodowej i pozostała w domu, zajmując się wychowaniem dziecka. Pragnął też w krótkim czasie mieć drugie dziecko, aby rodzina stała się, jego zdaniem, „prawdziwą rodziną”. Matka natomiast nie chciała porzucić swojego zawodu i pracy. Godziła się na drugie dziecko, ale co najmniej po roku aktywnego życia zawodowego. W wyniku tych nie dających się pogodzić kontrowersji ojciec obraził się na żonę, mówiąc, żeby „robiła, co chce”, ponieważ jego przestało to obchodzić. Zaczął też demonstracyjnie więcej pracować i mniej być w domu. Wobec takiego stanowiska męża matka „poszła w zaparte”. Sama i za własne pieniądze załatwiła przedszkole dla Filipa i wróciła do pracy. Można sobie wyobrazić, jak wyglądały ich, nieliczne zresztą, wspólne wieczory lub

wspólne soboty i niedziele. W domu nastąpiły nie kończące się „ciche dni”.

Odmowa chodzenia do przedszkola ze strony Filipa odegrała w tym systemie rodzinnym rolę przeciwną do omawianej już wcześniej roli objawu. Nie tylko nie przyczyniła się do utrzymania nowo ukształtowanej równowagi (obrażony ojciec i „zaparta” matka), ale wręcz spowodowała jej gwałtowną zmianę. Na pewien czas zachowanie się chłopca wywołało, co prawda, skutki podobne do tych, jakie w systemie rodzinnym powoduje objaw, a mianowicie zmusiło obrażonego ojca i „zapartą” matkę do współdziałania i ponownej analizy zaistniałej sytuacji. Jej wynikiem była, między innymi, wizyta u mnie, w czasie której doszło do rozmowy na temat sensowności zajętych wobec siebie przez małżonków postaw. W rezultacie rozmowy oboje uznali, że możliwe jest wyjście kompromisowe, znajdujące uzasadnienie w ich wzajemnej miłości i jednoznacznej chęci bycia razem. Ode mnie otrzymali wskazówkę mówiącą, że im bardziej poprawi się ich relacja w kierunku zgody i bliskości, tym mniejsze będą opory ich syna przed uczęszczaniem do przedszkola. Kompromis polegał na przyjęciu przez ojca argumentów żony i na wyrażeniu zgody na jej pracę zawodową teraz i w przyszłości. Matka z kolei zgodziła się nie odwlekać sprawy drugiego dziecka. Skutkiem zawartego porozumienia było pogodzenie się rodziców i powrót do bliskości, a co za tym idzie, radykalna „odwilż” w ozięblej i napiętej atmosferze domu. Po kilku dniach trwania takiego stanu rzeczy Filip sam zaproponował próbę swojego powrotu do przedszkola, co też wkrótce i bez dalszych kłopotów się stało. Jego ucieczka wraz z późniejszymi następstwami była bowiem, jak się zdaje, jedynie intuicyjnie wybranym środkiem prowadzącym do zupełnie innego celu. Chłopiec odmówił biernego uczestnictwa w budzącej jego

przerażenie rozgrywce pomiędzy rodzicami, przez co spowodował najpierw zachwianie, a potem całkowitą zmianę kształtującej się w rodzinie, niekorzystnej dla niego, równowagi. Efektem tej zmiany było nowe porozumienie rodziców i trwałe zmiany w ich zachowaniu się. Tak oto mały Filip nieco „wychował” swoich mamę i tatę.

W miarę dorastania dzieci ich sposoby wpływania na postępowanie rodziców stają się coraz bardziej świadome. Około 7 – 8 roku życia nasze potomstwo zaczyna się coraz sprawniej posługiwać informacją zwrotną, mówiąc nam wprost, jakie nasze zachowania nie odpowiadają im i dlaczego. Już w tym wieku córka czy syn potrafi powiedzieć matce: „Nie krzycz tak na mnie, bo kiedy krzyczysz, to ja się denerwuję i ubieram się wolniej” albo: „Nie stój nade mną, kiedy ścielę łóżko, bo wtedy mi gorzej wychodzi. Lepiej wyjdź, a potem przyjdź sprawdzić”. I tak dalej.

Każdy rodzic przyzna, że słuszność tych uwag bywa czasem tak uderzająca, że opada nam przysłowiowa szczeka i nie pozostaje właściwie nic innego, niż w milczeniu uczynić sobie solenną obietnicę zmiany postępowania. W okresie dorastania bezlitosna często w swej brutalnej prawdzie, a przy tym dokładna i precyzyjna informacja zwrotna staje się w rękach dzieci głównym narzędziem buntu i podważania rodzicielskiego autorytetu. „Starzy” dowiadują się wtedy ze szczegółami, że są „twardogłowi”, zacofani, wścibscy, niedyskretni, nietolerancyjni, dwulicowi, oportunistyczni, kłamliwi itd., itp. Większość z tych krytyk opiera się, niestety, na faktach, a ich logice i jasności wyводу nie można nic zarzucić. I znów, aby ocalić w oczach naszych synów i córek resztki szacunku, nie pozostaje nam nic innego, jak uznać słuszność przynajmniej części zarzutów i najzwyczajniej w świecie zmienić zachowanie.

W tym też okresie pojawia się przymus, najmocniejszy i najbardziej świadomy ze sposobów wpływania dzieci na

postępowanie rodziców. Dorastające potomstwo dość szybko odkrywa, iż rodzice są, w gruncie rzeczy, bezradni wobec niego. Wystarczy tylko stanowczo powiedzieć – nie, aby zobaczyć, jak matka i ojciec (którzy doskonale wiedzą, że siedemnastolatkowi już nie sposób dać klapsa ani postraszyć go czymkolwiek) przechodzą od buńczucznych pogroźek do żalonych próśb i błagań.

„Wyjeżdżam w sobotę do Krakowa na osiemnaste urodziny koleżanki” – mówi np. szesnastoletnia córka matce.

„Nie ma mowy. To za daleko. Nigdzie nie pojedziesz” – stwierdza matka.

„Tak? Ciekawe, jak mnie zatrzymasz – ciągnie córka. – Może mi nie dasz pieniędzy? Obejdzie się. Poradzę sobie”.

„Powiedziałaś już – upiera się matka. – Nigdzie nie pojedziesz i przestań o tym mówić, bo...”

„Bo co? – wpada jej w słowo córka. – Zbijesz mnie? Spróbuj!”. I tak dalej. Dialog ten – autentyczny zresztą, zakończył się następującą kwestią matki:

„Masz tu pieniądze i błagam, uważaj na siebie w tym Krakowie”.

Odkrycie bezradności rodziców powoduje, że dzieci z pozycji podporządkowanych i uległych obiektów rodzicielskiej władzy przechodzą na pozycje dyktujących twarde warunki równorzędnych partnerów.

„Jeżeli chcesz mnie widzieć częściej w domu, to musisz się zgodzić na odwiedziny moich kolegów”. „Jeżeli nie przestaniesz wciąż gadać o nauce – możesz się pożegnać z moim zdaniem do następnej klasy”. „Jeśli nie zgodzisz się na moje późniejsze powroty do domu, to nie licz na dobre wyniki w szkole”. I tak dalej. Są to przykłady jeszcze w miarę łagodnych tekstów, kierowanych przez nastolatki do swoich rodziców, którym z lęku o dziecko, o swój z nim kontakt i porozumienie, znów nie pozostaje nic innego, jak zacisnąć zęby i zmienić swoje postępowanie.

I tak, można powiedzieć, toczy się wzajemne wychowanie dzieci przez rodziców i rodziców przez dzieci, co powoduje, że gdzieś w końcu tego procesu ani dzieci (co od „zawsze” jest zrozumiałe), ani rodzice (co, mam nadzieję, będzie teraz bardziej zrozumiałe) nie są tymi samymi ludźmi, którzy go zaczynali.

I na tym kończę niekompletny i uproszczony, ale, jak sądzę, na nasze potrzeby wystarczający opis życia rodzinnego. W drugiej części będę się do niego często odwoływał.

Część druga

HEREZJE WYCHOWAWCZE

*...cóż jest to wychowanie, jeśli
nie oddalenie tylko człowieka od
stanu przyrodzonego, a naginanie
go do uprzedzeń, narowów, uznanych
za dobre w jakimś miejscu świata?*

(ALEKSANDER TYSZYŃSKI)

Rozdział I

WŁAŚCIWIE WSZYSTKO WIADOMO, CZYLI O STEREOTYPACH W WYCHOWANIU

Z wychowaniem w naszym kraju jest trochę tak jak z medycyną. Każdy Polak zna się na jednym i na drugim. Historia Stańczyka, który swego czasu wyszedł na krakowskie ulice z obwiązaną głową i od każdego napotkanego znajomka (a nawet od zupełnie obcych ludzi) otrzymywał receptę na pozbycie się bólu zębów, mogłaby się dziś śmiało powtórzyć. To samo dotyczy wychowania. Każdy z nas był, lepiej lub gorzej, wychowywany i niemal każdy z nas kogoś wychowywał. Upoważnia nas to we własnym mniemaniu do czucia się ekspertem od wychowania i do udzielania bliźnim zbawiennych rad w tym zakresie. Spróbujmy się zastanowić, skąd pochodzi ta nasza wiedza pedagogiczna i jakiej ona jest próby.

Pierwszym, jak się wydaje, i najważniejszym źródłem informacji na temat rozwiązywania rozmaitych problemów wychowawczych jest nasze doświadczenie wyniesione z własnego procesu wychowania. Wybierając określony sposób rozegrania jakiejś sytuacji wychowawczej, mówimy bardzo często np.: „Moja matka tak robiła i wszystko było w porządku”. Aktualnej wartości owych zapamiętanych z dzieciństwa pomysłów pedagogicznych

z reguły już nie sprawdzamy, bo przecież wiadomo, że „tak się robi”, a i my sami stanowimy niejako widomy dowód na to, iż owe pomysły prowadzą do „wyprodukowania” porządnego człowieka. W ten sposób nasz własny przeżyty już proces wychowania staje się ważnym źródłem gotowych, stereotypowych rozwiązań różnych problemów wychowawczych, sprawianych nam przez nasze dzieci.

„Mój ojciec mnie bił za najmniejsze przewinienie i wyrosłem na wartościowego człowieka. Więc i ja będę ciebie bił” – mówimy nierzadko córce czy synowi z głębokim przekonaniem, że taka jest konieczność i że innego wyjścia nie ma. Nie próbujemy nawet sprawdzić, czy można by inaczej, bowiem oprócz bicia, którym posługiwał się nasz ojciec, nie znamy innej metody. Taki jest mechanizm powstawania ciągnących się nieraz przez pokolenia tradycji dotyczących postępowania w konkretnych sytuacjach wychowawczych (mówiących np., że czego dziecku nie wbijemy „przez tyłek do głowy”, tego nie będzie ono realizowało w okresie dorosłości). W tym tradycyjnym postępowaniu wiele nie zgadza się nie tylko z ustaleniami psychologii, ale nawet z logiką i zdrowym rozsądkiem.

Tymczasem do tego samego celu prowadzą różne drogi, a ten sam efekt wychowawczy można osiągnąć różnymi sposobami.

Drugim, niemal równie ważnym źródłem naszych pomysłów pedagogicznych są nagromadzone w danej kulturze przesady na temat wychowania potomstwa. Podają one w postaci gotowych recept sposobów załatwienia typowych problemów, jakie napotykają wszyscy rodzice. Pochodzą one z przekazywanej z ust do ust potocznej wiedzy na temat rozwoju dziecka i procedur radzenia sobie z nim w najtrudniejszych sytuacjach. Przed wielu laty zetknąłem się z receptą, wedle której, aby odzwyczaić dziecko

od smoczka, należy zabierać mu ów smoczek zawsze wtedy, kiedy maluch najbardziej go potrzebuje (a więc w chwilach smutku, zdenerwowania, lęku czy po prostu zasypiania), i podsuwać mu pod nos brudny, „owłosiony” grzebień. Nikt nie wiedział, dlaczego właściwie tego rodzaju kontakt z grzebieniem ma wytworzyć u dziecka awersję do smoczka. Wiadomo było natomiast, że „tak się robi od zawsze” i że jest to procedura nad wyraz skuteczna. Ale nie zawsze. Moja własna matka, przepytwana przeze mnie na tę okoliczność, stwierdziła, że grzebień zupełnie na mnie nie działał i ssałem zużyty i pozszywany przez dobrego dziadka (były to trudne i ubogie lata czterdzieste) smoczek aż do czwartego roku życia, kiedy to sam zdecydowałem więcej go nie używać.

Inne przesady wyrażają się w takich obiegowych opiniach, jak np. ta o Jasiu, który, gdy się czegoś nie nauczy, to jako dorosły Jan nie będzie tego umiał. O dziecku, które gdy nie słucha ojca i matki, posłucha psiej skóry (czyli służącej do bicia dyscypliny), czy o konieczności załatwiania ważnych spraw rodzinnych „nie przy dziecku”, bowiem jest ono zbyt delikatne i za świadkowanie np. rodzicielskiej kłótni może zapłacić jękaniem się lub moczeniem do łóżka. Tego rodzaju przeświadczeń funkcjonuje bardzo dużo w zbiorowej świadomości. Niektóre z nich mają charakter regionalny i obowiązują tylko na ograniczonym terenie (jak np. panujące w południowej Polsce przekonanie, że bawienie się zapałkami – czy szerzej, ogniem – może spowodować zsikanie się dziecka w nocy do łóżka), inne zaś mają niejako „zasięg ogólnopolski” i stanowią zazwyczaj podstawowe „wyposażenie pedagogiczne” wielu młodych matek i ojców.

Trzecim wreszcie źródłem inspiracji wychowawczej rodziców są oficjalnie lansowane koncepcje i mody pedagogiczne. Przez wiele lat np. lansowana była w Polsce

koncepcja ściśle rozplanowanego czasowo karmienia niemowląt. Miały być one karmione „na godzinę” kilkanaście razy w ciągu doby bez względu na ich zapotrzebowanie na pokarm i zachowanie się. Doprowadziło to do „wyprodukowania” generacji dzieci, które nie identyfikowały uczucia głodu. Nie potrafiły one dać opiekunom jednoznacznego sygnału, że są głodne, rozładowując „głodowe napięcie” w pozornie pozbawionym przyczyny płaczu, ruchowym podnieceniu, zaburzeniach snu i ogólnym rozgrymaszeniu. Dopiero pojawienie się na polskim rynku sławnej książki o opiece nad dzieckiem doktora Benjamina Spocka spowodowało gremialny zwrot rodziców w stronę naturalnego i uzasadnionego logicznie karmienia „na żądanie”.

Potem była moda na importowane, głównie ze Stanów Zjednoczonych, „wychowanie bezstresowe”, którego podstawowymi metodami było „podążanie za dzieckiem” oraz obdarzanie go maksymalną uwagą rodziców. Ten akurat pomysł nie zdobył powszechnego uznania, doczekując się nawet całej serii dowcipów wykpiwających skutki jego stosowania, jak choćby ten oto: W tramwaju jedzie młoda mama z mniej więcej pięcioletnim synem. Chłopiec siedzi na fotelu, podziwiając przez okno to, co jest do podziwiania, a matka stoi obok. W pewnej chwili stojąca w pobliżu mocno starsza pani odzywa się uprzejmie: „Może pani synek ustąpiłby mi miejsca, bardzo trudno mi stać”. Matka na to: „Proszę załatwić to z synem. Ja wychowuję go bezstresowo i nie będę wywierać nań nacisku, aby ustąpił pani miejsca”. W tym momencie z fotela w głębi wagonu wstaje młody człowiek i podchodzi do matki naszego chłopczyka. „Mnie też rodzice wychowywali bezstresowo” – mówi, przylepiając jej do czoła żutą dotychczas gumę. To lapidarny i bardzo trafny komentarz do całej owej koncepcji opartej na założeniu, że dziecko jest równoprawnym partnerem dorosłego. Ma prawo do

pełnej wolności osobistej i do nie skrepowanego „wyrażania siebie”, w związku z czym powinno być traktowane jak inny dorosły. Tymczasem jak jest, każdy widzi. Dziecko po prostu nie jest partnerem dorosłego ani tym bardziej nie jest dorosłym.

Obecnie najwyraźniej nastąpiła moda na wychowanie zorientowane w przyszłość, preferujące uczenie dzieci rozmaitych umiejętności (tenis i jazda konna, golf, komputery). Troska rodziców skupia się na zapewnieniu potomstwu niezliczonych dodatkowych zajęć, które mają poprawić jego pozycję startową w przyszłe dorosłe życie. Już kilkuletnie dzieci uczone są intensywnie języków obcych, informatyki, zasad prowadzenia tzw. „biznesu”, a także jazdy konnej, gry w tenisa i w golfa, jako najlepiej rokujących przyszłościowo umiejętności towarzyskich. Tym sposobem zabiegani i ponad miarę zajęci rodzice zaczynają mieć zabiegane i ponad miarę zajęte dzieci. I wszyscy są zadowoleni. Myślę, że do czasu. Wychowania bowiem nie można zastąpić edukacją, chociaż takie tendencje wykazuje również współczesna polska szkoła. Są to dwa różne, chociaż ściśle uzupełniające się procesy. Bez dobrego wychowania nie ma skutecznej edukacji i bez równoczesnej edukacji nie ma dobrego wychowania. A jedno do drugiego, jak już powiedziałem, sprowadzić się nie da. Toteż mamy coraz więcej dzieci ani dobrze wyedukowanych, ani dobrze wychowanych, za to zagubionych, spiętych i nieszczęśliwych.

Wychowanie, jak rzadko który proces społeczny, jest terenem opanowanym przez jałową rutynę i przesąd, gdzie zdrowy rozsądek przebija się z najwyższym trudem. A właśnie głównie do zdrowego rozsądku rodziców odwołuje się ta część książki.

Rozdział II

Z ŻABIEJ PERSPEKTYWY, CZYLI O KUCANIU DO DZIECKA

Bardzo szeroko rozpowszechniony, aczkolwiek rzadko do końca uświadamiany sobie przez dorosłych przesąd głosi, że w stosunku do małego dziecka należy zachowywać się i mówić „po dziecinnemu”. Wynika on z przeświadczenia, że np. „półtorarocznik” lub dwulatek jest stworem zdolnym do jako tako sensownego kontaktu tylko na swoim poziomie rozwoju. Taki też kontakt „w kucki” uprawiają czarująco sepleniące mamusie i szczebioczące ciotce, rozkosznie paplające koleżanki mamy i tatusiowie raczkujący po pokoju, aby zabawić dąsającego się potomka. Zewsząd rozlega się „księżycowy język”, owe: „maś tu papu, żarasz mamcia da, pójdziemy ajciu na spacer, cio tu dzidzia jobi” itd.

Dorośli ciamkają, ślinią się, kłaskają, cmokają, grzebią się w piasku, skaczą na jednej nodze, chodzą w kucki, bawią się lalkami, udają egzotyczne zwierzęta (sam znam tatusia, który do perfekcji opanował cieszący jego córeczkę sposób chrząkania małej foczki) i wyczyniają inne jeszcze niesamowite rzeczy, które można czasami obserwować w parkach i ogródkach jordanowskich. Częściowo wynika to z zafascynowania dzieckiem i dziejącym się na

naszych oczach, zdumiewającym procesem rozwoju, czego wynikiem bywa często przemożna tendencja rodziców do podchwytывania uroczo nieporadnego i zabawnego sposobu mówienia ich pociech. W wielu rodzinach neologizmy zmagające się z początkami mowy potomka wchodzą wręcz na długi czas do słownictwa dorosłych.

Ta zdumiewająco łatwa zgoda na „zdziecinnienie” kontaktu i „kucanie do dziecka” wynika z przekonania, że dziecko tak chce i to lubi. A tymczasem niezliczone obserwacje wskazują na coś zupełnie innego. Dzieci stronią lub wręcz unikają kłaskających cioć, wpadają w osłupienie na widok raczkujących po pokoju tatusiów i babć oraz chowają się pod łóżko przed uroczo paplającymi koleżankami mamusi. Z przyjemnością natomiast wdają się w kontakty np. z reperującym kran hydraulikiem czy normalnie (a nawet nieco sztywno) zachowującym się wujkiem, który mówi doń i zachowuje się „po dorosłemu”. Bowiem nasze potomstwo lubi i chce, żeby świat wokół niego był uporządkowany, żeby dorośli byli dorosłymi i nie udawali dzieci, bo gdy to robią, świat przestaje być zrozumiały i bezpieczny. Dzieci bardzo lubią, żeby się z nimi bawić, ale chcą, żebyśmy w tych zabawach byli sobą i bawili się po swojemu, a nie przeistaczali się w głupkowaną najczęściej karykaturę dziecka, która budzi przerażenie swoimi ekscesami. Nie uznają one „zdziecinniania” mowy i infantylizowania swojego zachowania za objaw miłości i czułości, jak sądzi mnóstwo dorosłych. Wyrazem miłości i czułości jest dla nich nasza **dorośla**, poświęcana im uwaga i nasza **dorośla** z nimi bliskość. Rzeczowo i poważnie rozmawiających z nimi dorosłych nie odbierają jako oschłych sztywniaków. One lubią rzeczowość i pewien dystans dający im szansę wyboru własnego zachowania.

Wszystko, co powyżej napisałem, wiem od samych dzieci – albo z rozmów z nimi (z trzylatkiem już można

zupełnie poważnie porozmawiać), albo z wieloletnich obserwacji. Jeżeli sami zechcecie z nimi porozmawiać lub życzliwie je poobserwować, przekonacie się, ku swemu zdumieniu, że „kucanie do dziecka” odnosi wręcz przeciwny do zamierzonego skutek. Podważa ich poczucie bezpieczeństwa i utrudnia im nawiązanie z nami kontaktu.

W kontaktach ze swymi pociechami rodzice powinni pozostać sobą. Oznacza to np. z ich strony odmowę udziału w zabawach, które są dla nich zbyt kłopotliwe i trudne. Jeżeli ojciec nie potrafi wcielić się w małego synka Barbie, co proponuje mu w zabawie jego córka, powinien (zamiast zgadzać się na markowanie, jak to najczęściej w głębi duszy nazywa, „wyglupów” w imię „świętego spokoju”) jasno odmówić tego na rzecz swojej własnej propozycji.

„Nie chcę się bawić w synka Barbie – może on śmiało powiedzieć. – Ale chętnie zagram z tobą w warcaby czy »chińczyka«”.

Ze zdumieniem przekona się wtedy, jak łatwo i z jakim niekłamany entuzjazmem córka przystanie na jego propozycję. Oznacza to też wierność własnemu sposobowi mówienia i zachowania się we wszystkich możliwych sytuacjach kontaktu z dzieckiem. Każdy z nas ma swój prywatny „język pieszczotliwy”, „język żartobliwy”, „język poważny”, „język groźny” itd. W zależności od zaistniałej sytuacji powinniśmy się z córką czy synem porozumiewać jednym z tych języków. I tak, „język poważny” będzie użyteczny w sytuacjach omawiania wzajemnych stosunków, tego, co się wydarzyło w ciągu dnia, czy tego, jak ma wyglądać dzień następny. „Język pieszczotliwy” może mieć zastosowanie przy odgrywaniu z dzieckiem w zabawie sytuacji z przeszłości lub przy maksymalnej bliskości i pieszczotach, mających miejsce np. podczas kąpieli i układania się do snu. „Język groźny” powinien być użyty w sytuacjach ustalania nieprzekraczalnych reguł postępo-

wania i zawierania z dzieckiem umów na te okoliczności, jak też wobec zachowań potomka, które te reguły jawnie naruszają.

Jednym słowem, matka czy ojciec powinni synowi lub córce powiedzieć np.: „Jeżeli będziesz wychodził z przedszkola nie mówiąc nic Pani, to będę bardzo niezadowolony i niewykluczone, że dostaniesz za to klapsa”. Dla wielu rodziców będzie rzeczą zdumiewającą, że tego rodzaju jasna wobec dziecka deklaracja okaże się bardziej skuteczna niż sam klaps czy inna wymyślona przez nich kara. Dziecko bowiem, uprzedzone o możliwym braku akceptacji ze strony rodziców (co jest dlań zawsze najwyższą karą), na ogół stara się tego ze wszystkich sił uniknąć.

Rozdział III

IDŹ SIĘ BAWIĆ, CZYLI O ROBIENIU Z DZIECKA GŁUPKA

Z „kucaniem do dziecka” wiąże się inny, szeroko rozpowszechniony przesąd mówiący, że do pewnego wieku (nieraz i do kilkunastu lat) dziecko jest rozkosznym głup-tasem, który niewiele rozumie z tego, co się wokół dzieje. Ileż to razy zdarza się, że rodzice, którym dajemy dyskretny znak, iż dziecko z zainteresowaniem słucha ich wypowiedzi, machają lekceważąco ręką, mówiąc: „To jeszcze głupiutkie. Nie zrozumie”. Ilu rodziców dopuszcza, aby dzieci były świadkami bardzo nieraz drastycznych wydarzeń czy rozmów rozgrywających się między dorosłymi nie dlatego, że nie było innego wyjścia, ale dlatego, iż uznali dziecko za zbyt głupie, aby mogło zrozumieć sens zdarzenia. A ile razy robimy z dziecka głupka „w żywe oczy”, czyli całkowicie bezczelnie?

Oto niespełna sześciolatnia Kasia, przestraszona ostrą wymianą zdań pomiędzy rodzicami, przymila się do smutnej mamy, usiłując ją po swojemu pocieszyć.

„Idź się bawić, córeczko, nic się nie stało – mówi matka. – Mamusia nie jest smutna, tylko poważna”.

„Dlaczego płaczesz?” – pyta mamę sześciolletni Marcin.

„Ja płacę? – dziwi się fałszywie mama. – Ależ co ty opowiadasz? Idź się bawić”.

„Dlaczego mama tak bardzo na ciebie krzyczała?” – pyta ojca inny kilkulatek.

„Ona tylko tak żartowała” – robi głupka ze swego potomka zawstydzony tatuś. I tak dalej.

Łżemy w „żywe oczy”, zapieramy się, oszukujemy i „rżniemy głupa” w błogim przeświadczeniu, że nasze dziecko to jeszcze naiwniak. Nie zrozumie, da się oszukać, da sobie wcisnąć byle kit i będzie zadowolone. Nie przeszkadzają nam zazwyczaj w takim myśleniu nasze własne obserwacje świadczące o tym, że już dwulatek orientuje się, gdzie co leży w mieszkaniu, a trzylatek potrafi w miarę dokładnie powtórzyć, o czym dorośli rozmawiali. Praktyka sądowo-psychiatryczna mówi, że w tych krajach, w których dopuszcza się, by małe dzieci występowały w charakterze znaczących świadków, już cztero-pięciolatek potrafi skrupulatnie przekazać przebieg i sens obserwowanych wydarzeń. Dzieci mają uszy jak radar i oczy jak lunety, a przy tym są nieustannie skupione na dorosłych, których zachowanie pilnie obserwują, usiłując zrozumieć, a tym samym nadać sens otaczającemu je światu. I z całą pewnością nie są to rozkoszne głupty. Co prawda, nie chwytają wszystkich aspektów wydarzeń, których są świadkami, ale na swoim poziomie wykazują pełne ich zrozumienie. Czterolatek na pewno nie zrozumie wszystkiego, co mówiliśmy o złym prowadzeniu się jego ulubionej cioci Heli, ale skonstatuje, że mówiliśmy o niej ze złością. I niewykluczone, iż zaniepokojony, rozpocznie taki oto dialog:

Syn: „Mamo, czy ty nie kochasz cioci Heli?”

Matka: (zaniepokojona, natychmiast usiłuje zrobić z syna głupka) „Ależ, syneczku, co ci przyszło do głowy? Oczywiście, że kocham ciocię”.

Syn: (nie daje sobie wcisnąć kitu) „To czemu, kiedy ciocia wyszła, powiedziałaś do babci: No, nareszcie poszła ta krowa?”

Matka: (przyłapaną na gorącym uczynku, usiłując za wszelką cenę ratować sytuację i brnie w dalsze ogłupianie dziecka) „Powiedziałam tak, syńciu, bo właśnie bardzo lubię ciocię. Pamiętasz przecież, ile razy ci mówiłam, że krówki to bardzo sympatyczne i pożyteczne zwierzątka”.

Syn: (wciąż ma wątpliwości) „A dlaczego nie mówisz tak, kiedy wychodzi ciocia Basia albo babcia?”

Matka: (wycofuje się na dobrze sobie znane pozycje) „Idź się bawić, Piotrusiu, a jeszcze lepiej zrób porządek w twoich zabawkach, bo straszny tam bałagan”.

Syn odchodzi do swojego pokoju pełen wątpliwości i podejrzeń.

Żadne dziecko nie da sobie do końca wmówić, że nie ma tego, co widzi, albo nie słyszy tego, co słyszy. Nie umie też pogodzić się z tym, że ewidentnie kłócący się i obrzucający obelgami rodzice tylko „zartowali”, a bliska płaczu mama nie jest smutna, tylko „poważna”. Takie jawne robienie zeń głupka mały człowiek odbiera najczęściej jako dwa sprzeczne ze sobą komunikaty, co zawsze wywołuje napięcie i zmniejsza jego poczucie bezpieczeństwa. Nie może on pojąć, dlaczego własna matka czy ojciec maćci mu w głowie i zaburza obraz rzeczywistości. Dlatego nasze dzieci patrzą na nas często jak na stosunkowo nieszkodliwych wariatów, wyczyniających jakieś dziwne sztuki ze sobą, z rzeczywistością i z nimi samymi z nieodgadnionych powodów i w nieznanym celu. A powody wyprawiania owych sztuk są następujące:

Po pierwsze, wśród ogromnej liczby rodziców pokutuje przesąd, że okazanie przy dziecku jakiegokolwiek własnej słabości – smutku, lęku, niepewności czy zdenerwowania – ujemnie wpłynie na macierzyński lub ojcowski

autorytet. Według owej koncepcji dzieci tylko czekają na owe przejawy słabości, aby wykorzystać je do wymknięcia się spod rodzicielskiej władzy i kontroli. Tymczasem jest akurat odwrotnie. Naszym córkom i synom, przynajmniej do wieku dorastania (a często i grubo ponad ten wiek), nie zależy na podważaniu naszego autorytetu i wiarygodności, bo potrzebują nas silnych, odpowiedzialnych i godnych zaufania, aby czuć się przy nas spokojnie i bezpiecznie. Oni chcą mieć rodziców wspianiałych, pięknych i mądrych, żeby móc w ich opiekuńczych ramionach bez napięcia, lęku i niepewności zapoznawać się ze światem i opanowywać trudną sztukę współżycia z innymi ludźmi. Wiele moich pacjentek-matek reaguje zaskoczeniem i niedowierzaniem, kiedy mówię, że tym, co jest ich dzieciom potrzebne niemal na równi z powietrzem i pożywieniem, jest **matka w dobrej formie**. Kiedy więc idziesz, matko, do fryzjera, sprawiasz sobie nową sukienkę czy po prostu efektywnie odpoczywasz – robisz to nie tylko dla siebie, ale również dla twojego dziecka. Bo ono chce cię widzieć uśmiechniętą, zadowoloną, pełną chęci do życia i piękną jak Barbie. Niestety, w polskiej kulturze obraz dobrej matki stanowi kobieta barchanowo-zmęczono-poświętliwa, która dźwiga zakupy, gotuje obiady, ubiera się w byle co, ma włosy w ociekających potem strąkach i niesłychanie rzadko się uśmiecha. Ojciec zaś to najczęściej facet, który rzadko bywa w domu, a jak już w nim jest, to tylko śpi lub ogląda telewizję, bo musi zregenerować siły wyczerpane – jak mawiała moja córka – „zarabianiem na pieniążki”. Nic więc dziwnego, że nasze dzieci miewają do nas głęboko zazwyczaj skrywane pretensje za to, iż nie jesteśmy albo nie staraliśmy się być wspianiali. Tacy co najmniej jak Barbie i Ken.

Po drugie, rodzice są z reguły przeświadczeni, że okazywanie dziecku własnej słabości w postaci smutku, strachu czy niepewności zwali na jego małą głowę zbyt duży ciężar

żar. Boją się, że ich własne negatywne uczucia niejako udzielą się potomkowi, a przecież dzieciństwo powinno być jasne i beztroskie. Powodowani staraniem o to, nie pozwalają synowi czy córce wyrazić naturalnego z ich strony współczucia, solidarności i miłości w trudnych chwilach. Dzieci doskonale widzą i czują nasze kłopoty, gdyż w systemie rodzinnym nie ma, jak to już wiemy, sposobu na ich ukrycie. Z reguły też starają się po swoim nas wesprzeć poprzez to, co dla nich ze strony rodziców jest zawsze wsparciem i pocieszeniem, czyli przez fizyczną bliskość i ciepły, pełen akceptacji kontakt. Kilkuletnia Kasia będzie się więc tulić do smutnej mamy i przemawiać do niej najczulszymi, zarezerwowanymi dla ukochanych lalek słowami, wierząc, że przyniesie to matce ulgę i pocieszenie, tak jak jej samej przynosi ulgę i pocieszenie matczyne przytulanie i czułe słowa. I wtedy bardzo często słyszy: „Idź się bawić, mama nie jest smutna, tylko poważna”. Jest to równoznaczne z brutalnym odepchnięciem. Z odmówieniem dziecku prawa współuczestniczenia w przeżyciach najbliższej mu osoby. A wszystko to z dobrej woli i troski. Bo przecież mała to jeszcze głuptas. Nie zrozumie, o co chodzi, i tylko się niepotrzebnie zasmuci i zmartwi.

„Mama mi mówiła, że wcale się źle nie czuje – powiedziała mi niedawno ośmioletnia córka mojej cierpiącej na depresję pacjentki – ale ja słyszałam, jak płakała w łazience. Niech jej pan tego nie mówi, bo byłoby jej przykro, że ja się tym martwię”.

Taki to, proszę państwa, z niej głuptas.

I na koniec jeszcze jedna sprawa.

Wielu rodziców zaczyna się w pewnym momencie skarżyć na dziwną, ich zdaniem, nieczułość i obojętność niemających już dzieci wobec rodzicielskich trudnych przeżyć i kłopotów.

„Moja dwunastoletnia córka, widząc, że po powrocie z pracy ledwie żyję ze zmęczenia, nawet przez chwilę się tym nie przejmuję. Zamiast zaproponować mi np. herbatę i odpoczynek, twardo domaga się obiadu i herbaty dla siebie” – skarży się jedna z matek.

„Żebyś padała na nos i płakała po kątach, mój trzynastoletni syn się tym nie przejmie. Udaje, że nic się nie dzieje, i domaga się, aby wszystko było tak jak zawsze. Czasami widzę w nim zadatki na zimnego, okrutnego psychopata” – opowiada inna.

Nic z tych rzeczy. Nie chodzi tu o nieczułość czy psychopatię, ale o pewien rodzaj treningu. Wszystko wskazuje bowiem na to, że latami robione „w głupka” dzieci uczą się wreszcie, iż reagowanie na różne objawy słabości lub kłopoty rodziców jest z ich strony **nietaktem**, na który rodzice odpowiadają z reguły odepchnięciem w stylu – „idź się bawić”. Robienie z nich głupka w opisany wcześniej sposób jest równocześnie treningiem w powstrzymaniu się od reakcji na rodzicielskie problemy. Dzieci po prostu w końcu się nauczyły i „idą się bawić” nawet wtedy, gdy ojciec „czegoś smutny”, a matka zalewa się łzami.

Rozdział IV

NIE IDŹ, ZOSTAW, NIE RUSZAJ, STÓJ SPOKOJNIE, CZYLI O PODWAŻANIU KOMPETENCJI DZIECKA

Kiedyś w parku na warszawskiej skarpie, dokąd chodziłem z moją córką na spacer, byłem świadkiem następującej sceny: Matka trzy- lub czteroletniego chłopca „zagadała się” ze spotkaną podczas spaceru koleżanką. Obie panie od dobrej już chwili konwersowały z ożywieniem, podczas gdy chłopiec najwyraźniej potężnie się nudził. Najpierw stał grzecznie przy mamusi, ale po jakimś czasie zaczął od niej odchodzić, badając okolicę. Oddalał się na kilka, kilkanaście kroków i znów wracał. Jego uwagę przyciągała położona nieopodal wielka, błotnista kałuża pozostała po niedawnych roztopach. W pewnym momencie podbiegł nad sam brzeg bajorka, ale natychmiast niemal zawrócił do matki. Następną wyprawę podjął po kilku chwilach. Podeszedł ostrożnie do brzegu kałuży i dłuższy czas oglądał ją z wielkim zainteresowaniem. Kiedy jedną nogą, znów ostrożnie i delikatnie, dotykał powierzchni błota, badając jego konsystencję i właściwości, dostrzegła go „zagadana” mama. Wydając rozzwierający okrzyk postrzelonej kakadu, ruszyła biegiem w kierunku

syna, wołając: „Marcin, wracaj, stój, chodź tu zaraz, odejdz od tego błota, bo się ubrudzisz!”. I wtedy Marcin włożył do kałuży. Matka dopadła go w sekundę później i wymierzając siarczyste klapy, powtarzała: „Mówiłam ci przecież, żebyś nie włożył do kałuży, mówiłam ci, prawda?”.

Pamiętam, że pomyślałem wtedy: „Owszem, mówiłaś. A co by się stało, gdybyś nic nie powiedziała?”. I odpowiedziałem sam sobie zgodnie z moją wiedzą i doświadczeniem: Najprawdopodobniej nic by się nie stało. Mały zbadałby błoto nogą, może nawet ręką, wetknąłby w nie palec, poklepał – i wystraszony ubrudzoną dłonią, wróciłby szybko do mamy. Ale matka właśnie takie zachowanie się uniemożliwiła mu. Zainterweniowała, zanim powstał zamiar bliższego zapoznania się przez chłopca z właściwościami błota. Zanegowała **kompetencje** dziecka, wychodząc z założenia, że **musi** ono w tej sytuacji zachować się w najbardziej gwałtowny i głupi sposób – po prostu włożąc do kałuży. Dlaczego? Dlaczego tak często zakładamy, że dziecko wybierze w swoim działaniu najbardziej destrukcyjną i bezsensowną reakcję? Dlaczego jesteśmy na ogół przekonani, że nasza pociecha bierze do ręki nóż tylko po to, by urznąć sobie palec, szklankę, aby ją stłuc, wchodzi na krzesło, aby zeń spaść na głowę, a biegnie tylko po to, żeby się przewrócić? Z jakiego powodu odmawiamy dzieciom elementarnej **kompetencji** w ich obcowaniu ze światem, który przecież już dość długo i z takim zaangażowaniem poznają?

Doprawdy trudno to zrozumieć. Przecież matka małego Marcina z parku musiała wielokrotnie widzieć, jak bawi się on piaskiem i wodą. Musiała wraz z nim, choćby podczas spacerów, omijać kałuże i wyjaśniać chłopcu, dlaczego tak właśnie czynią. Musiała wreszcie doświadczyć, jak bardzo małe dziecko nie lubi mieć mokrego ubrania. Dlaczego więc nie pomyślała, że jej syn **wie**, iż

błoto moczy i brudzi ubranie, a w kałuże nie należy wchodzić?

Odpowiedź na to ostatnie i na poprzednie pytania jest następująca: Stało się tak, ponieważ mamy tendencję do traktowania dzieci (przynajmniej do pewnego wieku) jak przygłupie stwory, dla których uczenie się i doświadczenie nie mają żadnego znaczenia. Ponieważ, mniej lub bardziej świadomie, zakładamy, że ich działanie nie podlega żadnej, a już najmniej „dorosłej” logice – będąc czymś w rodzaju tańca oszalałego słonia w składzie porcelany. Ponieważ, wreszcie, przyjmujemy, że każdy pomysł dziecka jest niebezpiecznym eksperymentem podejmowanym przez ryzykanta pozbawionego instynktu samozachowawczego.

Sądy te przynajmniej częściowo wynikają ze wspomnianej już przy okazji kryzysu wychowania sprzeczności interesów pomiędzy małymi dziećmi i rodzicami. Jak pamiętamy, jedną z podstawowych potrzeb psychicznych wczesnego dzieciństwa jest, z punktu widzenia logiki rozwoju, potrzeba stałego poznawania otaczającej dziecko rzeczywistości i zdobywania nowych doświadczeń. Rodzice natomiast chcieliby, żeby dziecko było „grzeczne”, a tym samym i nade wszystko bezpieczne. Oczekiwanie więc, że mały chłopiec będzie cierpliwie stał w miejscu, asystując pogrążonym w rozmowie dorosłym, jest z ich strony skrajnie nierealistyczne. Wiadomo bowiem, jeśli nie z lektury dotyczącej rozwoju dziecka, to z niezliczonych potocznych obserwacji, że w każdym miejscu i w każdym czasie, kiedy tylko ma ono nieco swobody, natychmiast podejmuje wszechstronne badanie najbliższego otoczenia, w tym również badanie fascynującego świata błotnistych kałuż. Wybierając się więc z cztero- czy pięcioletkiem na spacer do parku w okresie wiosennych roztopów, należy oczekiwać, że tak właśnie będzie.

Że nasza pociecha będzie najpierw walczyła z nami, w ramach codziennej wojny domowej o odrobinę autonomii (będzie usiłowała iść „sama”, nie zechce iść „za rękę”, pobiegnie nieco do przodu, zostanie trochę z tyłu itd.), którą wykorzysta natychmiast do bliższego zapoznania się z najbliższą kałużą. Nie oznacza to jednak, że wlezie do niej i utapla się jak, nie przymierzając, nosorożec. Dzieci, którym rodzice okazują **zaufanie** w ich poznawaniu świata i ludzi, z reguły zachowują się mądrze i ostrożnie. Nowe rzeczy i zjawiska poznają powoli, w wielu etapach i próbach, a każde bardziej zdecydowane działanie starają się podejmować „pod okiem” i kontrolą dorosłych. Oczywiście, zdarzają się im rozmaite potknięcia i wpadki, ponieważ są jeszcze niezdarne w ruchach, czasami zbyt niecierpliwe i nie potrafią przewidzieć **wszystkich** konsekwencji swojego zachowania. Do owych wpadek dochodzi zresztą najczęściej wtedy, kiedy pośpiesznie pragną wykorzystać rzadkie chwile swobody, równoznaczne zazwyczaj z momentami nieuwagi rodziców, aby jak najwięcej poznać i doświadczyć. Spiesząc się – badają otoczenie zachłannie i nieostrożnie, co daje w efekcie stłuczoną szklankę czy zachlapane błotem ubranie. Te dzieci, które nie muszą się spieszyć, bo **wiedzą**, że matka czy ojciec będzie im cierpliwie i na pewien dystans towarzyszył w ich poczynaniach, przykre „wpadki” miewają rzadko.

Na ogół jednak stłuczenie szklanki, pobrudzenie ubrania, wylanie mleka na stół lub inna „wpadka” utwierdza rodziców w przeświadczeniu, że ich ścisły nadzór nad dzieckiem jest jak najbardziej słuszny. I błędne koło zamyka się. Możemy nadal podważać kompetencje syna czy córki, uskarżając się jednocześnie na to, jak są oni ruchliwi i kłopotliwi oraz ile czasu i energii zabiera nam nieustanne nad nimi czuwanie. A przecież zamiast ostrzegać, nadzorować i zakazywać, można np. pozwolić dziecku

wziąć do ręki nożyczki i będąc blisko niego, asekurować je, czujnie korygując na bieżąco jego poczynania, tak aby nie zrobiło z nożyczek nieodpowiedniego użytku. Ci rodzice, którzy zdecydują się na taki eksperyment, będą zdumieni naturalną ostrożnością i rozważą swego trzyletniego, powiedzmy, potomka.

Na koniec wreszcie powrót do pytania: Dlaczego właściwie Marcin włożył do kałuży?

I odpowiedź: Bo się spieszył.

Rozdział ten powstał z inspiracji znakomitą książką Johna Holta pt. „Escape from Childhood”; Ballantine Books, 1975.

Rozdział V

CO CHWILA COŚ NOWEGO, CZYLI O TYM, ŻE DZIECKO SZYBKO SIĘ NUDZI

Kolejny pokutujący wśród rodziców przesąd wychowawczy mówi, że małe dziecko szybko się wszystkim nudzi, w związku z czym potrzebuje do swego rozwoju urozmaicenia życia i stałej odmiany. Ten przesąd jest prawdopodobnie oparty na codziennych obserwacjach, które potwierdzają z jednej strony ogromną ruchliwość dzieci i ich stałe dążenie do zdobywania nowych doświadczeń, a z drugiej – stosunkowo dużą zmienność ich uwagi, czyli niezdolność do skoncentrowania się przez dłuższy czas na jednym przedmiocie czy zjawisku.

Jednocześnie te same codzienne obserwacje pozwalają się nam przekonać, że faktycznie bardzo ruchliwe i niespożyte w swej poznawczej aktywności dzieci niechętnie traktują każdą wymaganą od nich zmianę zachowania i protestują przeciwko wprowadzaniu w ich życie nowych, nawet korzystnych dla nich elementów. Na przykład jeden z moich małych znajomych przez dłuższy czas nie chciał zaakceptować przydzielonego mu przez rodziców nowego, większego kącika do zabawy i uparcie (i najlepiej) bawił się w dotychczasowym, ciasnym miejscu. Albo bajki. Dzieci, jak wiadomo, bardzo lubią ich słuchać, a naj-

chętniej słuchają w nieskończoność tych samych historii, które znają już w końcu na pamięć i jeszcze protestują przeciwko jakimkolwiek zmianom w fabule. Powszechnie też wiadomo, że w nowym miejscu dzieci trudniej zaspiają i gorzej śpią, reagują rozdrażnieniem i „rozregulowaniem” na zmianę rozkładu dnia, a spośród zabawek wybierają zazwyczaj kilka (i to niekoniecznie tych, naszym zdaniem, najciekawszych), którymi bawią się „na okrągło”. Przywiązują się także do niektórych ubrań, do miejsca przy stole, do „swojego” kubka lub talerza, do określonej kolejności działań, np. przy myciu się i ubieraniu. Wszystkie te i wiele jeszcze innych faktów świadczą o tym, że przy całej swej żarliwej ciekawości świata mali ludzie są w istocie zdeklarowanymi konserwatystami. W swoim rytmie życia, rozkładzie dnia, diecie, zabawach i innych aktywnościach nie chcą zmienności i urozmaicenia, ale wręcz przeciwnie – stałości, niezmienności i przewidywalności. Nie zdziwi nas to, jeżeli będziemy pamiętać, że dzieci są elementami systemu rodzinnego biorącymi udział w codziennej wojnie domowej o ustalenie w nim stanu dynamicznej równowagi. Moment ukształtowania się tej równowagi oznacza, iż potrzeby i interesy dziecka zostały w miarę możliwości zaspokojone, w związku z czym od tej chwili nie jest ono zainteresowane żadnymi zmianami mogącymi tę równowagę zachwiać. Staje się ono natomiast jednym z najbardziej stałych i niezmiennych w swoim zachowaniu uczestników rozmaitych „sekwencji rodzinnych”, dążąc do zapewniającej mu poczucie bezpieczeństwa rytualizacji postępowania wszystkich innych członków rodziny. Potomek będzie więc aktywnie sprzeciwiać się najmniejszym modyfikacjom w ustalonej rodzinnej rutynie, domagając się np., aby ta sama osoba i zawsze w ten sam sposób karmiła go, myła, ubierała, układała spać, budziła rano, opowiadała bajki itd. W ten spo-

sób dziecko bierze żywy udział w utrzymaniu korzystnego dlań status quo rodziny, przeciwstawiając się zmianom – zarówno w układzie małżeńskim rodziców, jak i w ewentualnym podsystemie rodzeństwa. Nie są więc nasze pociechy konserwatystami „z natury” czy z racji aktualnych właściwości rozwojowych, ale z racji członkostwa w swoich systemach rodzinnych, w których utrzymanie stałości i przewidywalności zachowań tworzących je osób jest gwarancją zaspokojenia wyjątkowo ważnej w dzieciństwie potrzeby bezpieczeństwa. Warto przy tym pamiętać, że w każdej niemal rodzinie dziecko jest bodajże najwyższą wartością, a zaspokojenie jego potrzeb stanowi jeden z głównych celów (jeśli nie główny) istnienia rodziny. Stąd uprzywilejowana pozycja dziecka i możliwość wywierania znacznego wpływu na zachowanie się pozostałych członków rodziny. Mówiąc inaczej, w każdej rodzinie potomstwo, z racji tego, iż jest właśnie potomstwem, sprawuje znaczną władzę i dysponuje niebagatelными możliwościami regulacji funkcjonowania tejże rodziny, chociażby poprzez zwiększanie lub zmniejszanie „lęku o dziecko”, trapiącego nieustannie każdego, w zasadzie, rodzica. Dlatego też jego udział w podtrzymywaniu ustalonej w systemie rodzinnym równowagi trudno przecenić, chociaż dla pozostałych członków rodziny nie musi być to do końca uświadomione.

Zatem śmiało można powiedzieć, że dzieci wcale się tak szybko nie nudzą. Wręcz przeciwnie. Stałość znanego im środowiska zewnętrznego, powtarzalność i przewidywalność czynności oraz zachowań otaczających je ludzi, a także możliwość powracania do już poznanych i utrwalonych wzorców zachowania się, zapewniają im elementarne poczucie bezpieczeństwa w otaczającym je niejasnym jeszcze i tajemniczym świecie. Wszelkie więc konieczne zmiany w życiu i otoczeniu dziecka powinny być

wprowadzane powoli i stopniowo, z zachowaniem w nowej sytuacji znanych mu elementów.

To ostatnie ma szczególnie duże znaczenie, bowiem rodzice mają na ogół tendencję do traktowania każdego kończącego się okresu rozwoju dziecka jako pewnej całości, zakończonej i zamkniętej raz na zawsze. Do zachowań z wcześniejszego okresu życia nie powinno być, ich zdaniem, powrotów. Jeżeli np. dziecko zakończyło pozytywnie trening czystości i uzyskało kontrolę nad swoimi procesami wydalniczymi, to każde mimowolne zmoczenie się lub zanieczyszczenie po tym okresie bywa przez rodziców spostrzegane jak poważna katastrofa, z powodu której dziecko jest nierzadko prowadzone do lekarzy, a nawet karane. Moment pójścia syna czy córki do szkoły rodzice uważają z reguły za koniec etapu ich „dzieciniego” zachowania się. Pewne rodzaje pieszczot, udzielanie wielu form pomocy czy też tolerowanie „reliktów” z wcześniejszych okresów rozwoju zostają wstrzymane, ponieważ potomek jest już na nie „za duży”. Koniec – mówią oni – np. z pomocą przy ubieraniu się, karmieniu łyżką, z opowiadaniem bajek na dobranoc, z „całuskami” przed zaśnięciem, z braniem na ręce, kiedy bołą nogi, z possaniem sobie czasem smoczka, gdy jest smutno – bo jesteś już duży. Rodzice ci nie zdają sobie sprawy, że, po pierwsze – w ten sposób zaburzają ciągłość doświadczeń dziecka i, po drugie, zbyt gwałtownie zakłócają dotychczas obowiązującą w systemie rodzinnym równowagę. Wylimitowanie tych zachowań, które ich pociecha dobrze zna i do których jest przywiązana, odczuwa ona jako przykrą i niezasłużoną stratę, a przez to fakt podejmowania nowych, bardziej dorosłych ról może odbierać jako pozbawienie jej dotychczasowych przywilejów. Tym sposobem dorastanie może się generalnie okazać dla dziecka mało opłacalnym emocjonalnie, i nie tylko emocjonalnie,

procesem stałego przyrostu całkowicie nowych i trudnych obowiązków – przy równoczesnej utracie dotychczasowych praw i przywilejów. Z tych, między innymi, powodów wiele dzieci reaguje negatywnie na fakt pójścia do przedszkola czy do szkoły. Aby te przełomowe momenty życiowe stały się łatwiejsze, nasze córki i synowie powinni mieć szansę powrotu, w każdym następnym okresie rozwojowym, do znakomicie znanych i wypróbowanych sposobów zachowania się z okresu poprzedniego. Wszak i my, dorośli, kiedy okoliczności nas odpowiednio „przycisną”, potrafimy płakać i wzywać mamy zupełnie jak małe dzieci. Nie bójmy się więc pojawiających się czasami u naszych pociech zachowań charakterystycznych dla wcześniejszego okresu ich rozwoju. W odpowiednim czasie zrezygnują z nich same. Bez poczucia krzywdy i żalu.

Rozdział VI

POCZEKAJ, AŻ BĘDZIEMY SAMI, CZYLI O TYM, CZY MOŻNA KLÓCIĆ SIĘ PRZY DZIECKU

Przekonanie rodziców, że wszelkie spory i kłótnie wszczynane „przy dziecku” mają nań wyjątkowo negatywny i groźny wpływ, jest powszechne. Nie przeszkadza to jednak wielu rodzicom, aby dziecko było świadkiem różnych innych trudnych momentów w życiu rodziny (np. gwałtownej awantury ojca z sąsiadem, który wpadł „z buzią” z powodu zajęcia przez tatusia jego miejsca do parkowania), czy też aby obserwowało kłótnie i awantury pomiędzy innymi członkami szerszej rodziny. Przyzwolenie to zdecydowanie nie dotyczy nieporozumień pomiędzy rodzicami. Mam tu na myśli oczywiście tzw. normalne rodziny, a nie rodziny patologiczne w sensie społecznym, gdzie rodzice alkoholicy, narkomani lub przestępcy w **niczym** się specjalnie obecnością dziecka nie krepują. W owych normalnych rodzinach powszechne jest podejmowanie różnych wysiłków w celu ukrycia przed potomstwem zarówno poważnych konfliktów małżeńskich, jak i drobnych sprzeczek lub scysji.

Zazwyczaj na czas kłótni rodziców dzieci są odsyłane do swojego pokoju lub też, co zdarza się znacznie częściej

(choćby ze względu na brak „dzieciniego pokoju”), małżonkowie odkładają próby rozstrzygnięcia swoich sporów i konfliktów na czas, kiedy potomstwo pójdzie spać, w przeświadczeniu, że asystowanie sprzeczce rodziców może być dla niego szczególnie szkodliwe. Jest to przeświadczenie niewątpliwie słuszne, ale tylko częściowo – jeżeli dotyczy ono wyjątkowo drastycznych w swej treści lub formie awantur (np. kiedy rodzice obzuczają się najcięższymi epitetami lub po prostu się biją), jeżeli przedmiotem kontrowersji jest wychowanie i postępowanie z dzieckiem i jeżeli matka z ojcem, jako rozstrzygnięcie sporu, stosują zerwanie wzajemnej komunikacji w postaci obrażania się na siebie, „cichych dni”, „wyprowadzania się do mamy” itp. Nikt zapewne nie będzie zdziwiony, jeśli powiem, że małżonkowie nie powinni w obecności dziecka sprzeczać się na temat swego życia seksualnego, swojej wzajemnej zazdrości, podejrzeń i planów rozwodowych, swojego stosunku do innych, znanych dziecku i lubianych przez nie członków szerszej rodziny itd. Wszystko to, od epitetów i bójek do agresywnego obgadywania ukochanej babci, uderza bowiem najbardziej boleśnie w dziecięce poczucie bezpieczeństwa. W innych przypadkach rodzice wręcz **powinni klócić się przy dziecku.**

Dla bardzo wielu małżonków szukających u mnie pomocy bądź to z powodu własnych nieporozumień, bądź to z racji dylematów i kłopotów w wychowaniu dzieci, ta moja opinia była niemal szokującym zaskoczeniem. Zapewne będzie nim i dla części Czytelników. Spróbujmy zatem prześledzić jej uzasadnienie.

Rodzice, jak niemal powszechnie wiadomo, są dla dziecka najważniejszym w jego życiu modelem do naśladowania. To od nich i przy ich pomocy potomek systematycznie uczy się wszystkich wzorców zachowania i reago-

wania. Od nich dowiaduje się, co jest w życiu ważne i kim są inni ludzie. Oni wreszcie są źródłem przekonań i poglądów na wszystkie niemal „życiowe” i nie tylko takie tematy, które córka czy syn od nich przejmują i którymi posługują się nierzadko przez całe swoje życie. Nic więc dziwnego, że stosunki pomiędzy ojcem i matką są dla dziecka modelem relacji międzyludzkich w ogóle. Zaobserwowane przez nie zachowania się rodziców względem siebie stają się w jego psychice wzorcem, według którego powinni się zachowywać we wzajemnych stosunkach wszyscy ludzie wraz z nim samym. Jeżeli więc np. ojciec i matka zachowują się wobec siebie na ogół przyjaźnie, dziecko uzna to za obowiązującą normę w **jego** z kolei relacjach z innymi. Jeżeli zaś pomiędzy małżonkami jest dużo złości i wzajemnie agresywnych zachowań, ich syn czy córka najprawdopodobniej podobnie będą się zachowywali najpierw wobec swoich rówieśników, a potem jako osoby dorosłe wobec innych ludzi.

Mając w pamięci ten ogromny, nie dający się przecenić modelujący wpływ podsystemu rodzicielskiego na podsystem rodzeństwa, należy też uzmysłwić sobie, że prawie żadna para małżeńska (nawet bardzo udana i szczęśliwa) nie jest w stanie uchronić się od rozmaitych, bardziej lub mniej znaczących kontrowersji, sporów i sprzeczek. Są one, o czym już wspominałem w pierwszej części, fragmentem małżeńskiej, rodzinnej i – szerzej – społecznej rzeczywistości, od której praktycznie nie ma ucieczki i do której trzeba się koniecznie przystosować. Stąd mój postulat, aby klócić się przy dziecku. Ale nie tylko klócić się. Niesłuchanie ważne jest, aby też godzić się w obecności potomka, o czym za chwilę. Na razie zatrzymajmy się na jeszcze jednej sprawie.

Jak pamiętamy, próby ukrycia napięć i konfliktów pomiędzy rodzicami są w systemie rodzinnym skazane z

góry na niepowodzenie. W rodzinie nic się nie da ukryć i żadna sprawa nie może dotyczyć tylko jej części (np. podsystemu rodziców). Toteż drugi podsystem (rodzeństwa) błyskawicznie orientuje się, że w tym pierwszym „coś jest nie tak”. Dzieci wiedzą i czują, że mama jest smutna, że tata ma dla nich mniej cierpliwości, że rodzice nie siedzą już blisko siebie, oglądając telewizję, że mówią do siebie podniesionymi głosami, że nie całują się „na dzień dobry” itd. Wszystko to wywołuje ich zaniepokojenie, a potem lęk, ponieważ jest zaburzeniem dotychczasowej równowagi systemu. Jedynym ratunkiem staje się w tej sytuacji natychmiastowe włączenie zachowań mających tę równowagę przywrócić. Najłatwiej zaś osiąga się ten skutek poprzez zrobienie z siebie „kłopotu”, zmuszającego rodziców do skupienia się na sprawach stwarzającego problemy potomka kosztem ich wzajemnych rozgrywek. Zaczynają więc dzieci łysieć (jak wcześniej opisana Ola), kraść w szkole, źle się uczyć, moczyć do łóżka, dusić się w atakach astmy itp. Pomędzy podsystemami rodziców i rodzeństwa ustala się określona niejako komunikacja za pomocą objawów i problemów – w miejsce odrzuconej z lęku i oporów moralnych otwartej komunikacji, jawnie demonstrującej niektóre rodzicielskie nieporozumienia, oraz – co jest niezwykle istotne – sposoby ich przezwyciężenia, czyli godzenia się w końcu skonfliktowanych stron. Tak więc otwarta komunikacja może przeciwdziałać ukształtowaniu się w rodzinie patologicznego układu równowagi, w którym objawy jednego z członków są koniecznym elementem. Ale to oczywiście nie wszystko.

Dzieci, odsyłane w czasie kłótni rodziców (chodzi naturalnie o sprzeczki nie dotyczące wymienionych wcześniej niewralgicznych tematów) do „dziecinnego pokoju”, nie mają okazji obserwować i uczyć się bardzo potrzebnych w życiu wzorów agresywnego zachowania się. Ale

nie tylko. Nie mają one również okazji uczyć się czegoś jeszcze ważniejszego. A mianowicie tego, że nawet mocno naładowane złością wzajemne zachowania nie oznaczają końca dobrych stosunków i obopólnej miłości. Rodzice, spierając się i złościąc na siebie w obecności dziecka, ale i (koniecznie) dochodząc przy nim do ponownego porozumienia i zgody, przekazują mu bardzo ważną prawidłowość dotyczącą wszelkich stosunków międzyludzkich. Tę oto, że można się ze sobą nie zgadzać co do wielu spraw i kłócić na temat ich załatwienia, **nie przestając się kochać i lubić**, oraz że różne formy konfrontacji pomiędzy kochającymi się osobami są **dopuszczalne i przemijające**. Dla dzieci, które nigdy nie były świadkami kłótni i pogodzenia się rodziców (a takich dzieci wbrew pozorom jest niemało), skierowana do nich złość i agresja oznacza najczęściej **koniec miłości**. Odruch niezadowolenia, podniesiony głos czy cierpką uwagę skierowaną do nich przez matkę, ojca, babcię lub brata przeżywają one nie jak doraźny zatarg czy pogorszenie stosunków, ale jako totalne **odrzućenie**. To samo, choć w nieco mniejszym nasileniu, dotyczy odruchów złości i agresywnych zachowań ze strony rówieśników. Ich własne, nieuniknione przecież, agresywne impulsy wywołują poczucie winy i lęk, a to z kolei prowadzi zazwyczaj do zahamowanej i strachliwej postawy wobec innych ludzi. Poza tym nawet dzieci z „dziecinnego pokoju”, jak to już powyżej opisałem, doskonale wyczuwają, że pomiędzy rodzicami jest „coś nie tak”. Jeżeli sytuacja taka przedłuża się i nie następuje żadne wyjaśnienie, a matka i ojciec zgodnie „robią z dziecka głupka”, udając, że nic się nie dzieje, to córka czy syn skazani są na przeżywanie poważnie zaburzającego ich poczucie bezpieczeństwa długotrwałego napięcia, które może spowodować pojawienie się u nich objawów „porządkujących” zaburzoną rodzinną równowagę. Napięcie

to jest o wiele bardziej destrukcyjne dla rozwoju dziecka niż asystowanie przy sprzeczce czy kłótni zakończonej ulgą i odprężeniem po obserwowanym pogodzeniu się rodziców.

I jeszcze jedno. Ukrywanie przed dzieckiem własnych agresywnych zachowań albo (co jest znacznie częstsze) nieudolne ich maskowanie (mam tu znowu na myśli agresywne zachowanie się nie przekraczające społecznie ustalonych norm, czyli nie chodzi mi o rodziny, w których spory zwyczajowo rozstrzyga się pięścią) nadaje wszelkim formom agresji aurę czegoś niedopuszczalnego, co trzeba w sobie tłumić i czego trzeba się wstydić. A przecież zdolność do zachowań agresywnych jest podstawą umiejętności rywalizacji i współzawodnictwa, zdolności do stawiania oporu i obrony swoich racji, umiejętności podjęcia walki w imię swoich przekonań i zdolności do pokonania przeciwnika bez poczucia winy i wyrzutów sumienia. Mnóstwo rodziców nie zdaje sobie sprawy z tego, że człowiek pozbawiony (np. w wyniku określonego procesu wychowania) umiejętności posługiwania się swoją agresją będzie skazany na społeczną przegraną, której wynikiem jest egzystencja na mniej lub bardziej szerokim marginesie głównego nurtu życia.

Rozdział VII

CZEGO SIĘ JAŚ NIE NAUCZY, TEGO JAN NIE BĘDZIE UMIAŁ, CZYLI O POTRZEBIE WCZESNEGO TRENINGU

Zacytowane w tytule rozdziału porzekadło jest lapidarnym sformułowaniem jednego z najbardziej rozpowszechnionych i utwalonych przesądów wychowawczych. Wynikający z niego postulat jak najszybszego rozpoczynania z dziećmi treningu w zakresie rozmaitych umiejętności i „od pieluch” wpajania im pożądaných nawyków jest dla mnóstwa rodziców jedną z żelaznych reguł domowej pedagogiki. Zaś nawykiem, który w owym treningu wysuwa się na pierwsze miejsce, jest utrzymywanie porządku w swoim najbliższym otoczeniu. Rodzice są przeświadczeni, że stanowi on niejako matrycę innych potrzebnych w życiu przyzwyczajęń, a tym samym jest swego rodzaju fundamentem charakteru. Mówiąc inaczej, rodzice wierzą, że jeśli potomek nauczy się dbania o porządek w swoim pokoju lub kąciku, to jednocześnie stanie się on bardziej systematyczny, punktualny, obowiązkowy, cierpliwy itp. Wiara ta najprawdopodobniej wywodzi się z pokutujących wciąż w świadomości społecznej dawnych koncepcji pedagogicznych, zakładających istnienie tak zwanego transferu umiejętności, według któ-

rych uczenie się na pamięć, np. rozdziałów Pisma Świętego, ćwiczy umysł w takim stopniu, iż lepiej poradzi on sobie z operacjami matematycznymi czy też będzie szybciej przyswajał sobie języki obce. Niezależnie od tego, w jakim stopniu czas i praktyka potwierdziły prawdziwość tych pomysłów (krytyczna refleksja nie jest wszak najmocniejszą stroną potocznych teorii i przekonań) w większości polskich domów, kiedy tylko pociecha stanie mocniej na nogi, otrzymuje swój pierwszy obowiązek polegający na robieniu porządku w miejscu zabawy. Tym samym zostaje zapoczątkowany wieloletni ciąg utarczek i konfliktów, będący zazwyczaj udawką rodziny, bowiem dzieci okazują się na wpojenie im zamięłowania do porządku wyjątkowo odporne. Przez całe lata niemal, aż do osiągnięcia przez potomstwo dorosłości, sprawa utrzymania ładu w pokoju dzieciennym i w rzeczach dziecka spędza rodzicom sen z oczu i jest jednocześnie przedmiotem żywiołowej niechęci ich pociech niezależnie od wieku. W ogromnej liczbie rodzin stanowi ona niejako „dzyorny” punkt zapalny wielu konfliktów i nieporozumień pomiędzy zartroskanymi rodzicami i zrewoltowanymi dziećmi.

Warto zadać sobie pytanie: dlaczego właściwie tak się dzieje? Przecież wspomniane wyżej przeświadczenia rodziców zawierają jakieś ziarno prawdy i nikt o zdrowych zmysłach nie będzie negował niewątpliwie ważnej roli, jaką w wychowaniu dziecka odgrywa wyrabianie nawyku dbania o porządek. A dzieci, jak to już wiemy (przynajmniej małe dzieci), raczej chętnie podporządkowują się woli rodziców. Skąd więc w tym przypadku taki opór?

Otóż jest on, moim zdaniem, skutkiem aż trzech powiązanych ze sobą przyczyn.

Pierwsza z nich to wspomniany już wcześniej kryzysowy charakter procesu wychowania. Zapewne nikt, kto kiedykolwiek zetknął się choć na trochę z małym dzieckiem

(przypominam – małe dziecko to dziecko od 0 do 10 roku życia), nie ma wątpliwości, że dbanie o porządek nie leży w jego „naturze”. Nie jest też ono „z natury” systematyczne, cierpliwe czy obowiązkowe. Toteż pomiędzy rodzicami, pragnącymi ozdobić swoją pociechę wszystkimi tymi przymiotami, a ową pociechą występuje jaskrawa, nie pierwsza i nie ostatnia w przebiegu kryzysu wychowania, sprzeczność interesów. Dzieci chcą się przede wszystkim bawić (zabawa jest dla nich do pewnego wieku podstawową formą uczenia się i poznawania świata), są ruchliwe, ciekawe, niesforne i beztroskie. Rodzice zaś chcieliby, żeby były skrupulatne i systematyczne jak księgowy, obowiązkowe i karne jak sierżant oraz cierpliwe i poważne jak sędzia Sądu Najwyższego. Nic więc dziwnego, że nie może być pomiędzy nimi zgody, że potomstwo wszelkimi siłami opiera się rodzicielskim usiłowaniom podporządkowania jego żywiołowej aktywności ograniczeniom wynikającym choćby z konieczności utrzymania wokół siebie koniecznego ładu.

Drugą przyczyną owego oporu jest różne rozumienie pojęcia porządku przez rodziców i dzieci.

Dla każdego z nas daje się z grubsza wyznaczyć coś, co nazwiemy tu sobie „progiem dopuszczalnego bałaganu”. Jest to granica, od przekroczenia której zaczynamy uważać swoje otoczenie za nie uporządkowane, a tym samym za uciążliwe. Granica ta jest całkowicie umowna, różna dla różnych ludzi, i stanowi coś w rodzaju oryginalnej cechy charakteru właściwej dla danej osoby. I tak, dla niektórych będzie to odkrycie, że wszystko, co ostatnio biorą do ręki, jest pokryte warstwą kurzu, dla innych jest to moment, w którym za nic nie mogą znaleźć okularów lub, co gorsza, ukochanych kapci, a jeszcze dla innych przedstawienie o kilka centymetrów stojącego na półce budzika. Tak czy inaczej „próg dopuszczalnego bałaganu” jest

zawsze wyższy dla dziecka niż dla rodziców. Oznacza to, że stan rzeczy, który ojciec i matka uważają już za bałagan, dla ich potomka jest jeszcze zupełnie przyzwoitym porządkiem. W związku z tym polecenie posprzątania w swoim pokoju lub kąpiku przyjmuje on jako absurdalną fanaberię rodziców, ponieważ **nie widzi** najmniejszych powodów podjęcia takiej akcji. Dziecko 3 – 4-letnie (w takim wieku Jaś zwykle rozpoczyna trening w zakresie utrzymania porządku), a nawet dużo starsze, najczęściej wręcz nie rozumie tego zadania, nie wiedząc, co w otaczającym je całkowicie wystarczającym porządku mogłoby **jeszcze** uporządkować. Ale nawet jeśli je rozumie i z całym poświęceniem zabiera się do pracy, aby to i owo jednak ulepszyć, to i tak rezultat jego niekłamanego wysiłku jest dla rodziców z reguły nadal bałaganem. Córka czy syn słyszy więc, zamiast spodziewanych pochwał za rzetelną pracę i jej wyniki, opinię, że polecenie zostało wykonane „po łebkach” i wymaga licznych, uciążliwych poprawek. „A ta książka co tu robi na podłodze, a kurz za kaloryferem (wyobraźcie sobie kurz za kaloryferem!) to kto wytrze, a co tu robią te stare kasztany, a czemu w szufladzie są rajstopy razem z majtkami?” itd. – utyskuje matka, sprawdzając rezultat długotrwałego sprzątania ośmioletniej, powiedzmy, córki w jej pokoju. Jak może na to zareagować dumna przed chwilą z osiągniętego, jej zdaniem, superporządku dziewczynka? Naturalnie rozczarowaniem, niechęcią i złością oraz wzmocnionym oporem przy następnych zlecanych jej sprzątkaniach. Poza tym, w opisanej wyżej sytuacji nie ma ona szans na przekonanie się, że utrzymywanie porządku jest sensowne, ważne i potrzebne, bowiem bałagan nie stał się jeszcze dla niej uciążliwy. Umacnia więc w sobie przeświadczenie, że wymóg systematycznego sprzątania jest tylko bezsensownym i złośliwym wymysłem rodziców, w związku z czym stara się od

niego uchylić lub wykręcić się z całej sprawy najmniejszym możliwym wysiłkiem.

Z drugiej strony, rodzice argumentują, że przecież pokój dziecka musi być utrzymany w jakim takim ładzie, bo co powiedzą (lub pomyślą) na ten temat dalsi członkowie rodziny czy odwiedzający ich dom goście.

Co w takiej sytuacji robić?

Wydaje się, że względy rodzinno-towarzyskie powinny tu ustąpić względom wychowawczym. Porządek w pokoju (lub kąpiku) dziecka powinien być mimo wszystko dopasowany do standardów dziecka, a goście nie muszą przecież wchodzić na jego terytorium.

Wokół tego ostatniego pojęcia osnuty jest zresztą pewien, w znacznym stopniu sprawdzony już praktycznie, pomysł korzystnego wychowawczo załatwiania sprawy porządku. A oto on.

Na ogół mieszkanie zajmowane przez rodzinę (niestety, nie każde – i jest to niewątpliwa tego pomysłu słabość) można podzielić na trzy rodzaje terytoriów: moje – czyli rodziców, będą to ich pokoje czy pokój, twoje – czyli pokój dziecka lub przydzielony mu kącik, i wspólne – czyli takie, z których korzystają wszyscy członkowie rodziny (kuchnia, przedpokój, łazienka, toaleta itd.).

Na moim terytorium obowiązują moje prawa. Oznacza to, że ja decyduję o sposobie jego użytkowania, o porządku na nim panującym, a także np. o tym, kogo nań wpuszczam, a kogo nie. Prawa te nie wymagają żadnego uzasadnienia poza moją wolą, co wynika z kolei z konsekwentnego potraktowania tytułu własności. I tu pojawia się zazwyczaj pierwsza poważna trudność. O ile bowiem nasze, rodziców, tytuły własności raczej nie podlegają dyskusji, o tyle tytuły własności dziecka są w polskich rodzinach traktowane bardzo umownie. Powszechne są sytuacje, w których córka czy syn dostają od rodziców zabawkę ze

słowami: „jest twoja, ale musisz uważać, żeby jej nie zepsuć”, pieniądze z zastrzeżeniem: „są twoje, ale mama je potrzyma u siebie i razem ustalimy, na co je wydasz”, i wreszcie pokój (lub kąpiel): „pod warunkiem, że my będziemy decydować, jaki porządek ma w nim panować”. Oczywiście, są to tytuły własności pozorne. Jeżeli bowiem coś jest moje, oznacza to przede wszystkim, iż tylko od mojej woli zależy, co się z tym stanie. Moją rzecz mogę więc: popsuć, wyrzucić, podarować, przerobić, podzielić – i wreszcie zniszczyć. Jeśli zaś z jakichś względów nie mogę tego zrobić, to rzecz owa **nie jest** moja. Jest mi ona jedynie oddana w użytkowanie, czyli rodzaj dzierżawy na ściśle określonych przez rzeczywistego właściciela warunkach.

W większości polskich rodzin do dzieci nie tak naprawdę do końca nie należy. Wszystko jest własnością rodziców, którzy na bardzo z reguły niejasnych warunkach pozwalają synowi czy córce korzystać z posiadanych dóbr. Można się o tym przekonać, wsłuchując się w dziecięce pytania kierowane do ojców, matek, babć choćby w parkach i na placach zabaw.

„Mamo, czy Basia może pobawić się moją Barbie?”, „Tato, czy mogę pozwolić Michałowi pojeździć na moim rowerze?”, „Babciu, czy mogę podarować Natalii tę foremkę do piasku?”, „Mamusi, czy mogę zobaczyć, co jest w środku tego chodzącego dinozaura?”. I tak dalej.

Dzieci, nie będąc przekonane do tytułu własności używanych przez siebie rzeczy, nie uczą się pojęcia własności, a co za tym idzie, szacunku dla niej. Nie przywiązują się do „dzierzawionych” przedmiotów i nie dbają o nie, bo przecież w każdej chwili „dzierzawa” może być wypowiedziana, jak to się dzieje np. wtedy, kiedy ojciec już pierwszego dnia świąt chowa pod klucz kupiony synowi pod choinkę elektroniczny model statku kosmicznego, mój-

wiąc: „Nie umiesz się nim bawić. Jeszcze go popsujesz”. Wszystko to dotyczy oczywiście również przydzielonego dziecku „jego” terytorium. Argumentacja rodziców jest tu jasna i zrozumiała. Statek kosmiczny był bardzo drogi, odnowienie i urządzenie pokoju dziecka pochłonęło połowę oszczędności, a poza tym, dlaczego mamy pozwolić, żeby nasz naiwny potomek oddawał ciężko przez nas zapracowane **jego** rzeczy jakiemuś cwaniaczkowi poznanemu w piaskownicy? I poniekąd słusznie. Ale z wychowawczego punktu widzenia lepiej nie kupować córce czy synowi aż **takiego** statku kosmicznego i poprzestać na skromniejszym urządzeniu ich pokoju w zamian za **rzeczywiste** i do końca dysponowanie przez nich tym, co od nas otrzymują. Nie wyklucza to, naturalnie, mających wychowawczy walor rozmów i negocjacji z dziećmi na te tematy. Córce pragnącej podarować koleżance jedną ze swoich ulubionych przytulanki zawsze warto zadać pytanie: „Czy dobrze się nad tym zastanowiłaś, Kasiu? Oddanie Marysi twojego Pana Nilsona (małpki-maskotki) oznacza, że ty już go nie będziesz miała”. Trawionemu ciekawością synowi należy uprzytomnić, że: „Jeśli zajrzysz, Piotrusiu, do środka tego chodzącego dinozaura, to on może się popsuć i więcej nie będzie chodził. Tak się często dzieje z różnymi mechanizmami”. Ale ostateczna decyzja powinna należeć do dziecka. Przeżycie tęsknoty za podarowanym Marysi Panem Nilsonem lub żalu z powodu ostatecznego unieruchomienia chodzącego dinozaura jest bowiem również tym, co kształtuje w naszych pociechach pojęcie własności i odpowiedni do niej stosunek.

Wracając do sprawy „rodzinnych terytoriów” – reguły obowiązujące na terytorium rodziców mają zastosowanie również w odniesieniu do terytorium dziecka. Obowiązują na nim prawa ustanowione przez dziecko, które wyini-

kają, tak jak poprzednio, z tytułu własności zawartego w słowach: „Twój pokój, twoje miejsce, twój kącik”.

Na terytorium wspólnym obowiązują natomiast prawa częściowo wynegocjowane ze wszystkimi członkami rodziny, a częściowo narzucone przez rodziców, uwzględniające interesy wszystkich użytkowników (takie, jak np. obowiązek zmywania po sobie talerzy, usuwania resztek jedzenia, mycia po sobie wanny, ustawiania butów na miejscu itp.). Każdy na swoim terytorium jest egzekutorem ustanowionych praw, a na terytorium wspólnym są nim rodzice.

Jak zapewne widać, pomysł zmierza do ograniczenia ingerencji rodziców w terytorium dziecka do naprawde koniecznego minimum. Jego istotą jest próba doprowadzenia do sytuacji, w której mały człowiek odczuje konieczność uporządkowania swojego otoczenia i tym samym odkryje sens sprzątanía jako czegoś więcej niż niezrozumiały kaprys dorosłych. Dzięki skrupulatnemu egzekwowaniu praw wynikających z tytułu własności swojego terytorium rodzice mogą uniknąć tego, co dzieje się na co dzień w setkach tysięcy domów, gdzie dzieci, zabałaganiwszy dokumentnie swój pokój, przenoszą się wraz ze swoimi zabawkami i innymi akcesoriami do pokoju mamy i taty, do kuchni, a nawet do łazienki. Systematyczne uniemożliwianie potomstwu takich praktyk przymusza je do skonfrontowania się z bałaganem na własnym terytorium, a jednocześnie może stanowić dla rodziców taktikę prowadzącą do rozstrzygnięcia na swoją korzyść codziennej wojny domowej o przestrzeń do życia. Wystarczy tylko przez pewien czas stanowczo usuwać pociechy wraz z ich ekwipunkiem ze swojego terytorium, powołując się na prawo wynikające z tytułu własności i podkreślając, że prawo to jest szanowane również w stosunku do dziecka.

„Nie życzę sobie mieć **twoich** zabawek w **moim** pokoju, tak samo jak nie chcę, żebyś w nim siedział lub odrabiał lekcje bez wyraźnego zaproszenia. Zauważ, że **moich** rzeczy nie ma w **twoim** pokoju i że ja nie wchodzę tam, żeby posiedzieć czy zająć się jakąś moją pracą” – powinien powiedzieć stanowczo ojciec do syna, a następnie bezwzględnie usunąć należące do syna przedmioty ze swojego terytorium. Dzieci zmuszane w ten sposób do życia w warunkach, które same sobie w końcu stworzyły, dość szybko odkrywają, że utrzymywanie porządku nie jest tylko fanaberią dorosłych, tak jak to się zdarzyło sześćdziesięcioletniej córce jednej z moich pacjentek.

„W pewnym momencie – opowiadała przejęta mama – bałagan w pokoju Kasi osiągnął takie rozmiary, że wśród stosów poniewierających się wszędzie zabawek, książeczek, kredek, ubrań i innych rzeczy nie była ona w stanie znaleźć tego, czego aktualnie potrzebowała. Wciąż z płaczem przybiegała do mnie, prosząc o pomoc w poszukiwaniach czy to czystego bloku rysunkowego, czy pudełka z plasteliną, czy też zaginionej nagle ukochanej przytulanki. Z bólem serca odmawiałam tej pomocy, mówiąc spokojnie, że przecież w jej pokoju jest tak, jak ona chce, a więc pewnie też chce, żeby trudno w nim było cokolwiek znaleźć. Któregoś dnia, po kolejnym takim zdarzeniu, Kasia przysłała do mnie bardzo poważna i oświadczyła: »Mamo! w moim pokoju trzeba zrobić porządek. Czy możesz mi w tym pomóc?«. Był to dzień, w którym moja córka odkryła sens sprzątania”.

Znacznie przyspieszyć ten przełomowy moment może np. odrzucenie przez rodziców zaprosin na terytorium dziecka ze względu na panujące tam warunki, jednakże bez nakłaniania go do zrobienia porządku. „Nie chcę wchodzić do twojego pokoju, bo nie lubię panującego tam, **moim zdaniem**, bałaganu” – powinien odpowie-

dzieć na odnośne zaproszenie ojciec lub matka. Tym sposobem syn czy córka, chcąc się z nami pobawić w swoim pokoju (czy kąciku), prędzej dojdzie do wniosku, że trzeba go uporządkować. Zastosowanie przez rodziców przedstawionego wyżej pomysłu wymaga od nich stoickiego spokoju, nieprzebranej cierpliwości i, z całą pewnością, dużego poczucia humoru, aby przetrwać najgorsze momenty.

Jedna z moich koleżanek po fachu po kilkunastu dniach przerwała stosowanie w swoim domu „zasady trzech terytoriów”, gdyż nie mogła patrzeć, jak pokój jej ośmioletniej córki zmienia się w dzikie pobojoywisko. Do dziś w kwestiach porządku nie radzi sobie ona ze swoją już niespełna dziesięcioletką i w efekcie sprząta jej bałagan.

Trzecią wreszcie przyczyną oporu stawianego przez dzieci rodzicielskim próbom wpojenia zamiłowania do porządku jest najzwyczajniej w świecie zbyt wczesne, na ogół, rozpoczynanie treningu. Dla trzy-, cztero-, a nawet częściowo pięcioletka, z jego ogromną łatwością przerzucania uwagi z jednego przedmiotu czy zjawiska na drugie, żaden bałagan nie jest problemem. Zazwyczaj bawi się on tym, co mu akurat wpadnie w ręce lub na czym spocznie jego wzrok. Zapomina natychmiast o zgubach i względnie łatwo rezygnuje z dotarcia do przedmiotów trudnych do osiągnięcia. Warto przy tym zauważyć, iż nie jest przypadkiem rozpoczynanie procesu systematycznej edukacji dziecka najczęściej pomiędzy szóstym i siódmym rokiem jego życia. Właśnie w tym okresie jego aktywność ulega w miarę logicznemu uporządkowaniu, nabiera cech długofalowej, celowej działalności i sekwencyjnego charakteru. Nie próbujmy więc zbyt wcześnie uczyć Jasia tego, czego w zasadzie nie może się on nauczyć, a zaoszczędzimy i sobie, i jemu wielu trudnych chwil.

Rozdział VIII

MOJE DZIECKO MNIE NIE SŁUCHA, CZYLI O DYSPOZYCYJNOŚCI DZIECKA, I CO ROBIĆ, ABY NAS ONO SŁUCHAŁO

Zdecydowanie najczęściej powtarzającą się skargą przychodzących do mnie po pomoc rodziców jest pełne bezradnej złości stwierdzenie: „Moje dziecko mnie nie słucha”. Przy bliższym poznaniu sprawy okazuje się, że rodzicom tym nie chodzi bynajmniej o to, iż ich potomek nie słucha tego, co mówią oni do niego w różnych okolicznościach (np. opowiadając mu bajki, uzgadniając, co i dlaczego będzie się działo w najbliższej przyszłości, czy prowadząc inne „rozmowy o życiu”), ale o bardzo konkretną rzecz. Otóż „niesłuchanie” polega bądź na konieczności wielokrotnego powtarzania wydawanych dziecku poleceń, zanim przystąpi ono do ich wykonania, odwołując ten moment za pomocą sławetnego „zaraz”, bądź na negowaniu tych poleceń i otwartej odmowie ich wykonania.

Aby zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, warto przeanalizować dwie sprawy: okoliczności i sposób wydawania poleceń oraz to, co następuje już po ich wydaniu. Zaczniemy od sprawy pierwszej.

Wiele wskazuje na to, że w tych rodzinach, gdzie daje

o sobie znać problem nieposłuszeństwa dzieci (bo tak go chyba w końcu trzeba nazwać), polecenia ze strony rodziców padają z reguły wtedy, kiedy dzieci są czymś zajęte. O taką sytuację zresztą nietrudno, zważywszy że normalne, zdrowe dziecko (mówię tu wciąż o małym dziecku, bowiem z nastolatkami inna sprawa) jest na ogół osobą bardzo zajętą różnymi swoimi „pracami” i, w odróżnieniu od dorosłych, rzadko i niechętnie pogrąża się w słodkiej beczczyność. Zazwyczaj coś rysuje, maluje, klei, wycina, ustawia, przedstawia, ogląda, odgrywa, buduje, czyta itd.

Zajęty swoimi sprawami kilkulatek prawie nigdy nie reaguje natychmiast na otrzymane polecenie, usiłując kontynuować swoją aktywność tak, aby przynajmniej doprowadzić ją do momentu, w którym można zrobić przerwę (wtedy właśnie wypowiada owo niepomierne irytujące dorosłych „zaraz”). Takie zachowanie się dziecka dla bardzo wielu rodziców jest niepokojącą trudnością wychowawczą, objawem nieposłuszeństwa i krnąbrności, które to cechy, jak wiadomo, nie są nigdy mile widziane. Brak **natychmiastowej reakcji** na wydane polecenie odczuwany jest na ogół przez rodziców jako zagrożenie lub wręcz lekceważenie ich autorytetu, co w większości przypadków wywołuje macierzyńską czy ojcowską złość i tendencję do wymuszenia owej natychmiastowej reakcji za wszelką cenę. Za takim postępowaniem kryje się najczęściej bardzo rozpowszechnione przekonanie, że **dyspozycyjność dziecka**, czyli jego gotowość do natychmiastowego, bezdyskusyjnego podporządkowania się woli rodziców, jest miarą **dobrego wychowania**, a tym samym miarą rodzicielskich umiejętności pedagogicznych i rodzicielskiego autorytetu. Przy czym nacisk spoczywa na owej nieszczęsnej natychmiastowości. Córka czy syn, którzy bezzwłocznie nie ruszają, aby wypełnić polecenia mamy lub taty, spostrzegani są jako nieposłuszni, a co za

tym idzie, jako źle wychowani i krnąbrni. W przeciwieństwie do nich dziecko dobrze wychowane, a więc takie, u którego rodzice mają odpowiedni autorytet, jest dla nich dyspozycyjne w każdej chwili i w każdych okolicznościach. Za przyjmowaniem takiego kryterium dobrego wychowania i autorytetu rodziców kryje się z kolei następne, nie zawsze do końca uświadomione, ale również bardzo rozpowszechnione przekonanie mówiące, że aktywność dziecka jest, w gruncie rzeczy, niepoważną zabawą, która może być w każdej chwili przerwana, bez żadnych następstw i konsekwencji. Rzeczywiście – większość tego, czym „na okrągło” zajmuje się małe dziecko, to zabawa. Ale jednocześnie jest to poważna praca (tak, tak, bez cudzysłowu) polegająca na poznawaniu świata i wciąż na nowo podejmowanych próbach coraz lepszego dawania sobie rady z otaczającą dziecko rzeczywistością. Biorąc pod uwagę jego dojrzałość, potencjał intelektualny, zdolność koncentracji uwagi, odporność psychiczną – i parę jeszcze podobnych czynników – można bez wątpienia porównać jego „niepoważne zabawy” do uporczywego wysiłku naukowca, trudzącego się nad rozwiązaniem wyjątkowo skomplikowanego problemu.

Zresztą po cóż odwoływać się aż do takich argumentów, skoro wystarczy chwila refleksji, aby skonstatować, że również dla nas raptowne przerwanie naszej aktywności (choćby było to rozwiązywanie krzyżówek lub błogie kontemplowanie nierówności sufitu) jakimkolwiek poleceniem jest niemal zawsze odbierane jako przykreść wywołująca niechęć, złość i opór wobec otrzymanego zadania, wyrażane często owym sławetnym „zaraz”. Nikt z nas bowiem (albo może prawie nikt) nie lubi być w pełni dyspozycyjnym „chłopcem na posyłki”, w związku z czym, na ogół, wymagamy od innych **poszanowania** naszych aktywności i zajęć. A ponieważ, jak to już wcześniej

stwierdziliśmy, mamy przemożną tendencję do traktowania dziecka jak nie zorientowanego w świecie głuptasa, wymóg ten jego nie dotyczy. W mniemaniu wielu rodziców cały, ogromny w istocie, wysiłek poznawczy, jakiego dokonuje ich bawiący się potomek, **nie zasługuje na poszanowanie**. A dlaczego? Ano dlatego, że oddaje się on głównie mało znaczącym, **nieważnym** zajęciom, które, zdaniem mam i tatusiów, można bez żadnych konsekwencji przerwać i bez żalu porzucić. Dlatego, że dziecko, w nie uświadomionym do końca odczuciu szanownych rodziców, podlega jakimś innym (jakim?) prawom psychologicznym i dekoncentracja czy zakłócenie przebiegu czynności nie jest przez nie odbierane jako budząca sprzeciw przykrość. Dlatego wreszcie, i to może jest najważniejsze, że rodzice spostrzegają dziecko jako **swoją własność** – podobnie jak odkurzacz, lodówkę czy samochód – przy czym niektórzy z nich są skłonni obdarzać te przedmioty większym szacunkiem niż syna czy córkę. W takim podejściu nie ma miejsca ani na zrozumienie sensu aktywności dziecka, ani, tym bardziej, na jej poszanowanie, jest to bowiem podejście w stylu pewnego angielskiego oficera, który dzielił ludzi na mężczyzn, kobiety i szeregowców.

Trudno jednak uniknąć wydawania dziecku rozmaitych poleceń. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie też negował ich wychowawczego, i nie tylko wychowawczego, sensu. Toteż nie chodzi o wyeliminowanie poleceń, ile o pewne, w sumie niewielkie, korekty w okolicznościach i sposobie ich wydawania. Ważne jest np., abyśmy widząc zajętego swoimi sprawami potomka, **uprzedzali** go, że otrzyma polecenie. Zamiast kategorycznego: „Wyjdź z psem” – wystarczy powiedzieć synowi: „Za dziesięć minut poproszę cię, żebyś wyszedł z psem” – a wtedy nie usłyszemy rzucanego z tłumioną złością „zaraz”. Zamiast nakazywać zajętej rysowaniem córce: „Zostaw te papiery

i natychmiast ruszaj do wanny” – lepiej powiedzieć: „Kończ już swoje rysowanie albo doprowadź je do tego, żebyś mogła dokończyć jutro, bo za chwilę zaproszę cię do kąpielii”. I tak dalej. Danie dziecku szansy na dokończenie jego zajęcia (lub na dojście w nim do takiego momentu, w którym przerwa nie wywołuje specjalnej złości), zanim zabierze się do wykonywania naszego polecenia, powoduje zazwyczaj, że problem nieposłuszeństwa znacznie się zmniejsza lub wręcz zanika. Często bowiem jest to nie tyle problem nieposłuszeństwa dzieci, ile problem rodziców dążących do bezwzględnej dyspozycyjności potomstwa, która z reguły nie tyle jest miarą jego dobrego wychowania, ile wynikiem skutecznej tresury. Jeżeli zaś problem ów pozostaje, to najprawdopodobniej wchodzi w grę druga z wymienionych na początku rozdziału spraw, czyli to, co się dzieje już po wydaniu polecenia.

Decydując się na wydanie komuś polecenia (podkreślałam – polecenia lub dyspozycji, a nie prośby czy też sugestii w stylu: „Może jednak mógłbyś pójść do sklepu”), powinniśmy być przygotowani na to, jak się zachowamy i co uczynimy, gdy dyspozycja nie zostanie wykonana lub gdy spotkamy się wprost z odmową jej wykonania. Dotyczy to nie tylko układu rodzice-dziecko, ale wszystkich, opartych na hierarchii i wzajemnej zależności, stosunków międzyludzkich. Po prostu przełożony musi wiedzieć dokładnie, co zrobi, kiedy podwładny nie wykona zleconego mu zadania z takich czy innych powodów lub od razu odmówi podporządkowania się otrzymanemu rozporządzeniu. Jeżeli nie będzie tego wiedział i w związku z tym nie podejmie żadnych działań, to najzwyczajniej w świecie, może nie formalnie, ale faktycznie, przestanie być przełożonym.

Każde polecenie musi więc być obwarowane określoną **sankcją**, umożliwiającą co najmniej podjęcie próby

wyegzekwowania jego spełnienia. W sformalizowanych układach przełożony-podwładny sankcje takie zawarte są np. w umowie o pracę czy w zakresie obowiązków podwładnego, które precyzyjnie określają, że np. za odmowę wykonania polecenia przełożonego można otrzymać nagane, stracić premię lub wylecieć z pracy. W systemie rodzinnym tego rodzaju formalne ustalenia nie istnieją. W związku z tym sankcje towarzyszące wydawanym sobie nawzajem przez członków rodziny poleceniom (piszę „nawzajem” bo, jak pamiętamy, nie tylko rodzice wychowują dzieci, ale i dzieci rodziców) muszą być tworzone na bieżąco. Z czasem w każdej rodzinie kształtują się pewne stałe sankcje, obwarowujące określone rodzaje poleceń. Sankcje te funkcjonują w ramach „rodziny sekwencji egzekwowania poleceń”, charakterystycznej dla danej rodziny. Oto przykład takiej, nie polecanej zresztą do naśladowania, sekwencji opisanej przez mojego pacjenta cierpiącego na nerwicę natręctw:

„W moim domu za wszystko była tylko jedna kara – bicie. Ojciec był maszynistą kolejowym i regularnie po dwa do kilku dni nie było go w domu. W tym czasie matka skrupulatnie notowała nasze przewinienia (była nas trójka dzieci), polegające na spóźnieniach, niewywiązywaniu się z otrzymywanych od niej zadań lub na przekraczaniu »domowego regulaminu« (zabraniającego np. kłótni i bójek pomiędzy dziećmi). Za każdy rodzaj przewinienia była określona »taryfa«, liczona w wymierzanych na goły tyłek uderzeniach ojcowskiego kolejarskiego pasa. Za spóźnienie się do domu ze szkoły bez dostatecznie ważnego powodu – dwa pasy, za niezrobienie zakupów poleconych przez matkę – pięć pasów, za bójkę z młodszym o rok bratem – trzy pasy, za dwójkę w szkole – pięć pasów itd. Kiedy ojciec wracał do domu (zazwyczaj miał wtedy dzień lub dwa wolne), »rozpatrywał« skargi matki

i wymierzał karę. Była to systematyczna, na zimno dokonywana egzekucja, której wszyscy się śmiertelnie baliśmy”.

Jeszcze raz podkreślam, że przytaczam ten opis nie jako wzór do naśladowania. Wręcz przeciwnie, ten system egzekwowania rodzicielskich dyspozycji był bodajże najpoważniejszą przyczyną choroby pacjenta. Niemniej jest to bardzo klarowny przykład „rodzinnej sekwencji egzekwowania poleceń” o wysokim stopniu zrytualizowania. Na szczęście (ale też trochę i na nieszczęście) w większości rodzin aż tak zrytualizowane sekwencje nie powstają. Nie sprzyja temu ani rozmaitość krzyżujących się w systemie rodzinnym poleceń, ani trapiący zazwyczaj rodziców brak pomysłów na mogące im towarzyszyć sankcje (jeśli oczywiście odrzucają tak prymitywne i szkodliwe pomysły, jak bicie dzieci za wszystko).

Konieczność wprowadzania sankcji sprzyja zastanowieniu się nad sensownością i potrzebą wydawania niektórych poleceń, co automatycznie zmniejsza ich ilość. Wielu rodziców – stojąc wobec perspektywy wymyślenia sankcji, a następnie ewentualnego ich zastosowania – po prostu rezygnuje z pewnych mało sensownych poleceń. Inne zaś zamieniane są na prośby, które są rzadziej przez dzieci sabotowane lub odrzucane. Tym bardziej że dyspozycję typu: „Podaj mi gazetę” – dość łatwo można przeformułować tak, aby mniej prowokowała do powiedzenia „zaraz”. Na przykład: „Synku, bądź tak dobry i podaj mi gazetę”. Po usłyszeniu takiej prośby synowi wręcz nie wypada powiedzieć „zaraz” lub odmówić jej spełnienia.

Wróćmy jednak do rzeczy. Skoro mamy już sankcje, możemy przystąpić do wydania polecenia. Możliwe są tu trzy następujące scenariusze:

1. Polecenie – wykonanie.

Na przykład dialog sprzątającej mieszkanie mamy i zajętej rysowaniem córki:

Mama: Kasiu! Za kilka minut będę sprzątać w dużym pokoju. Do tego czasu zabierz stamtąd swoje zabawki.

Kasia: Dobrze, mamu. – Rysuje jeszcze przez chwilę, po czym przenosi zabawki z dużego do swojego pokoju, zanim mama dotarła tam z odkurzaczem.

Jest to scenariusz optymalny, w którym sankcja w ogóle nie została użyta.

2. Polecenie – opór – powtórzenie polecenia wraz z sankcją – wykonanie.

Sytuacja ta sama.

Mama: Kasiu! Za kilka minut będę sprzątać w dużym pokoju. Do tego czasu zabierz stamtąd swoje zabawki.

Kasia: Zaraz. – Rysuje dalej nawet wtedy, kiedy mama dociera z odkurzaczem do dużego pokoju.

Mama: Kasiu! Zabierz swoje zabawki z dużego pokoju, bo wyrzucę je do zsypu.

Kasia: Och, mamu! Poczekaj, już idę. – Przerzywa rysowanie i przenosi zabawki z dużego do swojego pokoju.

W tym scenariuszu samo powtórzenie polecenia wraz z obwarowującą je sankcją powoduje mobilizację dziecka do wykonania polecenia. Sankcja działa tu jako **zapowiedź** tego, co może się zdarzyć.

3. Polecenie – opór – powtórzenie polecenia wraz z sankcją – opór – wykonanie sankcji.

Sytuacja nadal ta sama.

Mama: Kasiu! Za kilka minut będę sprzątać w dużym pokoju. Do tego czasu zabierz stamtąd swoje zabawki.

Kasia: Zaraz. – Rysuje nadal nawet wtedy, kiedy mama dociera z odkurzaczem do dużego pokoju.

Mama: Kasiu! Zabierz swoje zabawki z dużego pokoju, bo wyrzucę je do zsypu.

Kasia: Och, mamu! Zaraz. – Rysuje nadal.

Mama: – Po odczekaniu kilku chwil zbiera zabawki córki i wrzuca je do zsypu.

Kasia: – Różnie; płacze albo robi mamie gorzkie wyrzuty, albo biegnie odszukać zabawki w komorze zsypowej, albo nie reaguje, rysując dalej.

Scenariusz trzeci przeznaczony jest dla dzieci „niesłuchających”.

Mam nadzieję, że nietrudno się zorientować, iż celem jego konsekwentnego stosowania jest doprowadzenie do tego, aby w danej rodzinie zaczęły funkcjonować scenariusze nr 1 lub 2. Wynika też z niego odpowiedź na pytanie, dlaczego dzieci nie słuchają poleceń rodziców nawet wtedy, kiedy ci ostatni nie wymagają od swoich pociech bezwzględnej dyspozycyjności. Otóż dzieje się tak, ponieważ dzieci bardzo szybko uczą się, że w pewnych sytuacjach słowa mamy czy taty w istocie **niewiele znaczą**. A sytuacje te to, niestety, przede wszystkim momenty, w których rodziciele formułują pod adresem potomstwa polecenia i dyspozycje. Na ogół rodzic, zlecając córce czy synowi jakieś zadanie, w ogóle nie myśli o tym, co robi, jeżeli jego potomek zaprezentuje irytującą opieszałość w wykonaniu zadania lub po prostu je zignoruje. Dlatego też w większości rodzin scenariusz, czy może lepiej „sekwencja wydawania dziecku polecenia”, wygląda następująco:

Sytuacja jak w poprzednio opisanych scenariuszach.

Mama: Kasiu! Widzisz, że sprzątam? Zabierz swoje zabawki z dużego pokoju.

Kasia: Zaraz. – Rysuje dalej.

Mama: (po chwili) Kasiu! Mówiłam coś o twoich zabawkach w dużym pokoju. Zabieraj je zaraz.

Kasia: – Rysuje, nic się nie odzywając.

Mama: (po chwili) Kaśka! Czy ty ogłuchłaś? Zabieraj stąd natychmiast te twoje graty.

Kasia: Zaraz. Muszę tu jedną rzecz dokończyć. – Rysuje nadal.

Mama: (po chwili) Ja cię kiedyś zabiję za to twoje „zaraz”. Zabierasz te rzeczy czy mam je wyrzucić do zrypu?

Kasia: (doskonale wiedząc, że mama jej nie zabije ani nie wyrzuci zabawek) Zaraz. Jeszcze chwileczka, już kończę.

Mama: (z goryczą w głosie) Zresztą co ja się będę martwić twoimi zabawkami. Zbiorę wszystkie i oddam biednym dzieciom. Może wtedy docenisz, że je miałaś, i zacznieś słuchać rodziców.

Kasia: (słyszała już nieraz ten tekst i wie, że mama nie odda jej zabawek biednym dzieciom, więc...) – Rysuje nadal, nic nie mówiąc.

Mama: (bardzo podniesionym głosem) Czy ty słyszysz, co ja do ciebie mówię? Chodź tu natychmiast, bo inaczej ja do ciebie pójde, ale wtedy pożałujesz.

Kasia: (ocenia, że mama jeszcze nie osiągnęła stanu, w którym należy ją potraktować poważnie) Już, już, zaraz kończę.

Mama: (wrzeszczy) Do jasnej cholery! Idziesz tu czy nie?

Kasia: (zna już ten ton i wie, że nie wróży on nic dobrego; odkłada więc kredki i idzie, ociągając się, do dużego pokoju) Słucham.

Mama: (wciąż wrzeszczy) Co „słucham”? Zabieraj stąd te śmiecie, ale to już! Ty mnie kiedyś doprowadzisz do zawału. Matko Boska! Co za dziecko! Skąd się takie coś uległo. Przecież to straszne, straszne. Ja w tym domu dłużej nie wytrzymam. Jak ci zabraknie mamy, to zobaczysz. Będziesz płakać krwawymi łzami. Itd.

Kasia: (w milczeniu zbiera zabawki, postanawiając w duchu: „Za chwilę ją przeproszę i wszystko będzie dobre. Zawsze przecież tak jest”).

Jak widać, Kasia nauczyła się, że słowa mamy **niewiele znaczą**, ponieważ:

- a. Nie towarzyszy im żadne działanie.
- b. Zawarte w nich ewentualne sankcje są wysoce nierealistyczne (np. – Oddam wszystkie twoje zabawki biednym dzieciom) lub absurdalne (np. – Zabię cię, nie wytrzymam dłużej w tym domu itp.), w związku z czym nie należy się specjalnie przejmować, bo mama, „jak się zdenerwuje, to tylko tak mówi”.
- c. Zawsze jest nadzieja, że mama za bardzo się jednak nie zdenerwuje i sama w końcu zrobi to, czego wymaga od córki. Tym finałem bardzo często opisana sekwencja rodzinna się kończy.

Bywa tak jednak tylko do chwili, gdy zdenerwowanie mamy osiąga pułap, z którego spada straszliwa awantura (zabawki mogą wtedy wylecieć przez okno), lanie lub płacz mamy, gorszy zresztą do wytrzymania niż wszystko pozostałe. Wtedy nie ma już żartów i trzeba zrobić to, czego mama się domaga. Ale dopiero wtedy. Wcześniej można spokojnie „nie słuchać” i robić swoje.

Równie szybko jak tego, że słowa rodziców niewiele znaczą, dzieci uczą się, iż słów tych **nie warto lekceważyć**. Już kilkakrotne zastosowanie opisanego wcześniej scenariusza nr 3 wystarcza niekiedy do tego, aby potomek doszedł do wniosku, że kiedy mama czy tata zapowiada, iż coś zrobi (np. wyrzuci zabawki do zsypu), to po prostu to robi. Nie opłaca się zatem czekać aż do tego momentu i ryzykować poniesienia konsekwencji zapowiadanych przez rodzica posunięć. Dziecko zaczyna „słuchać”.

No dobrze – powie ktoś – ale przecież to jest odmiana tresury. Dziecko nie powinno być posłuszne jedynie dlatego, że obawia się rodzicielskich sankcji. Trzeba mu tłumaczyć i przekonywać je, aby zechciało wypełniać polecenia rodziców niejako **samo z siebie**, rozumiejąc ich potrzebę i sens. Oczywiście. Jednakże małe dziecko generalnie funkcjonuje w oparciu o zasadę dążenia do przyjem-

ności i unikania przykrości, w związku z czym, mimo iż rozumie nawet potrzebę i sens wielu dyspozycji, stara się ich wykonanie przynajmniej odwlec w czasie, a najchętniej w ogóle się od nich wymigać. Dlatego tak wielu rodziców, uskarżając się na nieposłuszeństwo córki czy syna, stwierdza z goryczą: „Tyle mu się przecież tłumaczy, i on to rozumie, i przyrzeka poprawę, a mimo to, gdy przyjdzie co do czego – robi swoje”.

Dziecku należy niewątpliwie dużo tłumaczyć, rozmawiać z nim i przekonywać je, aby samo z siebie zechciało podporządkować się dyrektywom rodziców. Ale, aby te tłumaczenia i przekonywania były skuteczne, rodzice ci muszą posiadać w oczach potomka szeroko rozumianą **wiarygodność swoich słów**, a ta z kolei wynika przede wszystkim z **konsekwencji w postępowaniu**.

Niekonsekwentni, mało wiarygodni rodzice mogą swą swą pociesze przez dowolnie długi czas tłumaczyć, że np. będąc na podwórku, nie powinna ona, bez zapytania o pozwolenie, robić wypraw na sąsiednią ulicę – i nie osiągną pozytywnego rezultatu. Bowiem córka czy syn, po raz kolejny znikając z podwórka, będzie miał nadzieję, a nawet pewność, że tym razem też (jak to już przecież bywało) „upiecze” mu się bez żadnych nieprzyjemnych następstw.

Podsumowując, można powiedzieć, że tak jak w naszym scenariuszu nr 1 zachowują się dzieci, których rodzice są wiarygodni i konsekwentni w postępowaniu. Tak jak w scenariuszu nr 2 zachowują się dzieci, których rodzice są wiarygodni, ale bywają czasami niekonsekwentni. I wreszcie, tak jak w scenariuszu nr 3 i w opisanej powyżej „sekwencji wydawania dziecku polecenia” postępują dzieci, których rodzice nie zbudowali swojej wiarygodności bądź ją utracili w związku z ustawiczną niekonsekwencją swojego zachowania się wobec potomstwa.

Systematyczne stosowanie wobec córki czy syna scenariusza nr 3 bardzo szybko tę wiarygodność buduje i przywraca.

I wreszcie na koniec ostatnia sprawa. Pokażna grupa przychodzących do mnie po poradę rodziców pyta, co robić, kiedy ich dzieci na zapowiedź sankcji reagują prowokacyjnym jej lekceważeniem.

„Kiedy powiedziałam córce, że wyrzucę jej ponieważ nie chcąc się wszędzie zabawki, ona odpowiedziała: »To wyrzuc. I tak się już nimi nie bawię«” – mówi matka dziewięcioletniej Dorotki.

„Mój syn na zapowiedź, że dopóki nie usunie z podłogi w przedpokoju i jadalni śladów jazdy na wrotkach (jeżdżenie na wrotkach po mieszkaniu było mu surowo zakazane), dopóty nie wyjdzie do kolegów na podwórko, wzruszył ramionami i powiedział: »To nie wyjdę, wcale mi na tym nie zależy«” – opowiada matka dziesięcioletniego Mikołaja. I tak dalej.

Tego rodzaju buntownicze i przekorne zachowania się dzieci wywołują z reguły ogromną irytację rodziców i jednocześnie przytłaczające ich poczucie bezradności.

„Ja mu mówię (synowi), że jeśli w końcu nie zakonserwuje roweru na zimę i nie wyniesie go do piwnicy, to go (rower, oczywiście) wezmę i sprzedam. A on mi na to: »No to weź i sprzedaj«. Myślałem, że mnie szlag trafi. Toż za taką bezczelność to tylko w gębę się należy. Ale czy to tak trzeba? Bić jak psa? Proszę coś poradzić, bo naprawdę nie wiem, co robić” – mówi wzburzony ojciec jedenaśioletniego Marka.

„Uderzyłem córkę w twarz, gdy rzuciła mi na stół pieniądze, mówiąc: »Proszę, możesz je sobie wziąć«. A chodziło o to, że zagroziłem jej odebraniem specjalnej premii do tygodniówki, którą otrzymała za obiecanie matce umycie okna w łazience, czego, mimo przypominania przez

tydzień, nie zrobiła. Nie chcę się tak zachowywać i wiem, że to nie ma sensu, ale nic potrafiłem się opanować, kiedy tak strasznie mnie zdenerwowała” – skarży się ojciec dwunastoletniej Ewy. I tak dalej.

A oto moja odpowiedź i rada.

Nawet kiedy dziecko manifestuje lekceważenie dla ustalonej przez nas sankcji, należy ją spokojnie i do końca konsekwentnie wykonać. Ta manifestacja jest bowiem próbą sił, konfrontacją pomiędzy dzieckiem i rodzicami, w której dziecko liczy właśnie na wyprowadzenie rodzica z równowagi i zachwianie jego konsekwentnej postawy. Z reguły zresztą doskonale mu się to udaje.

W opisanym wyżej przypadku Ewy wyglądało to następująco: Uderzona w twarz dziewczynka, szlochając i wykrzykując groźby pod adresem ojca („Już mnie więcej w domu nie zobaczysz, ostatni raz mnie uderzyłeś” itd.), zamknęła się w swoim pokoju. Matka przerażona rozmianami scysji stwierdziła (występując tu w koalicji z córką), że nie ma powodu do takich awantur, gdyż ona sama może umyć to cholerne okno i że dawno by już to zrobiła, gdyby umiała przewidzieć rozwój wydarzeń. Osamotniony w tej sytuacji i zgnębiony poczuciem winy ojciec zaakceptował bez słowa to rozwiązanie, a po pewnym czasie przeprosił córkę za swoje zachowanie, zwracając jej rzucone na stół pieniądze. I tym sposobem, niewielkim w gruncie rzeczy kosztem, nudne i pracochłonne mycie okna „upiekło” się Ewie. Ponadto nauczyła się ona, że jeżeli zdoła sprowokować ojca do zachowania, którego on sam nie akceptuje, to ponosząc niewielką w sumie ofiarę (np. dostając w buzię), może wyśmienicie wyjść na swoje (np. mieć pieniądze i nie myć okna).

A co by się stało, gdyby ojciec nie dał się sprowokować i spokojnie wziął rzucone na stół pieniądze? Prawdopodobnie dziewczynka doszłaby w końcu do wniosku, że

jednak bardziej opłaca jej się umyć okno i odzyskać premię.

Ciekawe też, co by się stało ze śladami wrotek na podłogach w mieszkaniu Mikołaja po jego, powiedzmy, tygodniowym siedzeniu w domu? Mogę przyjąć wysoki zakład, że po prostu by je usunął, dochodząc do wniosku, iż nie wygra, a co za tym idzie, nie opłaca mu się jeszcze dłużej nie wychodzić na podwórko. I tak dalej.

W spokojnej konsekwencji tkwi naprawdę ogromna siła.

Rozdział IX

CHWILI NIE USIEDZI SPOKOJNIE, CZYLI O DZIECIACH „NADPOBUDLIWYCH”

Wkrótce po rozpoczęciu przez dziecko edukacji przedszkolnej czy szkolnej wielu rodziców dowiaduje się, że ich pociechy stwarzają nauczycielom tych placówek poważne trudności wychowawcze.

„Chwili nie usiedzi spokojnie. Bez przerwy biega, podskakuje, krzyczy, jakby go coś nosiło po sali. Psuje każdą zabawę, bo włączony do niej nie przestrzega reguł gry, a jeśli się go nie włącza, celowo zaczepia inne dzieci i przeszkadza im się bawić” – relacjonuje nauczycielka przedszkola matce pięcioletniego Krzysia.

„Nie potrafi usiedzieć w ławce. Wychodzi z niej, kręci się na wszystkie strony, bez przerwy rozmawia, zaczepia inne dzieci nawet wtedy, kiedy są zajęte pracą na lekcji, tak że nikt nie chce z nim siedzieć. Sam właściwie nie pracuje. Chyba że siądę obok niego i pilnuję każdej jego czynności. Nie spełnia moich poleceń. Każde z nich muszę mu kilkakrotnie powtarzać, zanim zabierze się do jego wykonania” – skarży się nauczycielka podczas pierwszej wywiadówki mamie siedmioletniego Piotrusia.

„Marysia bez przerwy domaga się, aby tylko ją pytać i nią się zajmować. Na każde moje pytanie podnosi rękę

do góry, ale zapytana często nie umie odpowiedzieć. Wtedy zaczyna płakać albo złości się, zrzucając książki z ławki na podłogę. Zaczepia inne dzieci, a kiedy usiłują się one przed tymi zaczepkami bronić, Marysia biegnie do mnie z płaczem i oskarża kolegów o napastowanie jej” – żali się inna nauczycielka mamie Marysi-pierwszoklasistki. I tak dalej.

Na ogół rodzice wysłuchują tych skarg z niekłamanym zdumieniem, ponieważ w domu ich pociechy zachowują się zupełnie inaczej i z reguły nie sprawiają takich kłopotów.

„W domu jest to grzeczne, spokojne dziecko, a w szkole jakby »złe« w nią wstępowało. Dosłownie – jak mówi nauczycielka – nosi ją po klasie. Aż mi się nie chce w to wierzyć” – mówi z kolei do mnie jedna z moich matek-pacjentek.

Jest to typowa skarga matki tak zwanego nadpobudliwego psychoruchowo dziecka. Bowiem prędzej czy później Krzyś, Piotruś, Marysia i mnóstwo innych dzieci, sprawiających tego rodzaju trudności, trafi na specjalistyczne badania psychologiczne i lekarskie, gdzie w końcu postawiona im zostanie taka właśnie diagnoza – nadpobudliwość psychoruchowa. Mimo pozorów niewinności (wiadomo przecież, że „wiercipięty” w końcu ze swojego „wiercenia się” wyrastają) jest to rozpoznanie groźne i brzemiennie w skutki, ponieważ wśród większości psychologów i lekarzy (głównie psychiatrów dziecięcych) panuje, oparte na rzekomo naukowych badaniach, przekonanie, iż przyczyną nadpobudliwości psychoruchowej u dzieci są **mikrouszkodzenia centralnego układu nerwowego**, czyli mózgu. Według tej teorii, powstające (z bliżej nie znanych przyczyn) mikroskopijne uszkodzenia tkanki mózgowej (nawiasem mówiąc, nikt, o ile mi wiadomo, nigdy takich uszkodzeń pod mikroskopem nie zoba-

czył ani nie opisał) powodują zaburzenia funkcjonowania dziecka polegające na jego wzmożonej ruchliwości, zwiększonej chwiejności emocjonalnej i nadmiernie nasilonej reaktywności na bodźce zewnętrzne. Na uszkodzenie mózgu psycholog, jak wiadomo, niewiele może poradzić. W związku z tym, formułując diagnozę nadpobudliwości psychoruchowej, zazwyczaj odsyła on dziecko do lekarza-psychiatry, który niezwłocznie rozpoczyna leczenie farmakologicznymi środkami uspokajającymi, a nawet psychotropowymi. Tym sposobem setki tysięcy dzieci już niejako w zaraniu życia otrzymują psychiatryczną etykietkę i są traktowane nieobojętnymi dla ich rozwoju preparatami chemicznymi, silnie oddziałującymi na układ nerwowy – w dodatku, z reguły, bez specjalnych rezultatów.

A tymczasem wszystko wskazuje, że nic takiego jak nadpobudliwość psychoruchowa w opisanym wyżej znaczeniu nie istnieje.

Na poparcie tej prawdopodobnie zaskakującej (głównie dla moich kolegów po fachu, ale i dla rodziców mających w domu nadpobudliwe pociechy) tezy chciałbym przytoczyć najpierw argumenty, a potem zaproponować nieco inne od ogólnie przyjętego wyjaśnienie obserwowanych faktów. A oto argumenty.

1. Z logicznego punktu widzenia nie może istnieć nadpobudliwość, skoro nie istnieje wzorzec średniej, ogólnie przyjętej pobudliwości dla dziecka w danym wieku. Gdybyśmy posiadali taki wzorzec, mówiący np., że siedmioletnie normalne dziecko w zakresie ruchliwości, labilności uczuciowej i reaktywności na bodźce zachowuje się na ogół tak a tak, to mielibyśmy też prawo stwierdzić, że niektóre dzieci plasują się powyżej, a inne poniżej tej średniej. Średniej jednak, niestety, nie ma. Dzieci pod względem ruchliwości i wymienionych tu pozostałych param-

trów są – jak mawiał pewien mój znajomy góról – „panocku, różniste, ale to różniste”, i nikt na dobrą sprawę nie wie, od czego to zależy.

2. Jak wynika z niezliczonych relacji rodziców, nadpobudliwość psychoruchowa u ich dzieci daje o sobie znać najwyraźniej tylko podczas pobytu pociech w przedszkolu lub szkole, ustępując niemal bez śladu w warunkach domowych, kiedy potomek obcuje wyłącznie z członkami swojej rodziny.

Trudno sobie doprawdy wyobrazić takie uszkodzenie mózgu dziecka, które powoduje zaburzenia, powiedzmy, tylko pomiędzy godziną ósmą i szesnastą, i pod warunkiem obecności wokół innych dzieci i osób spoza rodziny.

3. Istnieją liczne dowody na to, że dzieci nadpobudliwe psychoruchowo, poddane czysto wychowawczym i socjoterapeutycznym oddziaływaniom korekcyjnym, dość szybko przestają w przedszkolu czy szkole sprawiać charakterystyczne dla nich trudności. Czyżby to znaczyło, iż pod wpływem starych nieraz jak świat pociągnięć wychowawczych i uczenia dziecka rozmaitych umiejętności społecznych uszkodzenia w jego mózgu zanikały? Wydaje się to mało prawdopodobne, zważywszy że tkanka nerwowa, jako bodajże jedyna w organizmie ludzkim, prawie wcale nie podlega regeneracji.

4. I wreszcie sprawa owych nieszczęsnych mikro-uszkodzeń. Hipoteza mówiąca, że nadpobudliwość psychoruchowa u dzieci jest właśnie przez nie spowodowana, ma wszelkie cechy tzw. hipotezy ad hoc, czyli przyjętej wyłącznie w celu wyjaśnienia określonego zjawiska. Podobnie jak na pewnym poziomie rozwoju fizyki, aby wyjaśnić fenomen rozchodzenia się fal w powietrzu, potrzebna była hipoteza o istnieniu specjalnego, nie dającego się wykryć doświadczalnie, ale wszechobecnego nośnika owych fal, zwanego flogistonem, tak i w przypadku nadpo-

budliwości psychoruchowej mikrouszkodzenia centralnego układu nerwowego stały się flogistonem, tłumaczącym jej genezę. A oto, co upoważnia mnie do takiego twierdzenia:

Po pierwsze, tak jak już wspomniałem, nikt nigdy nie widział ani nie opisał owych sławetnych mikrouszkodzeń, podobnie jak nie udało się zbadać i opisać flogistonu.

Po drugie, samo pojęcie mikrouszkodzenia budzi poważne wątpliwości. Nasz mózg składa się z setek miliardów komórek nerwowych, z których ubywa codziennie około stu milionów w wyniku normalnego procesu starzenia się. Wiadomo też, że wypicie kieliszka wódki również powoduje bezpowrotne zniszczenie następnych stu milionów komórek (a niektórzy ludzie piją przecież umiarkowanie przez całe niemal życie, nie zdradzając żadnych zaburzeń zachowania). Mało tego. Nawet rozległe urazy mózgu, w wyniku np. ran postrzałowych, stłuczeń czy wylewów, mogą powodować jedynie przejściowe zaburzenia w funkcjonowaniu, takie jak paraliż lub afazja, które cofają się nieraz bez śladu pod wpływem oddziaływań rehabilitacyjnych. Sam znałem kiedyś – niezjącego już, niestety, profesora uniwersytetu, który nie posiadał **całej jednej półkuli mózgowej**, usuniętej mu szczęśliwie po postrzale w głowę podczas okupacji niemieckiej.

Biorąc to pod uwagę, warto się zastanowić przez chwilę, czym w końcu jest tak zwane mikrouszkodzenie mózgu? Czy chodzi o zniszczenie stu, dwustu czy też większej ilości komórek nerwowych? Jeśli nawet tak, to co, wobec olbrzymich możliwości kompensacyjnych mózgu, upoważnia do twierdzenia, że jest to przyczyną obserwowanych zaburzeń zachowania? I jeszcze jedno. Mózg jest narządem wysoce wyspecjalizowanym. Poszczególne jego obszary i struktury odpowiadają za różne aspekty funkcjonowania organizmu. W każdym podręczniku anatomii centralnego układu nerwowego można znaleźć

„mapy” mózgu pokazujące, jakimi czynnościami kieruje jaka jego część. I tak np. wiadomo, że za myślenie i kojarzenie odpowiadają tzw. płaty czołowe mózgu, a za koordynację ruchów tzw. płaty przedczołowe, że życie emocjonalne sterowane jest przez układ limbiczny, znajdujący się na powierzchni przyśrodkowej mózgu (czyli tej znajdującej się naprzeciwko palca przytkniętego do podniebienia). I tak dalej. Zniszczenie tych wyspecjalizowanych okolic centralnego układu nerwowego lub zablokowanie ich działalności za pomocą środków farmakologicznych (które to obie metody stosuje się w badaniach nad działaniem mózgu prowadzonych na zwierzętach), powoduje **ściśle określone** ubytki funkcji organizmu w postaci np. zaburzeń kojarzenia, zakłóceń koordynacji wzrokowo-ruchowej, niedowładów, porażań itp. Nadpobudliwość psychoruchowa, tak jak się ją opisuje, jest masywnym zaburzeniem **całokształtu** zachowania się dziecka, obejmującym jego aktywność ruchową, reakcje emocjonalne, wrażliwość na bodźce zewnętrzne i niektóre procesy poznawcze. Pozostaje zagadką, w jaki sposób „mikrouszkodzenia” mózgu mogą doprowadzić do takich skutków. Logika budowy i działania centralnego układu nerwowego mówi, że potrzebne byłoby do tego jednoczesne zniszczenie lub poważne uszkodzenie płatów czołowych, przedczołowych i powierzchni przyśrodkowej mózgu, czyli coś w rodzaju eksplozji ręcznego granatu między zębami. A to naszym nadpobudliwym pociechom na szczęście się nie zdarza.

I tyle byłoby, jeśli chodzi o argumenty.

Zastanówmy się teraz z kolei nad tym, o co w całej sprawie nadpobudliwości naprawdę chodzi, bowiem to, że jest mnóstwo dzieci zachowujących się w określonych okolicznościach tak jak Marysia czy Piotruś, jest faktem. Faktem jest również, że dzieci te i ich rodzice potrzebują

fachowej pomocy, tyle że nie w postaci podawanej czasami jednym i drugim uspokajającej pigułki, która może co prawda przynieść doraźną ulgę, ale przecież niczego nie zmieni i nie usuwa przyczyn problemu.

Na początek spróbujmy ustalić, w czym tak zwane „dzieci nadpobudliwe” są do siebie podobne, oprócz tego, że w określonych sytuacjach (w grupie przedszkolnej, w klasie szkolnej, w gromadzie kolegów na podwórku itp.) zachowują się niemal identycznie. Otóż na podstawie rozmaitych statystyk okazuje się, że są to w przeważającej liczbie jedynacy lub dzieci najmłodsze w rodzinach, gdzie istnieje duża rozpiętość wieku (pięć i więcej lat) pomiędzy rodzeństwem. I tak Krzys i Marysia z naszych przykładów to jedynacy. Piotruś zaś ma czternastoletniego brata. Nadpobudliwość praktycznie nie występuje w rodzinach wielodzietnych czy w takich, gdzie np. pomiędzy parą rodzeństwa jest niewielka różnica wieku (od roku do trzech lat). W związku z takim usytuowaniem w rodzinie – dzieci „nadpobudliwe” są znacznie częściej niż inne wychowywane w sposób nadopiekuńczy lub skrajnie liberalny, a ponadto w ich wychowaniu mają często niebagatelny udział babcie. Zapamiętajmy na razie te ustalenia i zajmijmy się przez chwilę nieco inną sprawą.

Postarajmy się odpowiedzieć sobie na pytanie: Czy nam, dorosłym, zdarzyło się kiedyś zachowywać w sposób nadpobudliwy psychoruchowo? Czy przeżyliśmy chwile, kiedy – tak jak małego Krzysia – „coś nas nosiło”, nie pozwalając usiedzieć na miejscu i każąc wykonywać różne, bezsensowne na ogół, czynności? Odpowiedź oczywiście brzmi – tak. Nie tylko nam się to zdarzało, ale wciąż się zdarza w sytuacjach pełnego strachu oczekiwania na jakies nieprzyjemne zdarzenie (np. na zabieg stomatologiczny albo na egzamin) czy wtedy, gdy doznajemy uczucia bezradności i braku wpływu na obserwowany

bieg wydarzeń (np. kiedy musimy pilnie porozumieć się telefonicznie z naszym współnikiem, a jego telefon jest nieustannie zajęty), czyli w sytuacjach, w których przeżywamy silne, negatywne emocje, przede wszystkim lęku i złości.

Skoro więc z nami tak się dzieje, nietrudno będzie nam się domyślić, że nie mogące usiedzieć na miejscu „nadpobudliwi” dzieci także przeżywają podobne uczucia – lęku i złości. I to one właśnie powodują ową „nadpobudliwość”, ponieważ nie dlatego boimy się i złościmy, bo nas nosi” i nie możemy usiedzieć na miejscu, tylko „nosi” nas i nie możemy „usiedzieć na miejscu”, bo się złościmy i boimy.

Dlaczego dzieci „nadpobudliwe”, znajdując się w grupie rówieśniczej, złością się i boją? Ano najprawdopodobniej dlatego, że sobie w tej grupie nie radzą. Jak już powiedzieliśmy wcześniej, są to z reguły dzieci jedyne lub tzw. „późne”, wychowywane przez nadopiekuńcze najczęściej matki, niekiedy przy znacznym współudziale babć. Jest to pewien szczególny rodzaj wychowania, którego „produktem” jest niemal pewny kandydat na „nadpobudliwca”, czyli „babcine dziecko”.

Nazwa wywodzi się stąd, że babcie wychowujące jedynych wnuków prawie zawsze „produkują” babcine dzieci, natomiast przewrażliwionym matkom zdarza się to, jeśli postępują ze swymi pociechami tak właśnie jak babcie. Syndrom „babcinego dziecka” stanowią trzy grupy, nazwijmy to, objawów:

1. Lękowy stosunek do świata i ludzi.

„Babcine dzieci” wychowywane są, jak sama nazwa wskazuje, przez babcie lub przez nadopiekuńcze, ustawicznie drżące ze strachu o swą pociechę matki, w świecie pełnym zakazów i nakazów. Powodowane wszechogarniającym lękiem o zdrowie i bezpieczeństwo wnuka,

córki lub syna – nie są one w stanie przyznać dziecku praktycznie żadnych kompetencji, drobiazgowo regulując jego życie i aktywność lawiną poleceń i dyspozycji. Nie idź, zostaw, odejdz, połóż, nie dotykaj, nie biegnij, odłóż, uważaj, usiądź, posiedź, popatrz, posłuchaj, nie baw się z nim, nie zabieraj, oddaj itd., itd. – to komunikaty płynące do dziecka nieprzerwanym strumieniem. Tworzą one w jego oczach ponurą wizję świata pełnego zagrożeń, czyhających niebezpieczeństw i pułapek, gdzie nóż służy wyłącznie do tego, by się nim skaleczyć, schody, by z nich spaść, nożyczki, by uciąć sobie palec, ulica, by wpaść pod samochód, a kolega z podwórka, by się od niego czymś zarazić, nauczyć się mówienia brzydkich wyrazów lub dostać kopa.

W przypadku babć, oprócz lęku o wnuka, do konstruowania takiej wizji rzeczywistości dochodzi zazwyczaj jeszcze jeden powód. Otóż na ogół opieka nad żywym jak przysłowiowe srebro kilkuletnim dzieckiem jest dla nich zadaniem niezwykle męczącym. Często nie są one po prostu w stanie podążać za „urzędującym” w domu cztero- czy pięcioletkiem. Starają się więc zakazami i nakazami ograniczyć jego ekspansywność i doprowadzić do realizacji jednej z propozycji dających chwilę spokoju i wytchnienia (np. posiedź przy babci i porysuj). W związku z posiadaną przez nie, wyżej opisaną, lękową wizją świata „babcine dzieci” są z reguły mało odważne, nie grzeszą inicjatywą i przebojowością oraz brak im wielu umiejętności (takich jak np. jazda na rowerze, rzucanie kamieniami, kopanie piłki, ewolucje gimnastyczne na trzepaku itp.), które rówieśnicy dawno już sobie przyswoili.

2. Brak podstawowych umiejętności społecznych, cenionych w grupie rówieśniczej.

„Babcine dzieci” zazwyczaj wzrastają i wychowują się w zasadzie wśród dorosłych. Bardzo też szybko przyswa-

jają sobie cenione przez dorosłych umiejętności społeczne. Potrafią zachować się przy stole, pocałować przy powitaniu ciotkę Helę w rękę, prowadzić poważne rozmowy, używać proszę-dziękuję-przepraszam czy zaśpiewać z uczuciem ukochany przez babcię „Pierwszy siwy włos” podczas herbatki dla babcinych koleżanek. Krótko mówiąc, są to w przytłaczającej większości tzw. „dzieci stare-malutkie”, które do perfekcji opanowały stosunki z dorosłymi. Ich dramat rozpoczyna się w momencie, w którym znajdują się w grupie rówieśniczej, np. na podwórku czy w klasie szkolnej. Okazuje się wtedy, że umiejętności społeczne cenione przez dorosłych nie są bynajmniej cenione przez dzieci. Cenią one bowiem odwagę, przebojowość, inicjatywę, pomysłowość, umiejętności organizacyjne, umiejętność rywalizacji, wygrywania, przegrywania, zdolność dostosowania się do zmiennej sytuacji itp., czyli prawie wszystko to, czego „babcine dziecko” nie potrafi. Toteż błyskawicznie, ze swoją umiejętnością poważnej konwersacji i zrozumieniem abstrakcyjnych dowcipów, a z powodu np. nieumiejętności płucia do celu i strachu przed przejściem „bez trzymanki” po oparciu ławki, łąduje ono na samym dniu podwórkowej lub klasowej hierarchii jako oferma, ofiara i całkowicie nieatrakcyjny partner do zabawy. Jest to często szok dla brylującego na „dorosłych salonach” pupila i powód jego niechęci do wychodzenia na podwórko czy uczęszczania do szkoły.

Młode zwierzęta (szczeniaki czy kociaki chociażby), jak pamiętamy, większość swojego czasu spędzają na tzw. „zabawach zwierząt”, czyli na pozorowanych lub nawet autentycznych walkach, tarposzeniu się i „przewalankach”. Podobnie zachowuje się rodzeństwo, pomiędzy którym nie ma zbyt dużej różnicy wieku. Stałe walki, kłótnie, bójki i „przepychanki”, przedzielone okresami zgodnej zabawy i współdziałania, są na porządku dziennym.

Stanowią one bezcenną szkołę umiejętności społecznych, cenionych przez grupę rówieśniczą. W trakcie tych zabaw pociechy uczą się znosić porażki i szlachetnie wygrać (bez „wdeptywania przeciwnika w ziemię”), współdziałać i współpracować, dochodzić swoich racji i przyznawać rację innym, przyjmować wyzwanie i rywalizować, ale też godzić się i z rywalizacji rezygnować. Dlatego też, jak odnotowują statystyki, w rodzinach wielodzietnych i tam, gdzie pomiędzy rodzeństwem nie ma zbyt dużej różnicy wieku, nadpobudliwość praktycznie nie występuje.

„Babcina dzieci” płaczą lub złością się, kiedy przegrywają, i „wdeptywają przeciwnika w ziemię” (co on dobrze zapamięta sobie na przyszłość), kiedy wygrywają. Nie potrafią współpracować i współdziałać, ponieważ dążą z reguły do objęcia przywództwa (kontrola nad sytuacją zmniejsza ich lęk i poczucie zagrożenia), mimo braku ku temu umiejętności i kwalifikacji. Nie potrafią wymyślić i zorganizować żadnej zabawy, za to każdą potrafią popsuć swoim nieposzanowaniem reguł gry i uporczywym dążeniem do dominacji nad innymi. W dodatku nie potrafią zaimponować odwagą i unikają ryzyka. Dlatego też są na ogół nie lubiane przez inne dzieci i przez nauczycieli, którym sprawiają ustawiczne kłopoty. Im bardziej zaś są nie lubiane, tym bardziej złością się, boją, nie potrafią przestrzegać reguł gry itp. – koło się zamyka.

3. Niedostateczna sprawność fizyczna, rozumiana jako sprawność poniżej wieku rozwojowego.

„Babcine dzieci”, skrupowane w swej aktywności niezliczonymi zakazami i nakazami oraz poddane surowej kontroli ze względu na ich zdrowie i bezpieczeństwo, są z reguły mało sprawne fizycznie. Empiryczne obserwacje pozwalają wyłonić spośród nich dwie duże zasadnicze grupy, które dalej różnicują się wewnątrznie. Są to „zapaśione pulpety” i „przezroczyście niejadki”. Wśród „pulpe-

tów” są np. „pocziwe grubasy-misie”, „grubasy-czołgi” i „grubasy-worki z piaskiem”, a wśród „niejadków” np. „pajączki”, „sprężynki” i „leluje z pól rodzinnych”. Pozostawiam czytelnikom przyjemność rozszyfrowania znaczenia tych, ukształtowanych w ciągu wieloletniej praktyki, nazw. W każdym razie „babcine dzieci” na ogół nie potrafią szybko biegać, skakać, jeździć na rowerze, deskorolce lub wrotkach, grać w piłkę, robić ewolucji gimnastycznych na trzepaku, wspinać się na drzewa, rzucać celnie kamieniami lub śnieżkami, „siłować się”, bić itp. Wyznacza im to w wielu grupowych inicjatywach rolę najmniej cenionych statystów i obserwatorów, którzy nie liczą się w spontanicznie ustanawianej hierarchii danego kolektywu.

Spróbujmy sobie teraz wyobrazić, co dzieje się z „babcinym dzieckiem” w chwili, kiedy trafi ono przymusowo (bo osiągnęło odpowiedni wiek) do w miarę sformalizowanej grupy rówieśniczej (np. do grupy przedszkolnej lub do klasy szkolnej). Przede wszystkim, tak jak już to powiedzieliśmy, łąduje ono na dnie hierarchii grupowej, co jest zazwyczaj szokiem dla rozpieszczonej dotychczas „rodzinnej gwiazdy”. W związku z tym pojawia się u niego napięcie będące rezultatem nie znanych dotychczas doświadczeń: bycia „kolejnym na liście” oraz stanowienia dla innych obiektu lekceważenia, kpin i niechęci, wyrażanych przez kolegów bardzo nieraz dosadnie i bezpośrednio. To z kolei budzi rozdrażnienie i złość. W ten sposób „babcine dziecko” staje się „nadpobudliwcem”. Burzliwe emocje strachu i złości przeżywane w grupie rówieśniczej powodują, że nie może ono „usiedzieć na miejscu”, bowiem jedynym sposobem zmniejszenia przeżywanego przezeń lęku jest podwyższenie stopnia kontroli nad określoną sytuacją. Chcąc sobie zapewnić tę kontrolę, „babcine dziecko” musi biegać od grupki do grupki kolegów,

włączać się tak czy inaczej we wszystkie powstające w grupie inicjatywy i nie pozwolić, aby cokolwiek umknęło jego uwadze. **Musi** więc ono zachowywać się w sposób odpowiadający opisom nadpobudliwości psychoruchowej.

W każdej grupie rówieśniczej, przedszkolnej, szkolnej czy podwórkowej, istnieją trzy sposoby zdobywania nieformalnej pozycji i prestiżu. Pierwszy z nich to siła fizyczna. Jeżeli dziecko jest zdolne „dać w mordę” dowolnemu koledze czy koleżance, a tym samym wzbudzić wobec siebie strach wśród tych, którzy jeszcze „w mordę” nie dostali, to jego dominacja w grupie zazwyczaj nie podlega dyskusji.

Drugim jest dysponowanie dobrami lub środkami, które są przedmiotem pożądania innych. Mówiąc inaczej, jeśli dziecko posiada rzeczy czy urządzenia, które jego koledzy chcieliby dopiero mieć, lub gdy dysponuje odpowiednimi kwotami pieniędzy, aby tymże kolegom zaimponować i coś zafundować, wtedy jego pozycja w grupie ustala się na względnie wysokim poziomie. W związku z rozwojem w naszym kraju gospodarki rynkowej, reklamą i tworzeniem się zupełnie dawniej nie znanych zawodów (np. ochroniarza) pojawia się już wśród dzieci nowa forma posiadania – posiadanie ludzi. Nie tak dawno zgłosili się do mnie rodzice dwunastoletniego chłopca, który ukradł im ponad milion złotych po to, by pieniądze te przekazać znanemu ze swej siły fizycznej i braku oporów w jej wykorzystywaniu koledze ze starszej klasy, w zamian za co ów kolega zobowiązał się chronić naszego bohatera i dawać „w mordę” każdemu, kogo on wskaże. Można łatwo się domyśleć, że pozycja posiadacza „goryla” znacząco w grupie wzrosła.

Trzecim wreszcie sposobem zaistnienia w grupie jest wykonanie tzw. „numeru” lub „skoku”, czyli uczynienie

czegoś skierowanego najczęściej przeciwko dorosłym, na co inni nie potrafią się odważyć. „Numerem” będzie więc obrzucenie nauczyciela obraźliwymi epitetami, wyjście z klasy przez okno podczas lekcji, wrzucenie petardy do klozetu w szkolnej toalecie i całkowite jej zniszczenie w wyniku eksplozji, jawna niesubordynacja i przeszkadzanie na lekcjach, wyrażona wprost odmowa spełnienia poleceń nauczyciela itd. Podanych przykładów nie wymyśliłem bynajmniej na użytek tej książki. Są to autentyczne sprawy, z powodu których rodzice zgłaszali się do mnie po poradę w ciągu ostatniego miesiąca. Wykonawcy owych „numerów” i „skoków” zyskują zazwyczaj krótkotrwałą, co prawda, ale zawsze sławę i popularność, stając się na chwilę klasowymi lub wręcz ogólnoszkolnymi „gwiazdami”. A kiedy sława przemija i ulega zapomnieniu, trzeba wymyślać następny „numer”, lepszy od poprzedniego.

„Babcine dzieci”, nawet jeśli dysponują siłą fizyczną, to z reguły nie potrafią jej wykorzystać, ponieważ są zbyt lękliwe i mało sprawne ruchowo. Najczęściej też nie posiadają aż tak atrakcyjnych rzeczy i takiej ilości pieniędzy, żeby kupić sobie popularność wśród kolegów. Pozostaje im więc tylko wątpliwa sława „numerantów”. Toteż nic dziwnego, że właśnie „nadpobudliwcy” bywają niejako etatowymi grupowymi lub klasowymi „wesołkami”, „błaznami”, „świrami” i „jajcarzami”, szczerze nie lubianymi przez opiekunów i nauczycieli za ich kłopotliwe i denerwujące „wyskoki”. Dzieci „nadpobudliwych” nie lubią więc ani rówieśnicy, ani dorośli. A im bardziej są one nie lubiane, tym bardziej boją się i złoścżą – co prowadzi do nasilenia „nadpobudliwości” i znów zakłęte koło się zamyka.

Jak widać, przyczyny tzw. „nadpobudliwości psychoruchowej” u dzieci można wytłumaczyć bez uciekania się

do nie dającej się praktycznie udowodnić (a nade wszystko prowadzącej do błędnego, moim zdaniem, postępowania leczniczego) hipotezy występowania u nich „mikro-uszkodzeń” centralnego układu nerwowego. Co najważniejsze, oparte na tym tłumaczeniu programy korekcyjne przynoszą z reguły pełny sukces, polegający na wyeliminowaniu u danego dziecka kłopotliwych, „nadpobudliwych” zachowań. Programy te polegają, mówiąc najogólniej, na konstrukcji „ab ovo” lub korektach systemu wychowawczego w rodzinie tak, żeby był on w stanie wyrównać deficyty małego człowieka w zakresie jego emocjonalnego stosunku do otaczającej go rzeczywistości, jego umiejętności społecznych i jego sprawności fizycznej. Jest to zazwyczaj dłużej (do pół roku i więcej) trwająca indywidualna praca z rodzicami dziecka nad stworzeniem możliwych do przyjęcia w ich warunkach życiowych rozwiązań wychowawczych, które stopniowo prowadziłyby do wyrównania wspomnianych wyżej deficytów. To z kolei uwalnia dziecko od przeżywanych w konfrontacji z grupą rówieśniczą negatywnych emocji – lęku i złości – będących motorem napędowym tzw. „nadpobudliwości psychoruchowej”.

Ogromnie pomocne w tym procesie może być jednocześnie uczestnictwo dziecka w dobrej grupie socjoterapeutycznej, gdzie ma ono szansę uczyć się aktywnie, przez doświadczenie, brakujących mu umiejętności społecznych. Grupy takie organizowane są zazwyczaj przez Poradnie Psychologiczno-Pedagogiczne, a nawet przez niektóre, posiadające pedagogów szkolnych z prawdziwego zdarzenia, szkoły. Szkoda, że tylko przez niektóre.

Rozdział X

I ZNOWU KATASTROFA, CZYLI O MOCZENIU NOCNYM

Każdego ranka, wedle znanych i na pewno niepełnych statystyk, 10 % dzieci w wieku od pięciu do dziesięciu lat, 5% dzieci w wieku dziesięciu lat i 1-2 % dzieci w wieku kilkunastu lat budzi się w mokrym, zasikany łóżku. Tej nocy znów, tak jak i podczas niezliczonych poprzednich nocy, zdarzyła im się „katastrofa” – bezwiedne, mimowolne oddanie moczu podczas snu. Dla setek tysięcy dzieci oraz ich ojców i matek mimowolne moczenie łóżka w nocy stanowi od pewnego wieku codzienny, niezwykle uciążliwy i trudny problem. Wielu rodziców nie ma świadomości, że jest to rodzaj zupełnie niezależnego od ich potomka zaburzenia (stąd nierzadkie obciążanie go odpowiedzialnością za nocną „powódź” i oskarżenia o lenistwo lub niedbalstwo) zwanego moczeniem nocnym (a w świętym języku medyków – łacinie – enuresis nocturna).

Za moczenie nocne w znaczeniu klinicznym uważane jest utrzymywanie się mimowolnego oddawania moczu podczas snu powyżej pewnego wieku, w którym dziecko powinno już opanować kontrolę nad swymi funkcjami wydalniczymi. Granice tego wieku są rozmaicie określa-

ne w różnych kulturach i krajach. I tak np. w Anglii za problem uważa się sikanie do łóżka powyżej piątego roku życia. W Holandii nawet sześciolatnie dziecko sypiające z pieluszką nie jest problemem, podobnie jak w Szwajcarii czy Stanach Zjednoczonych. W Polsce większość rodziców odczuwa jako zaburzenie utrzymywanie się nocnego moczenia łóżka powyżej trzeciego roku życia.

Rozróżnia się przy tym moczenie nocne pierwotne, w którym nie ma przerwy w moczeniu łóżka pomiędzy okresem niemowlęctwa i aktualnym wiekiem dziecka, oraz moczenie wtórne, gdzie taka przerwa ma miejsce, a dziecko może się wykazać co najmniej sześciomiesięcznym okresem efektywnej kontroli nad oddawaniem moczu w nocy. Warto przy tym zaznaczyć, że wbrew pozorom moczenie nocne pierwotne jest ponad trzy razy częstsze niż moczenie wtórne oraz że chłopcy moczą się w nocy około trzy razy częściej (sic!) niż dziewczynki.

Jeżeli chodzi o przyczyny, etiologia moczenia nocnego jest mocno niejasna. Na przestrzeni lat za główny powód mimowolnego sikania do łóżka uważano:

I. Schorzenia i uszkodzenia organiczne układu moczowo-płciowego.

Jako „organiczne komponenty” moczenia nocnego, czyli jako cielesne schorzenia sprzyjające jego powstaniu lub, w niektórych przypadkach, będące główną jego przyczyną, wymienia się: stany zapalne nerek i pęcherza moczowego, rozszczep kręgosłupa, stulejkę u chłopców, schorzenia mięśni (głównie zwieraczy), zaburzenia hormonalne (przede wszystkim tarczycy i nadnerczy), cukrzycę, epilepsję oraz rozmaite uszkodzenia ośrodkowego układu nerwowego (czyli mózgu i rdzenia kręgowego). Z czasem okazało się, że żaden z tych czynników nie jest odpowiedzialny za utrzymujące się nieraz przez lata noc-

ne moczenie. Wiadomo np., że dzieci, które wcześniej opanowały kontrolę nad wydalaniem moczu w nocy, nawet w przebiegu ostrego zapalenia miedniczek nerkowych czy pęcherza, kiedy odczuwają właściwie nieustanne wzmożone parcie na mocz, nie moczą się w nocy. Rodzice wiedzą też dobrze, że dziecko czasami, aż do okresu dorastania, może się zsikać w nocy z powodu wysokiej temperatury (np. w przebiegu anginy czy innej infekcji) lub zatrucia pokarmowego, nie mówiąc już o cukrzycy, nerczycy czy moczówce prostej. Mało tego. „Katastrofa” może sporadycznie nastąpić w wyniku nadzwyczajnego zmęczenia (np. po długiej podróży), silnych przeżyć emocjonalnych czy po prostu przechłodzenia, szczególnie stóp i dolnych partii ciała.

Wszystko wskazuje więc na to, że posiusianie się w nocy do łóżka może być niespecyficznym objawem wielu schorzeń, a nawet trudnych dla dziecka przeżyć emocjonalnych, podobnie jak u bardzo małych dzieci bywają nim drgawki. Żadna z tak zwanych organicznych przyczyn moczenia nocnego nie wydaje się być czynnikiem decydującym o jego wystąpieniu. Znane są bowiem liczne przypadki dzieci mających stulejkę czy zaburzenia hormonalne, a nawet epilepsję, refluks lub poważne uszkodzenia nerek, które się w nocy nie moczą. I na odwrót – znanych jest całe mnóstwo „lejków” zdrowych jak przysłowiowe rybki, którzy latami nie przesypiają nocy bez „katastrofy”. Niemniej jednak, na wszelki wypadek, każde moczące się dziecko powinno być przebadane medycznie, a każdy wykryty „organiczny komponent” moczenia nocnego odpowiednio leczony.

Przy okazji warto zauważyć, że wszyscy badacze problematyki moczenia nocnego są zgodni co do tego, iż zsikanie się dziecka do łóżka nie jest związane ze stopniem wypełnienia pęcherza moczowego, a więc pośrednio z ilo-

ścią wypitego płynu. Dzieci, które mniej piją, po prostu moczą się mniej obficie, ale się moczą.

2. Głębokość snu.

Rodzice większości moczących się dzieci twierdzą, że odznaczają się one wyjątkowo głębokim i mocnym snem, z którego trudno je wybudzić, np. w celu wysadzenia na nocnik czy doprowadzenia do toalety. Wiarygodność tych opinii budzi zastrzeżenia chociażby przez to, że matki i ojcowie nie mają raczej doświadczeń z budzeniem dzieci nie moczących się (bo i po cóż, na Boga, mieliby je budzić?) i tym samym nie mogą dokonać porównań. Sprawę tę rozstrzygnął w sposób tyleż zdecydowany, co prosty, angielski badacz Michael Boyd*, który zadał sobie trud sprawdzenia, jak to jest z „dobudzaniem się” „lejków” i dzieci nie moczących się. W rezultacie okazało się, że „dobudzenie” „sikacza” wymagało przeciętnie 16 sekund, natomiast nie moczącego się „normalniaka” – 20,5 sekundy. Mimo że różnice te nie były istotne, statystycznie (co praktycznie oznacza, że dzieci nie moczące się i „lejki” budzi się jednakowo trudno) daje to nieco do myślenia. Badania nad snem dzieci moczących się prowadzone z użyciem elektroencefalografu (czyli urządzenia rejestrującego elektryczną aktywność mózgu) wykazały, że zsykanie się następuje najczęściej w fazach snu głębokiego, co jednak nie wyklucza możliwości bezwiednego oddania moczu i w innych fazach, nie wyłączając tzw. fazy SRO (szybkich ruchów oczu), czyli snu płytkiego, kiedy przeżywane są intensywne marzenia senne.

Ostatecznie badacze konkludują, że „katastrofa” może nastąpić praktycznie w każdym momencie snu, co podwa-

* M.M. Boyd, The depth of sleep in enuretic school children and nonenuretic control. J. Psychosem Rev. 4. 1960 r. 247-281.

za przekonanie o związku moczenia nocnego z głębokością snu. Na dodatek wykazano również, że środki farmakologiczne (np. stosowana z upodobaniem przez polskich lekarzy imipramina czy fenobarbitan) modyfikujące przebieg snu nie wpływają w sposób znaczący na częstość zaskakania łóżka.

3. Przebieg treningu czystości.

Analizując przebieg nauki panowania nad funkcjami wydalniczymi i jego ewentualny wpływ na późniejsze wystąpienie mimowolnego moczenia się w nocy, większość badaczy stwierdza zgodnie, że najczęstszym błędem rodziców, wysoko korelującym z „mokrym łóżkiem” potomka, jest zapobiegawcze budzenie go ze snu i sadzanie na nocnik, żeby się wysikał. Praktyka ta najwyraźniej utrudnia wytworzenie się właściwego uwarunkowania na odczucia płynące z wypełnionego pęcherza i w rezultacie opóźnia objęcie przez dziecko kontrolą funkcji zwieraczy we śnie. Można sobie wręcz wyobrazić, jak sygnał – wychodzący z receptorów (czujników) w rozciągniętych ściankach wypełnionego pęcherza i zdążający drogami nerwowymi do ośrodka czuwania w mózgu – zostaje przez „wysadzenie” nieprzytomnego dziecka na nocnik wytłumiony i zahamowany. Po, jak to niektórzy rodzice nazywają, „odsikaniu” faktycznie śpiącego dziecka, sygnał nie ma już po co podążać swoją drogą i w sposób naturalny wygasa. Tym samym drogi przebiegu impulsów nerwowych nie ulegają torowaniu i utrwalaniu się i nawyk nie powstaje. A więc wysadzanie w nocy nie rozbudzonego potomka jest w istocie utrwalaniem jego mimowolnego moczenia łóżka.

Zdołano także wykazać, że wielu rodziców późniejszych „lejków” stosowało ostry, restrykcyjny, oparty na przymusie i karach trening czystości. Ostatecznie jednak

wiadomo tylko tyle, iż przebieg nauki panowania nad funkcjami wydalniczymi odgrywa pewną rolę w utrzymywaniu się później nie kontrolowanego oddawania moczu w nocy, jednakże rola ta nie da się jednoznacznie określić. Oznacza to, że moczą się w nocy zarówno dzieci, które przechodziły ostry i restrykcyjny trening czystości, jak i te, które w sprawach kontroli nad wydalaniem traktowane były łagodnie i liberalnie.

4. Urazy we wczesnym dzieciństwie.

Przekonanie o wpływie urazów psychicznych i stresowych przeżyć we wczesnym dzieciństwie na brak kontroli pęcherza w nocy jest wśród rodziców powszechne i do pewnego stopnia nie pozbawione racji. Maluch, który niedawno osiągnął trudną sztukę panowania nad swoimi funkcjami wydalniczymi, dość łatwo i często załamuje się w trudnych, wywołujących niepokój i napięcie okolicznościach, a jego świeżo ukształtowany nawyk może przez owo napięcie zostać poważnie zaburzony.

W 1973 roku jeden z amerykańskich naukowców przeprowadził ogromne, obejmujące 4500 dzieci badania podłużne (czyli takie, w których osoby badane obserwuje się na przestrzeni wielu lat, aby stwierdzić np., jak czynnik oddziaływający na nie, powiedzmy, w 4 roku życia, dał o sobie znać w sześć lat później) nad współzależnością pomiędzy wystąpieniem moczenia nocnego i siedmioma rodzajami stresujących przeżyć we wczesnym dzieciństwie*. Przeżycia te to:

I. Rozpad rodziny poprzez śmierć jednego z rodziców lub rozwód.

* J.W.B. Douglas, Early disturbing events and later enuresis, in: Calvin J., McKeith R., and Meadow A.S. (eds), Bladder control and enuresis. Clin. in. Per. Med. nos. 48/49, London SJMP/Heineman 1974.

- II. Separacja od matki przynajmniej na jeden miesiąc.
- III. Urodzenie się (sic!) młodszego rodzeństwa.
- IV. Przeprowadzka.
- V. Wypadek komunikacyjny lub inny.
- VI. Pobyt w szpitalu.
- VII. Operacja chirurgiczna.

W rezultacie stwierdził, że u dzieci, które pomiędzy trzecim i czwartym rokiem życia doświadczyły czterech lub więcej takich zdarzeń, wystąpienie mimowolnego moczenia łóżka w nocy było znacznie bardziej prawdopodobne niż u dzieci, które w tym samym czasie nie przeżyły żadnego z nich lub „zaliczyły” jedno albo dwa. Wyniki te wydają się być ze wszech miar logiczne. Każdy bowiem zapewne przyzna, że małe dziecko, któremu, powiedzmy, umarła matka i jednocześnie uległo ono wypadkowi, lądując w szpitalu na operacji chirurgicznej, ma prawo zsikać się (i szczerze mówiąc nie tylko zsikać się) do łóżka. Mam zresztą wrażenie, że dotyczy to nie tylko dzieci.

W krytycznych omówieniach podkreślano, że zdarzeń analizowanych we wspomnianych badaniach nie można brać pod uwagę bez kontekstu całokształtu sytuacji rodzinnej (jest to bliskie naszemu widzeniu rodziny jako systemu), która ma w zasadzie decydujące znaczenie, gdyż w dobrze zintegrowanych rodzinach, o bezpiecznej, pogodnej atmosferze, nawet przeżycie przez dziecko kilku z wymienionych wyżej urazów (z wyjątkiem oczywiście rozpadu rodziny) nie powoduje widocznych negatywnych skutków.

5. Zaburzenia emocjonalne.

Konflikty i problemy emocjonalne dziecka, związane przede wszystkim z jego sytuacją rodzinną, są powszechnie uważane za najważniejszą przyczynę moczenia nocnego wtórnego. Jednakże rzadko występuje ono w takich

sytuacjach jako jedyny objaw. Bardzo często za to jest dodatkowym, niespecyficznym objawem (podobnie jak wspomniane już drgawki u niemowląt) w wielu zaburzeniach psychicznych i emocjonalnych, takich jak depresja, psychozy dziecięce, zaburzenia zachowania, przestępczość itp. Podkreśla się też przy tym, że „lejki” są na ogół bierne lub bierno-agresywne, lękliwe, niepewne, nie wierzące we własne siły, napięte i niespokojne.

Jak widać, odnośnie przyczyn moczenia nocnego nie da się właściwie nic pewnego powiedzieć. Sikają do łóżka zarówno dzieci z rodzin kochających się i doskonale zintegrowanych, jak i te z rodzin mocno skonfliktowanych czy rozbitych. Te, które wykazują inne jeszcze schorzenia somatyczne lub zaburzenia emocjonalne, jak i te, które są całkowicie zdrowe i dobrze przystosowane. Ja sam po dwudziestu latach zajmowania się „sikaczami” uznałem wreszcie, że dociekanie przyczyn mimowolnego moczenia łóżka jest dla praktyka stratą czasu. Po prostu tak już jest, że u niektórych dzieci system nawyków odpowiedzialnych za panowanie nad funkcjami wydalniczymi kształtuje się szybko i bez specjalnych kłopotów, a u innych wolniej lub nie kształtuje się wcale i trzeba dzieci w tym zakresie wspomóc. Jedno w każdym razie jest pewne. Nie kontrolowane sikanie do łóżka powoduje u dotkniętych nim dzieci powstanie silnych napięć psychicznych, a niekiedy i zaburzeń emocjonalnych, będących **następstwem** tego stanu rzeczy. Nieszczęsne „lejki” są stale pełne poczucia winy, wstydu i lęku, bowiem narażone są na kpiny i lekceważenie ze strony rodzeństwa oraz rówieśników (jeśli dowiedzą się oni o ich przypadłości), a nawet ze strony rodziców. Żyją przeto w stałej obawie, że ich gorzka tajemnica zostanie ujawniona kolegom, znajomym czy dalszym krewnym. Nierzadko też są za zsikanie się w nocy dotkliwie i upokarzająco karane. Sam znam tatusia,

który moczącemu się dziewięcioletniemu synowi nakazywał spożywanie posiłków w izolacji od reszty rodziny, bo – jak mawiał – „nie ma ochoty siedzieć przy stole ze śmierdzielem”.

Poza tym w domach dzieci moczących się panuje na ogół specyficzna atmosfera. Problem „mokrego łóżka” jest tam stale obecny. Można powiedzieć, że „wisi w powietrzu” dzięki ustawicznym, nawet nie wprost do sprawy kierowanym uwagom na ten temat, poprzez stały rytuał zmiany, prania i suszenia zmoczonej bielizny, któremu towarzyszą zazwyczaj mniej lub bardziej otwarte utyskiwania rodziców na dodatkową pracę i dezorganizację porządku w domu, i wreszcie dzięki wciąż ponawianym rozmaitym „kuracjom”, z których większość nie jest skuteczna i umacnia jedynie w dziecku przekonanie o nieuchronności jego losu. Dlatego też nocne moczenie się powoduje u zdecydowanej większości cierpiących na nie dzieci nasilające się wraz z wiekiem uczucia smutku, rezygnacji, napięcia, niepokoju i lęku lub wszechogarniającej złości i agresji. „Lejki” z reguły nie mieszczą się w grupie rówieśniczej, bo się izolują (lub są izolowane, ponieważ np. odpadają im wspólne z kolegami wycieczki, wyjazdy, biwaki i kolonie), mają kłopoty z samooceną i z poczuciem własnej wartości, są onieśmiałe, wycofane i potulne lub na odwrót – agresywne, nienawidzące siebie i całego świata. Z kolei we własnych rodzinach „sikacze” czują się przeważnie mającymi tajemniczy „defekt” outsiderami, wzrastającymi w atmosferze jawnej lub skrywanej dezakceptacji albo wyrażanego wprost czy też nieudolnie ukrywanego żalu, litości i rezygnacji. Są to najbardziej szkodliwe i niszczące dla osobowości dziecka zjawiska, które często, nawet po samoistnym ustaniu moczenia się w okresie dorastania, pozostawiają niezatarte ślady w jego psychice. Prawdą bowiem jest to, co głoszą niektórzy le-

karze pediatrzy i psychiatry (uspokajając rodziców), że w okresie przełomu hormonalnego, to znaczy około 14 – 15 roku życia, większość „lejków” sama z siebie przestaje się moczyć. Zanim dojdzie jednak (nie dla wszystkich zresztą) do tego szczęśliwego momentu, spustoszenia w ich psychice mogą osiągnąć bardzo poważne rozmiary. Stąd postulat, by moczącym się dzieciom pomagać tak wcześnie, jak to jest możliwe.

Ale jak?

Zanim odpowiem na to zasadnicze pytanie, zatrzymajmy się jeszcze na chwilę nad zrozumieniem, czym w istocie jest moczenie nocne.

Otóż z całą pewnością nie jest ono **chorobą**, a więc nie można go **wyleczyć** ani lekami, ani akupunkturą, ani hipnozą, ani ziołami, ani dotykaniami czy egzorcyzmami. Mimowolne sikanie do łóżka jest, jak wszystko zdaje się na to wskazywać, wynikiem niewykształcenia się u dziecka (z różnych, czasami bliżej nie znanych powodów) określonego systemu nawyków odpowiedzialnych za świadomą kontrolę procesu wydalania. „Leczenie” zaś owej przypadłości, co logicznie wynika z wyżej przyjętego założenia, powinno być tworzeniem tego systemu nawyków, czyli budowaniem czegoś nowego, a nie usuwaniem zaburzeń lub niesprawności, jak to ma miejsce w procedurach medycznych. Jeśli zaś ma ono być aktywnym wytwarzaniem systemu nawyków, to musi **trwać** pewien dłuższy lub krótszy czas, potrzebny do wielopłaszczyznowego uwarunkowania dziecka, w którym to złożonym i niełatwym procesie będzie ono z zaangażowaniem uczestniczyć. W procesie tym równie ważne jest to, co trzeba robić, aby powstał wspomniany system nawyków, jak i to, czego robić nie należy, żeby w jego tworzeniu się nie przeszkadzać.

Zacznijmy od tego, czego robić nie należy.

W momencie, kiedy staje się jasne, iż „mokre łóżko” przestało niejako „przysługiwać” dziecku z racji jego wieku, czyli około 4 – 5 roku życia, rodzice zazwyczaj starają się wpłynąć na sikającego potomka, aby zaprzestał swej nocnej działalności, za pomocą tłumaczenia, apelowania do jego rozumu i sumienia, zawstydzania, obiecywania atrakcyjnych nagród (jeśli postarasz się nie zsikać w nocy, dostaniesz ode mnie ten statek kosmiczny, który tak ci się podobał), a nawet gróźb i kar fizycznych. Jest to pierwszy poważny błąd. Rodzice bowiem muszą zrozumieć, że zsikanie się do łóżka **nie zależy od woli dziecka**. Nie ma ono na to absolutnie żadnego wpływu. Należy więc unikać próśb typu: „postaraj się”, „spróbuj”, „weź się w garść” itp. Są one całkowicie nieskuteczne, tak jak apele skierowane do garbusa, żeby się wyprostował i nie robił problemów. On nawet bardzo chce i stara się, ale garb czyni swoje, więc pozostaje mu tylko poczucie winy, lęk i złość, że nie sprostał, że nie dał rady.

Innym sposobem uniknięcia „mokrego łóżka”, stosowanym przez rodziców, jest wysadzanie „lejka” w nocy. Na ogół wiedzą już oni o jakiej mniej więcej porze powinno to nastąpić i gdy nadejdzie ten czas, wyciągają nieprzytomne dziecko z pościeli, sadzając je na nocnik lub włokąc do toalety. Jest to, jak już wspomniałem wcześniej, drugi duży błąd. Wygaszanie sygnału alarmowego biegnącego z wypełnionego pęcherza do mózgowych ośrodków czuwania powoduje, że nawyk budzenia się w związku z parciem na mocz nie ustala się. Wysadzanie „lejka” przez sen jest więc w istocie podtrzymywaniem i przedłużaniem moczenia przez niego łóżka.

Wspomniałem też już wcześniej o braku związku pomiędzy ilością wypitego płynu i faktem zmoczenia się. Nie przeszkadza to jednak wielu lekarzom, i nie tylko lekarzom, w polecaniu rodzicom, aby ich sikające do łóżka

pociechy, powiedzmy już od godziny siedemnastej, nie dostawały nic do picia. Z tego powodu tysiące dzieci cierpią z pragnienia męki Tantała, mocząc się zresztą nadal w nocy, tyle że mniej obficie. „Lejkom” nie należy więc ograniczać picia, tym bardziej że ich układ wydalniczy i nerwowy musi się przecież przystosować do funkcjonowania i kontroli procesów wydalania w warunkach normalnego, nie reglamentowanego spożycia płynów.

I wreszcie ostatnia, bodajże najtrudniejsza sprawa. Większość dzieci moczących się w nocy przechodzi istną „drogę przez mękę”, zanim trafi na psychologa lub kogokolwiek innej specjalności, kto potrafi im pomóc. Ta droga zaczyna się z reguły od lekarza-pediatry, który po wyczerpaniu swoich skromnych zazwyczaj wiadomości i środków działania kieruje „lejka” do lekarza-psychiatry dziecięcego, ordynującego imipraminę lub leki uspokajające. Tu następuje pierwsze rozczarowanie dziecka i rodziców, ponieważ leczenie owo okazuje się nieskuteczne (co daje się przewidzieć, zakładając, że moczenie nocne nie jest chorobą). A potem już „kuracja” goni „kurację”, a wszystkie obiecują błyskawiczne efekty. Są więc zazwyczaj księża-zielarze wraz z ziołami do picia, kąpielami ziołowymi, nacieraniami i nasiadówkami, akupunkturzyści z kluciem igłami w dowolne miejsca ciała (bo któż może wiedzieć, gdzie ukłuć, aby dziecko przestało sikać, i to tylko w nocy), hipnotyzerzy i bioenergoterapeuci – obiecujący, że sikanie skończy się, jak ręką odjął, po seansie pogłębionego relaksu, przy pomacaniu dziecka po nerkach... itd.

W rezultacie „lejek” trafia do mnie czy też do moich kolegów skrajnie **wymęczony i rozczarowany**, bowiem mimo tych wszystkich wyrabianych z nim cudowności – sika nadal. Nie należy przy tym oczywiście mieć za złe rodzicom, że „chwytają się” wszystkiego, co obiecuje

sukces. Na ogół nie zdają oni sobie sprawy z tego, o czym wcześniej wspominałem, a mianowicie, że moczenie nocne **nie jest chorobą**, a więc nie można go mniej lub bardziej cudownie wyleczyć za pomocą takiego czy innego zabiegu. Nie wiedzą, że terapia nocnego sikania do łóżka polega na wytwarzaniu brakujących dziecku nawyków kontroli wydalania, co bywa niekiedy procesem żmudnym i długotrwałym (od kilku tygodni do kilku miesięcy). Dziecko moczące się w nocy **nie jest chore**, aczkolwiek do przezwyciężenia swojej przypadłości potrzebuje pewnej fachowej pomocy, której może jemu i jego rodzicom udzielić wyspecjalizowany w tym problemie psycholog, pedagog czy nawet nauczyciel. Mimowolne moczenie łóżka przez dzieci **nie jest problemem medycznym** i nie da się usunąć za pomocą pigułki lub innych **medycznych** oddziaływań. Natomiast oparta na psychologicznych przesłankach procedura wspomagania dzieci w **wypracowywaniu** nawyków kontroli pęcherza, przy dobrej współpracy z rodzicami, jest skuteczna prawie w stu procentach. Musi ona jednak być przeprowadzona pod kontrolą i kierownictwem fachowca. Dlatego też po szczegółowe wskazania należy się zwrócić do psychologów i pedagogów z Poradni Psychologiczno-Pedagogicznych. Z poradnią taką współpracuje w zasadzie każda szkoła i tam można otrzymać informacje, jak do potrzebnej osoby dotrzeć. Z tego co wiem, przeszkoleni w tym zakresie specjaliści pracują już w Łodzi, Krakowie, Poznaniu, Szczecinie, Gdańsku, Kielcach, Koninie, Toruniu, Wrocławiu, Lublinie, Kwidzynie, Stalowej Woli i, oczywiście, w Warszawie. Wszystkim im – za wspólną naukę i pomoc niesioną udręczonym „lejkom” – dziękuję.

Rozdział XI

NIE BĘDZIESZ MI TU RZĄDZIŁ, CZYLI O KRYZYSIE DORASTANIA

Dorastanie jest w zasadzie jednym wielkim konfliktem pomiędzy dziećmi i rodzicami. Istota tego konfliktu to walka o autonomię i prawo do samostanowienia, toczona przez dzieci przeciwko autorytetowi rodziców oraz ich tendencjom do kontrolowania i nadzorowania życia i postępowania swoich pociech.

Okres dorastania dzieci to w każdej rodzinie czas wyjątkowo burzliwy i trudny. Oto bowiem niesłuchanie szybko, na przestrzeni niecałych czterech lat (pomiędzy 14 i 18 rokiem życia), zachodzi niezwykle skomplikowany proces przemiany dziecka w człowieka dorosłego. W ciągu tych zaledwie 1460 dni córeczka czy synek stają się biologicznie i (przynajmniej formalnie) społecznie dojrzałymi – kobietą i mężczyzną – którzy coraz usilniej domagają się prawa do pełnego sterowania własnym życiem. Dla rodziców oznacza to gwałtowną zmianę ich podstawowej życiowej roli wychowawców i kontrolerów mających zasadniczy wpływ na życie i postępowanie dziecka – na partnerskich doradców, których zdanie niekoniecznie musi być uwzględnione w planach życiowych potomstwa. Bardzo wielu z nich nie jest w stanie pogodzić się z tą

zmianą, usiłując nadal zachować rodzicielski autorytet i próbując w dalszym ciągu kierować życiem dzieci, jakby miały one nie piętnaście czy siedemnaście lat, ale pięć lub siedem. Postawa taka jest głównym powodem nieuchronnego konfliktu o autonomię z będącymi „w drodze do dorosłości” dziećmi, zwanego konfliktem pokoleń.

Samo pojęcie konfliktu zakłada występowanie w nim antagonistów, którzy niejako „wnoszą” do tworzących go utarczek, potyczek i wojen swoje motyw, interesy, poglądy i postawy.

Do konfliktu pokoleń rodzice wnoszą:

– Poczucie odpowiedzialności za życie, rozwój i los dziecka.

Jako wychowawcy, a tym samym twórcy wzorców zachowania się, hierarchii wartości oraz podstawowych poglądów na życie, świat i ludzi u swoich dzieci – rodzice mają na ogół rozmaite nadzieje i oczekiwania związane z nimi. Czują się także odpowiedzialni za wprowadzanie w życie przez córkę czy syna przekazywanych im dyrektyw, rad i wskazówek. Wszelki sprzeciw ze strony dzieci wobec ustanawianych norm, nakazów i zakazów (w przekonaniu rodziców jak najbardziej słusznych i potrzebnych) rodzice przeżywają, z jednej strony, jako zagrożenie dla rozwoju i późniejszego szczęścia potomka, a z drugiej – jako klęskę swoich koncepcji i wysiłków wychowawczych.

To poczucie odpowiedzialności za dziecko (które rzadko zanika całkowicie, nawet wtedy, gdy dziecko ma już swoje dzieci) pociąga za sobą:

– Stałą tendencję do kontrolowania i nadzorowania zachowania się i uczynków potomka.

Kontrola i ścisły nadzór są niezbędnymi składnikami rodzicielskiej opieki nad dzieckiem od 0 do 10 lat, czyli w długim okresie jego bezradności i całkowitej zależności

od dorosłych. W następnych okresach rozwojowych (przeddojrzenia i dorastania) waga obu tych funkcji stopniowo się zmniejsza, aż do zupełnego ich wygaśnięcia w okresie dorosłości. W praktyce większość rodziców znacznie dłużej (a niekiedy i nigdy) nie potrafi uwolnić się od traktowania swego dorastającego lub wręcz dorosłego syna czy córki jak małego chłopca lub dziewczynki, których trzeba pilnować i pouczać, bo „spuszczeni z oka” np. ubrudzą ubranko, wybiorą mało dochodowy zawód, zwiążą się z niewłaściwym człowiekiem albo zrobią coś równie głupiego.

Wszystko to powoduje z kolei u rodziców:

– Skłonność do niepartnerskiego traktowania dorastających dzieci.

Na ogół rodzice, przyzwyczajeni do zależności dziecka od nich i długo utrzymującej się ich nad nim przewagi we wszystkich dziedzinach, nie zauważają, że w pewnym momencie pętający się po domu, bezradny, głupiutki i niedoświadczony Jasio stał się myślącym, mającym swoje zdanie i podejmującym ważne decyzje życiowe Janem. Wciąż odnoszą się do swoich dzieci z należnym maluchom protekcyjnym lekceważeniem lub zachowują się jak owa matka pilota odrzutowców, która przed wyjściem syna do pracy upomina go: „Tylko lataj wolno i nie za wysoko”.

Z tych samych, mniej więcej, źródeł wypływa:

– Niezbite przeświadczenie rodziców, że ich autorytet jest im dany raz na zawsze i jako rodzaj nadprzyrodzonego niemal daru nie podlega żadnej weryfikacji. Jego poszanowanie, czego domagają się z całą energią, oznacza zazwyczaj bezkrytyczne przyjmowanie przez dziecko ich racji i traktowanie dawanych mu rad i wskazówek jako nie podlegające dyskusji dyrektywy.

To zaś powoduje:

– Przekonanie, że każdy objaw buntu potomka przeciw tak rozumianemu rodzicielskiemu autorytetowi jest pozbawioną logicznego uzasadnienia złośliwą przekorą bądź wynika z głupoty, „złego charakteru” czy z innych, byle nie racjonalnych przyczyn.

Wreszcie prawie wszyscy rodzice wnoszą do konfliktu ze swymi dorastającymi dziećmi:

– Dobre intencje.

Niemal bezwyjątkowo kochają oni swoje potomstwo oraz pragną dla niego szczęścia i powodzenia. Tyle że na własną modłę i według swoich recept.

– Potrzebę stałego otrzymywania od dzieci potwierdzenia swej, rzeczywiście nie dającej się przecenić roli w ich życiu, w postaci wdzięczności, uznania, szacunku i posłuchu, czyli tego, co dorastającej młodzieży z reguły przychodzi najtrudniej.

Dzieci z kolei do konfliktu pokoleń wnoszą:

– Narastającą potrzebę niezależności i samodzielności.

Jest to jedna z najsilniejszych potrzeb psychicznych człowieka, szczególnie w okresie jego rozwoju i młodości, od początku stojąca w sprzeczności z wieloma interesami i dążeniami rodziców. Jak już wspomniałem wcześniej, tendencja dzieci do stałego badania otoczenia i zdobywania coraz to nowych doświadczeń, w odczuciu rodziców nie daje się pogodzić z zapewnieniem pociechom szeroko rozumianego bezpieczeństwa oraz z wyrobieniem w nich pożądanых społecznie cech charakteru: ostrożności, systematyczności, obowiązkowości, umiłowania porządku itd. Dlatego też ojcowie i matki, za pomocą swojego autorytetu (i nie tylko autorytetu), starają się ograniczać dążenie dzieci do autonomii i poddać je pewnemu reżimowi wychowawczemu.

Potrzeba niezależności i samodzielności pociąga za sobą:

– Skłonność do podważania autorytetów w ogóle i, nade wszystko, przekonanie, że autorytet rodziców nie jest im dany raz na zawsze.

Każde dziecko z czasem odkrywa, iż jego obdarzani początkowo olbrzymim autorytetem i niemal nadludzkimi możliwościami rodzice mają jednak rozmaite wady i słabości, a ich rzeczywiste możliwości są mocno ograniczone. Poznając coraz to nowych ludzi, dzieci porównują ich ze swoimi rodzicami i niemal zawsze znajdują osoby mądrzejsze, silniejsze, zaradniejsze, ciekawsze od ojca czy matki. Ponadto w tych swoich porównawczych badaniach uczą się dostrzegać niekonsekwencję rodziców, ich małostkowość, bezradność, mijanie się z prawdą itd. Doprowadza je to z reguły do, skądinąd słusznego, wniosku, iż matki i ojcowie nie zawsze mają rację oraz że na bezwzględnym dawaniu im wiary i okazywaniu we wszystkim posłuchu nie zawsze najlepiej się wychodzi.

Nader często w wyniku takich doświadczeń dzieci zaczynają przejawiać:

– Tendencję do niepartnerskiego traktowania rodziców.

Widząc pewne ich niedostosowanie do szybko zmieniającej się rzeczywistości i nierzadko anachroniczne reakcje, młodzi nabierają przekonania o nieodwracalnym zacołaniu i „wapniactwie” rodziców, a co za tym idzie, traktują ich jak zapóźnionych, niewiele rozumiejących (szczególnie w zakresie przemian obyczajowych), a w dodatku niejednokrotnie dwulicowych, zakłamanych i upartych przygłupów. Nie starają się więc niczego rodzicom tłumaczyć, wychodząc z założenia, które lapidarnie ujął jeden z moich nastoletnich rozmówców: „Ze starymi nie warto dyskutować. Trzeba ich przeczekać”.

Jednocześnie te same, pełne lekceważenia i pogardy, dzieci żywią:

– Mocne przekonanie, że rozmaite świadczenia ze stro-

ny rodziców (w tym także miłość i akceptacja) po prostu im się należą z racji tego, że są dziećmi, oraz równie mocne:

– Przeświadczenie, iż każdy objaw kontroli i nadzoru ze strony rodzicieli jest pozbawioną uzasadnienia złośliwością, wynikającą z głupoty, egoizmu, „złego charakteru” lub innych, byle nie racjonalnych powodów.

Wreszcie prawie wszystkie dzieci wnoszą do konfliktu pokoleń:

– Dobre intencje.

Przeważnie kochają one swoich rodziców i pragną ich zadowolić. Tyle że na swoją modłę i według swoich recept. Oraz:

– Potrzebę stałego otrzymywania od rodziców potwierdzenia swej ważności w ich życiu w postaci uznania, podziwu, pochwał, zaufania itd.

Powyższe zestawienie pokazuje, mam nadzieję, wyraźnie, że za konflikt pokoleń nie ponosi właściwie odpowiedzialności żadna ze stron. Jest on wynikiem szczególnej sytuacji dzieci i rodziców, przy czym racjom zarówno jednych, jak i drugich trudno odmówić uzasadnienia tak psychologicznego, jak i życiowego.

Zrozumiała jest walka zbliżających się do dorosłości dzieci o swobodę w zakresie dysponowania własnym czasem (utarczki o pory powrotu do domu i tzw. „opowiadanie się” rodzicom – gdzie idziesz? z kim? i po co? – są w okresie dorastania nagminne), o wolność w wyborze towarzystwa, o prawo do zgodnego z aktualnym, młodzieżowym stylem ubierania się, o możliwość decydowania w zakresie sposobu spędzania wolnego czasu, o zgodę na posiadanie i wyrażanie własnego zdania, o prawo do pierwszych sympatii i miłości, i tak dalej. Ale zrozumiały jest też strach rodziców przed tym, że zajęte przymiarkami do dorosłości dziecko zawali szkołę, że popadnie w złe

towarzystwo, w wyniku czego zetknie się z alkoholem i narkotykami albo obrabuje samochód, że wreszcie stanie się sprawcą przedwczesnej ciąży lub w nią zajdzie.

Dodatkowo młodzież w okresie dorastania jest dla rodziców i w ogóle dla dorosłych wyjątkowo trudna we współżyciu i kontakcie. Jest to bowiem okres ogromnej egocentryzacji dzieci, ich niesłuchanie wzmożonej chwiejności emocjonalnej, drażliwości i egzaltacji. Jest to też czas tworzenia się i poszerzania ich sfery prywatności, do której zazarcie bronią rodzicom wstępu, odmawiając informacji na temat coraz większej ilości aspektów swojego życia. A to wszystko budzi niepokój.

„To była kiedyś taka szczerą, wesołą, grzeczną dziewczynką. A teraz! Siedzi zamknięta w swoim pokoju ze słuchawkami na uszach i ledwie czasem coś do mnie burknie. W domu wiecznie ponura i skrzywiona, ożywia się tylko pomiędzy kolegami. Ale co to za koledzy! Najgorsze elementy z całego osiedla. Zapytać jej o nic nie mogę, bo zaraz jest awantura, tak że nie wiem, co ona przeżywa, co myśli i gdzie chodzi. Czuję się tak, jakbym straciła dziecko” – skarży się jedna z moich pacjentek, matka szesnastoletniej córki.

„Proszę pana! On po prostu najzwyczajniej zgłupiał – mówi inna matka. – Kiedyś pasjami czytał książki, biegał do teatru, interesował się nauką, polityką. A teraz nawet gazety nie przeczyta, tylko słucha tej ogłupiającej muzyki. Zawsze zdolny i inteligentny, jest teraz w szkole jednym ze słabszych uczniów. A jak coś nieraz powie, to aż mnie dreszcze przechodzą. A to życie nie ma sensu i trzeba się zabić. A to wszyscy są głupi i nieprawdziwi. A to rodzice nie powinni mieć żadnych praw do dziecka. Co ja mam robić? Jak z nim rozmawiać? Zresztą on nie chce rozmawiać. Mam w domu jakiegoś obcego człowieka, czy ja wiem, sublokatora, chociaż nawet sublokator »dzień

dobry« powie, a ten czasem przejdzie bez słowa, jakby nas nie widział. Może jakie narkotyki bierze? Możliwe to?”

„Zabroniłem córce pójścia na jakiś nocny koncert tej ich, wie pan, tak zwanej muzyki, to uciekła z domu – opowiada z kolei zdesperowany ojciec piętnastolatki. – A jak wróciła nad ranem – czekałem na nią, bo nie mogłem przecież oka zmrużyć – to wykrzyczała mi, że jak będzie trzeba, to znowu ucieknie. Zagroziła mi, że popełni samobójstwo, jeśli nie będę jej puszczał na te koncerty i wyjścia z kolegami, bo to jest dla niej ważniejsze niż my, niż szkoła, niż cokolwiek. Wie pan – przestraszyłem się. Jak ona może tak mówić? Zupełnie jak nie moje dziecko. Z taką złością, nienawiścią. Co ja mam robić?”

Takie przykłady mógłbym mnożyć jeszcze długo, korzystając ze spraw, z jakimi przychodzą do mnie rodzice nastolatków. Przewijają się w nich wszystkich, jak refren, podobne stwierdzenia przerażonych matek i ojców: „Straciliśmy dziecko”, „Mam w domu obcego człowieka”, „To nie moje dziecko”. I tak dalej. Obrazuje to rozmiary ich zaskoczenia tempem przemian, zachodzących w dzieciach, oraz niepokoju wzbudzanego przez kierunek tych zmian. Oto bowiem na ich oczach dokonuje się szybkie przeistoczenie otwartych, pogodnych, posłusznych synków i córeczek w zamknięte w sobie, ponure, zbuntowane osoby, o których życiu, myślach, zamiarach i poglądach niewiele wiedzą. Wielu rodziców ową przemianę przeżywa właśnie jak utratę dziecka, jak zerwanie się pomiędzy nimi a córką czy synem owego żywego wiązania wzajemnej miłości, akceptacji i zrozumienia, które stanowi istotę nigdy przecież nie kończącego się związku pomiędzy rodzicielami i potomstwem. Z drugiej strony, dorastające dzieci doznają bardzo podobnych uczuć. One też przeżywają fakt, że matkom i ojcom na ogół trudno jest zaakceptować wszystkie przemiany zachodzące w potom-

stwie jako swoistą utratę rodziców – w znaczeniu zerwania się z nimi porozumienia i kontaktu.

„Rodzice mnie nie rozumieją. Nie potrafią i nie chcą się wczuć w to, co przeżywam. Dla nich jest ważna tylko szkoła, moja nauka i powrót do domu o dwudziestej, a nie ja”.

Ta wypowiedź pewnej nastolatki jest z kolei, powtarzającym się w różnych odmianach, refrenem opinii na temat rodziców, wyrażanym przez dorastające dzieci. Czy tak być musi?

Konflikt pokoleń, jak to już sobie powiedzieliśmy w pierwszej części tej książki, jest podłożem strukturalnego kryzysu dorastania, mającego miejsce w każdej rodzinie. Co więcej, uważa się go za konieczny warunek usamodzielnienia się i emancypacji młodego pokolenia zarówno w sensie jednostkowym, jak i społecznym. Mówiąc inaczej, dzieci powinny buntować się przeciwko rodzicom, aby uwolnić się spod ich kurateli w celu podjęcia samodzielnego, odpowiedzialnego, dorosłego życia.

Jednakże konflikt ten, choć nieuchronny, nie oznacza całkowitego rozejścia się dróg rodziców i dzieci, a już zupełnie nie musi oznaczać pełnego wzajemnej urazy i wrogości zerwania stosunków. Zakres, intensywność i „temperatura” toczących się w jego ramach sporów i walk zależy w ogromnej mierze od tego, co zdarzyło się wcześniej pomiędzy rodzicami i dziećmi w ramach wzajemnego wychowania. Jeżeli rodzicom realizującym swoje zadania wychowawcze udało się szanować kompetencje dziecka, nie robić z niego głupka, nie tresować go bezsensownie, ale i nie „rozpuszczać” rażącym brakiem konsekwencji – to już zrobili oni duży krok w stronę raczej łagodnego przebiegu konfliktu pokoleń w ich rodzinie. Jeżeli jeszcze rodzice ci potrafili w miarę uważnie obserwować rozwój swojego potomka i, mówiąc obrazowo, obdarzać go coraz większymi, stosownymi do wieku „dawka-

mi” swobody i autonomii, dobrowolnie ograniczając kontrolę i nadzór nad nim oraz rezygnując stopniowo z niektórych atrybutów rodzicielskiego autorytetu – to jest prawie pewne, że konflikt pokoleń mają w zasadzie „z głowy”. Należy się bowiem spodziewać, że gdy nadejdzie czas konfrontacji, ich odważne, samodzielne, odpowiedzialne i mające dużo swobody dzieci nie będą specjalnie miały o co z nimi walczyć. Wbrew pozorom rodzice tacy istnieją i jest ich legion, a należą do nich w pierwszym rzędzie ci, którzy w wychowaniu postępują zgodnie z sugestiami najlepszych doradców w tej dziedzinie, czyli głosem serca, logiką i zdrowym rozsądkiem.

Burzliwie, z kolei, przebiega konflikt pokoleń w tych rodzinach, w których rodzice nie zauważają, że ich pociechy przestały już być małymi dziećmi, i uparcie stosują wciąż te same rozwiązania wychowawcze. Nadopiekuńcze matki wciąż starają się wszechstronnie czuwać nad córką czy synem, zatracając w tym nieraz miarę i zdrowy rozsądek, a autorytarni ojcowie, zgodnie z formułą – „dopóki jesteś w moim domu, dopóty nie masz nic do gadania” – wciąż usiłują kierować dzieckiem w sposób wykluczający jego wpływ na podejmowane decyzje i wszelką na ten temat dyskusję.

„Moja mama traktuje mnie, jakbym wciąż miała osiem lat – skarży się do mnie piętnastolatka. – Mówi do mnie tak po dziecinnemu, pieszczotliwie, co doprowadza mnie do szału, szczególnie jeśli robi to przy obcych. Kupuje mi jakieś słodkie sukieneczki z falbankami i nalega, żebym się w nie ubierała, chociaż mówię jej, że moi koledzy umarliby ze śmiechu, widząc mnie w takiej kreacji. Jeszcze do niedawna, zanim tu do pana trafiliśmy, kazała mi o dwudziestej chodzić spać, a jeśli wyszłam do koleżanki, natychmiast tam telefonowała, żeby sprawdzić, czy dotarłam. Po zmroku mogłam wychodzić tylko z matką, co w

zimie oznaczało siedzenie w domu od szesnastej, a kiedy zapomniałam drugiego śniadania, potrafiła mi je przynieść z wielkim szumem do szkoły. Bez przerwy robiła ze mnie pośmiewisko w oczach kolegów i nie trafiały do niej żadne tłumaczenia. Dopiero kiedy to zrobiłam, trochę się przestraszyła”.

Autorka powyższej wypowiedzi trafiła do mnie wraz z wychowującą ją matką po dokonaniu próby samobójczej.

„Z moim ojcem nie ma żadnej rozmowy czy dyskusji – opowiada z kolei szesnastoletni chłopak. – On podejmuje decyzje i wydaje rozkazy, od których nie ma odwołania. Na wszystkie moje uwagi czy propozycje ma jedną odpowiedź: »Nie będziesz mi tu rządził, jak osiadasz na swoim, to będziesz decydował, a teraz masz słuchać«. On chyba ma jakiegoś świra na punkcie tego rządu. Ja kiedyś tego nie wytrzymam”.

I rzeczywiście, nastolatki często nie wytrzymują. Awanturują się (chłopiec z poprzedniego przykładu trafił do mnie po bójce z ojcem), „na złość starym” opuszczają się w szkole lub wiążą z podejrzanym towarzystwem, uciekają z domu, dokonują czynów przestępczych lub prób samobójczych i tak dalej. Rodzice bronią się, nasilając kontrolę i represje. Konflikt pokoleń wybucha z maksymalną siłą. Z obu stron padają ciosy. Z obu stron narasta złość i nienawiść. Aż do osiągnięcia punktu przełomowego, którym jest odkrycie przez dzieci **bezradności** rodziców. Rodzice bowiem, jak to udowodnił opisany w rozdziale VIII pierwszej części niniejszej książki mały Filip, który odmówił stanowczo chodzenia do przedszkola, są w istocie wobec swojego potomstwa bezradni.

Rzecz w tym, że sami tego nie wiedzą. Nie wiedzą tego z reguły również dorastające dzieci, przypisując, na zasadzie nawyku wyniesionego z przeszłości, swoim matkom i ojcom nadzwyczajną moc i możliwości. Aż przychodzi

taki moment, w którym zdeterminowany nastolatek, mimo lęku i poczucia winy (jak można sprzeciwić się mamie?), mówi rodzicom stanowczo – nie! I wtedy okazuje się, że niemal wszystkie jego obawy były mocno przesadzone. Bo oto rodzice zamiast zrobić coś na miarę swojej mocy, co przymusi buntownika do posłuszeństwa, kładą uszy po sobie i uderzają w prośby albo biegną po pomoc do tzw. „specjalistów”.

„To jest tak, wie pan, jakby człowiek latami siedział w klatce i pewnego dnia odkrył, że wystarczy lekko kopnąć w ścianę, aby się ona rozleciała” – tłumaczyła mi tę sytuację pewna nastolatka.

Konsekwencją odkrycia przez dorastające dziecko bezradności rodziców jest najczęściej przejęcie przez nie dużej części władzy w rodzinie. Wiedząc już, że nic mu ze strony rodziców nie grozi, a wręcz przeciwnie – że gotowi są oni zrobić wszystko, byle potomek na złość im „nie odmroził sobie uszu” – syn czy córka zaczynają w sposób jawny i nieskrępowany korzystać ze świeżo osiągniętej pozycji „prawie dorosłego”. Pałają, piją, nie wracają na noc do domu, nikomu się nie „opowiadają”, totalnie „olewają” szkołę, rozpoczynają przedwczesne i bezsensowne życie seksualne itp. A przerażeni rodzice biegną do kolejnych „specjalistów”.

Niejako przy okazji, będące u władzy nastolatki dokonują często jeszcze jednego, brzemiennego w skutki „odkrycia”. Jak już wspominałem, okres dorastania nie zawsze jest w życiu dzieci usłany różami. To z reguły czas lęków, „kompleksów”, wątpliwości i bolesnych konfrontacji z własną niedoskonałością, kiedy okazuje się, że dziecięce marzenia o łatwych sukcesach i powodzeniu nijak nie dają się urzeczywistnić. W poszukiwaniu odpowiedzialnych za ten stan rzeczy następuje prędzej czy później owo doniosłe „odkrycie” – to rodzice są winni. To oni źle mnie

wychowali. To przez nich nie potrafię się odnaleźć wśród innych ludzi. To przez nich nie umiem być atrakcyjny. To przez nich jestem samotny, mało odważny, nieśmiały itp. To nie we mnie tkwią przyczyny moich trudności i niepowodzeń, ale w tym, co oni ze mnie zrobili.

Odkrycie „winy rodziców” przynosi swoistą ulgę i uspokojenie. Przekonanie o tym, że „gdyby nie oni, to...”, pozwala zachować poczucie własnej wartości i zwolnić się z odpowiedzialności za swoje postępowanie. Pozwala nawet myśleć o sobie jako o godnej współczucia, niewinnej ofierze poronionych zabiegów wychowawczych samolubnych, pozbawionych wyobraźni, ograniczonych „starych”. Gdyby chociaż tylko na myśleniu się kończyło. Ale nie! W większości przypadków odkrycie „winy rodziców” (mówiąc nawiasem – wina owa nie zawsze jest jedynie czczym wymysłem nastolatków) pociąga za sobą chęć wzięcia odwetu za ich prawdziwe i domniemane błędy. Dopiero pokazując „wapniakom”, jacy są beznadziejni, głupi, staroświeccy, sztywni i nade wszystko bezradni, dzieci czują się znacznie lepiej. Jak ów kot z dowcipu, który po paru głębszych, widząc wchodzącą do baru mysz, mówi: „No! Nareszcie jest wszystko w porządku. Jest co zjeść, jest co wypić i jest komu dać w mordę”.

A rodzice z reguły tego zupełnie nie rozumieją. Nie potrafią dostrzec swojej „winy” tam, gdzie widzą przede wszystkim swój wysiłek, swoje wyrzeczenia i poświęcenia na rzecz dziecka. Dominują więc w nich rozgoryczenie i poczucie krzywdy. Tym sposobem dzieci o rodzicach i rodzice o dzieciach myślą: oni nas nie rozumieją.

Jestem przekonany, że kluczem do konstruktywnego rozwiązania konfliktu pokoleń, a tym samym kryzysu dorastania, jest ze strony rodziców:

1. Zrozumienie, że ich dzieci przestały być dziećmi, co

powinno powodować dążenie do przejścia we wzajemnych stosunkach na **poziom partnerskich porozumień pomiędzy dorosłymi ludźmi**. W okresie dorastania kończy się rola rodziców jako nadzorców i kontrolerów, a rozpoczyna się ich rola jako **towarzyszy rozwoju dziecka**. Od tej pory niewiele już (jeśli w ogóle) mogą oni zrobić z dzieckiem bez jego zgody.

2. Gotowość do zawarcia z własnymi dziećmi **nowej umowy**, regulującej zasady dalszego współżycia na innych zasadach, niż to było we wcześniejszym dzieciństwie. W umowie tej dzieciom **musi być** zagwarantowany znacznie większy w stosunku do przeszłości zakres swobody i autonomii, nawet kosztem zwiększonego lęku o dziecko, który, jak to już wcześniej uzgodniliśmy, jest jednym z podstawowych atrybutów rodzicielstwa. Lęk matki czy ojca o dziecko nie może być czynnikiem wyznaczającym obszar aktywności dziecka i rodzaj zdobywanych przez nie doświadczeń. Gdyby tak było, większość dzieci musiałaby nieustannie siedzieć w domu (najlepiej nad książką), bowiem tylko taka sytuacja skutecznie redukuje rodzicielskie obawy. Wychowanie jest wzrastającym wraz z wiekiem dziecka ryzykiem, którego skutki – w postaci nasilonego strachu przed tym, co może spotkać próbującego swej samodzielności potomka – rodzice muszą nauczyć się znosić. Jeżeli zaś nie chcą się bać, martwić i gryźć palców ze zdenerwowania – gdzie też to nasze dziecko poszło – powinni zamiast dziecka mieć np. żółwia, który jest, jak wiadomo, zwierzątkiem niezwykle spokojnym i sprawiającym niewiele kłopotu.

Ze strony dzieci kluczem do konstruktywnego rozwiązania kryzysu dorastania jest, w moim przekonaniu, nie przekraczające ich możliwości intelektualnych:

1. Zrozumienie, że są one nadal **realnie** zależne od rodziców w warstwie społecznej i ekonomicznej, mimo

osiągnięcia formalnych kryteriów dorosłości. Oznacza to konieczność ułożenia sobie zadowalającego obie strony modus vivendi. To zaś łączy się z:

2. Gotowością do rezygnacji ze sprawowania władzy w rodzinie za pomocą ustawicznego straszenia rodziców aktualnymi bądź przyszłymi skutkami swojego postępowania.

Jeżeli, po spełnieniu tych warunków, rodzice i dzieci zasiądą do wspólnych negocjacji na temat zasad regulujących ich współzycie przez następny okres w ewolucji rodziny – czyli rodziny z dorastającymi dziećmi – to prawie na pewno osiągną zadowalający obie strony kompromis. Już od wielu lat wspomagam te negocjacje, występując w jednej z moich zawodowych ról, jaką jest rola mediatora, czyli człowieka ułatwiającego osiągnięcie kompromisowych rozwiązań przez skonfliktowane strony. Patrząc z tej perspektywy, wiem na pewno, że samo podjęcie przez ojców i matki decyzji o rozpoczęciu rozmów ze swymi synami i córkami oznacza w istocie wzajemne uznanie się za równoprawnych partnerów. A stąd już naprawdę bardzo blisko do zadowalającego wszystkich „dogadania się”. Bowiem tak naprawdę, w każdym systemie rodzinnym, w imię własnego poczucia bezpieczeństwa i zapewniającej je integracji rodziny wszyscy członkowie takiego „dogadania się” potrzebują.

Rozdział XII

KIJ CZY MARCHEWKA, CZYLI O KARANIU I NAGRADZANIU

Nagradzać czy karać? Pytanie to prędzej czy później staje przed większością rodziców, chociaż przeważnie nie w tak katorycznej formie. Pojawia się ono jako wątpliwość co do proporcji pomiędzy oboma sposobami postępowania (raczej nagradzać czy raczej karać?), bowiem na ogół rodzice nie wyobrażają sobie procesu wychowania bez użycia kar i nagród. I słusznie, ponieważ rzeczywiście proces ten bez jednego i drugiego obyć się nie może. Wychowanie bowiem, mówiąc w największym uproszczeniu, polega na stawianiu wychowankowi przez wychowawcę określonych celów i motywowaniu go, za pomocą właśnie kar i nagród, do ich osiągnięcia. W bardzo wielu swoich momentach proces wychowania, jak to już wcześniej powiedzieliśmy, odbywa się przy użyciu różnych form przymusu stosowanego przez rodziców w celu okiełznania „natury” dziecka i wtłoczenia jej w społecznie akceptowane ramy. A przymus, jak wiadomo, zakłada wręcz stosowanie kar za niepodporządkowanie się obwarowanym nim zakazom i nakazom oraz rozdawanie nagród za uległość.

Współczesna psychologia i pedagogika rozstrzyga

nasz dylemat jednoznacznie i powiada – raczej nagradzać. Bowiem, jak wskazują liczne badania, wychowanie oparte na karach prowadzi do niepożądanych społecznie skutków, takich jak zachowania przestępcze, ułatwione przemieszczanie się agresji (co oznacza np. pobicie niewinniego człowieka lub skopanie psa z powodu mającego całkowicie inne źródło zdenerwowania), niedorozwój sumienia (czyli niedostateczne uwewnętrznienie się norm regulujących współżycie społeczne), kształtowanie się autorytarnych sposobów postępowania z innymi ludźmi, formowanie się „osobowości dogmatycznej” lub, jak chcą inni, „umysłu zamkniętego, do którego nie ma dostępu racjonalna czy uczuciowa argumentacja, itd. Jednakże ostateczne rozstrzygnięcie tego dylematu pozostaje na ogół w sferze teorii, bowiem w praktyce zarówno wychowanie instytucjonalne (np. szkolne, jeżeli w przypadku polskiej szkoły w ogóle można mówić o jakimkolwiek wychowaniu), jak i rodzicielskie – opiera się głównie na karach. Najczęstszym zaś, kierowanym do mnie pytaniem rodziców, jest problem: jak karać, aby odnosiło to pożądany i zaplanowany wychowawczo skutek. Z opowieści zgłaszających się do mnie z tym problemem znękanymi matek i ojców wynika, że stosowane przez nich kary są najczęściej nieskuteczne bądź skutkują jedynie na krótką metę. Potomstwo na ogół je lekceważy, nie dokonując pod wpływem owych kar (mimo nieraz znacznej ich dolegliwości) względnie trwałych korekt swojego zachowania. I trudno się dziwić, ponieważ nagminnie są to kary przekraczające możliwości tolerancji samych rodziców i, co za tym idzie, stosowane bardzo niekonsekwentnie. Typowym przykładem takich kar są sławetne zakazy wychodzenia na podwórko lub oglądania telewizji. Z obu tych represji rodzice wycofują się już po krótkim czasie, bo przecież dziecko, dla swego zdrowia, powinno być „na

powietrzu” i mieć kontakt z rówieśnikami, a telewizję samemu trudno oglądać, kiedy ukarany potomek chlipie za zamkniętymi drzwiami albo usiłuje przez szparę podglądać, co się dzieje na ekranie. Do tej samej kategorii kar należy odbieranie dziecku ofiarowanych mu wcześniej przedmiotów czy pozbawienie go rozmaitych „przywilejów”. Wiadomo powszechnie, że „kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera”, toteż z odebraniem synowi czy córce uprzednio podarowanej zabawki, pieniędzy – lub jakiegokolwiek innej rzeczy – każdemu rodzicowi trudno jest (i całkiem słusznie) uporać się moralnie. Najczęściej więc rzecz odebrana w porywie złości po niedługim czasie wędruje z powrotem do dziecka. Podobnie rzecz ma się z tzw. „przywilejami”, takimi jak pomaganie przez tatusia w wieczornej kąpieli, czytanie przez mamę fragmentu książki na dobranoc, wspólna zabawa ojcowym komputerem itp. Odebranie ich dziecku powoduje u rodziców narastanie poczucia winy, które w końcu popycha ich do cofnięcia podjętych wcześniej restrykcyjnych decyzji. Dzieje się tak również dlatego, że ukarana cofnięciem przywileju pociecha bardzo często „zacina się” i mówi dumnie: Nie, to nie, nie zależy mi. Po pewnym, nie tak znowu długim czasie pozwala to rodzicom odczuć, że tak naprawdę oni też potrzebują tych „przywilejowych” chwil kontaktu i bliskości z synem czy córką oraz że wyeliminowanie tych momentów w ramach kary wyraźnie zaburza również ich funkcjonowanie.

Jeszcze gorzej jest z karaniem dzieci pracą, szczególnie jeśli chcemy im przekazać, co dzisiaj nabiera szczególnej aktualności, szacunek dla pracy wraz z prastarą i coraz bardziej prawdziwą maksymą mówiącą, że „żadna praca nie hańbi”. Praca za karę jest swego rodzaju hańbą.

Charakterystyczne jest przy tym, że rodzice, uważając widocznie, iż kara powinna być dla potomka czymś eks-

traspecjalnym, najmniej chętnie odwołują się do stosunkowo najskuteczniejszej i najłatwiejszej do zastosowania **kary naturalnej**, którą jest po prostu ponoszenie konsekwencji postępowania. Zamiast pozwolić dziecku na doświadczenie efektów swojej działalności, wołają oni zniwelować lub złagodzić owe efekty za pomocą nie kończącego się „gadania” na temat, co będzie, jeżeli córka czy syn postąpi tak a nie inaczej.

„Jeżeli nie odrobisz lekcji, to możesz dostać jedynkę, a jak dostaniesz jedynkę, to będziesz musiał ją poprawić, bo jak jej nie poprawisz, to możesz nie zdać do następnej klasy, a jak nie zdasz, to mamusia spali się chyba ze wstydu” itd. „Gadania” tego większość dzieci wysłuchuje ze stoickim spokojem, widząc w tym godziwą, aczkolwiek na pewno mało przyjemną cenę za uniknięcie następstw swoich uczynków.

Ileż to matek i ojców, zorientowawszy się późnym wieczorem, że potomek nie odrobił lekcji, pisze mu kłamliwe usprawiedliwienia do szkoły, wygłaszając jednocześnie obszernie pogadanki na temat poczucia obowiązku, uczciwości, prawdomówności i paru jeszcze moralno-etycznych zagadnień? Iluż rodziców w miejsce bezmyślnie zniszczonej lub zgubionej rzeczy kupuje dziecku nową, snując przy tym tasiemcowe dywagacje na temat następstw (których potomkowi nie dane było właśnie poznać na własnej skórze) owej bezmyślności? Iluż wreszcie rodziców wykonuje za dziecko nałożone nań obowiązki, których nie chciało mu się lub których „nie miało czasu” wypełnić, roztaczając przy tym apokaliptyczną wizję przyszłości umiłowanej pociechy jako osoby nieobowiązkowej i niesolidnej?

Rodzicielskie „gadanie” wynika najczęściej z niezajomości praw rządzących rozwojem dziecka, z których, jak to już wcześniej wspominałem, wynika, że mały człowiek

niemal aż do okresu dorastania słabo antycypuje przyszłość, a perspektywa, że coś wydarzy się za dwa lub pięć lat, jest dla niego właściwie czystą abstrakcją. Stąd też wynika znikoma skuteczność „gadania” w korygowaniu dziecięcych zachowań i rozgoryczenie rodziców, że po tylu tłumaczeniach i ostrzeżeniach córka lub syn „idzie i robi dokładnie to samo”.

W okresie dorastania „gadanie” niewiele zwiększa swoje oddziaływanie na nastolatki. Jest ono odbierane przez nie głównie jako dowód na to, że rodzice ich nie rozumieją, dając im wskazówki i stawiając żądania praktycznie niemożliwe do zrealizowania w ich sytuacji społecznej. Jako koronny przykład całkowicie jałowego „gadania” dorastający przytaczają zwykle nie kończące się monologi rodziców na temat konieczności podporządkowania się szkole i skupienia całej swojej energii na nauce. Nie rozumieją oni (oczywiście rodzice) najwyraźniej, że szkoła – taka jaka jest – stanowi dla młodzieży wyjątkowo nieprzyjazne środowisko. Nauczyciele z reguły nie starają się rozumieć uczniów i rzadko z nimi rozmawiają, poprzestając na obcesowym strofowaniu ich lub na donośzeniu na nich rodzicom, czym boleśnie urażają świeżo zbudowaną godność osobistą młodzieży i jej dumę z własnej dorosłości. Młodzież rewanżuje się szkole niechęcią graniczącą czasem z nienawiścią i gardzi takimi nauczycielami. Nic dziwnego, że tyrady na temat zbawiennej roli szkoły w swoim życiu nastolatki przyjmują co najmniej obojętnie, a najczęściej z nie ukrywaną złością.

Skuteczność „gadania” jest więc najczęściej żadna, co nie przeszkadza rodzicom gadać, gadać i gadać. Doświadczenie uczy natomiast, że mało co tak skutecznie i trwale modyfikuje zachowanie się dziecka, jak zastosowanie prastarych sposobów typu: zniszczyłeś – nie będziesz miał, nie zrobiłeś – nie ma, nie nauczyłeś się – będziesz

miał złą ocenę, itp. Jednakże kara naturalna ma szanse „zadziałać” i spełnić swoje wychowawcze zadanie tylko wtedy, kiedy obawy rodziców przed skutkami postępowania potomka będą mniejsze niż obawy dziecka. Na ogół, niestety, to właśnie rodzice bardziej boją się złej oceny otrzymanej w szkole przez syna czy córkę (bo co będzie, jak ona sobie nie poradzi) niż sami zainteresowani. Dzieci oczywiście wiedzą o tym i wzrastają w błogim przeświadczeniu (nie pozbawionym zresztą uzasadnienia), że jakby co, przecież starzy coś wymyślą. Dotyczy to nie tylko szkoły. Rodzice biorą na siebie uporanie się z rezultatami działalności swoich pociech na różnych polach. Na przykład w zakresie obowiązków domowych (bo po co dziecko ma się męczyć, skoro ja to zrobię lepiej i szybciej), w zakresie posiadanych przez dziecko rzeczy (trzeba mu kupić drugie już w tym miesiącu nowe kredki, bo on przecież taki roztargniony, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie zostawił te pierwsze) czy w zakresie podejmowanych przez dziecko zobowiązań na zewnątrz domu (przecież nie powiem, że zapomniał o tym sprzątaniu klasy w sobotę, do którego sam się zgłosił, bo podpadnie – już raczej powiem, że był chory). W ten sposób dziecko uczy się swoistej bez troski i braku odpowiedzialności za swoje uczynki, wiedząc, że rodzicom bardziej zależy na uniknięciu ich skutków niż im samym.

Rodzice chcący z powodzeniem stosować w wychowaniu kary naturalne muszą być przygotowani na to, że ich pociechom będzie w wyniku tego niejednokrotnie źle, smutno i ciężko. Muszą się nauczyć znosić ich łzy, niepokój, strach i żal. Taki bowiem jest koszt znaczących doświadczeń, które wywierają trwale modyfikujący wpływ na zachowanie dzieci.

Aby kara była skuteczna, nie wystarczy jednak tylko to, by była ona naturalna. Ważne są jeszcze inne, dodatko-

we czynniki, z których najistotniejsze tkwią we wzajemnej relacji karanego i karzącego. Otóż okazuje się np., że kara bywa skuteczna, jeżeli karany ma pozytywny stosunek do karzącego. Jeśli natomiast stosunek ten jest negatywny – kara nie skutkuje. Mówiąc inaczej, w przypadku, gdy dziecko lubi swoich rodziców, obdarza ich autorytetem i zaufaniem, i gdy tego zaufania oni nie zawiodą chociażby rozbieżnością pomiędzy swoimi czynami i „gadaniem”, to zastosowana przez nich kara będzie skuteczna. Jeżeli natomiast między dzieckiem i rodzicami panują stosunki pełne wzajemnej wrogości i nieufności – żadna kara raczej nie poskutkuje, budząc w dziecku jedynie złość i chęć odwetu.

Bardzo ważną rolę w skuteczności karania odgrywa też akceptacja przez karanego norm i przepisów, którymi posługuje się karzący. Czyli, jeśli dziecko podziela pogląd rodziców na to, czym jest, biorąc rzecz najogólniej, dobro i zło, czym się różni postępowanie słuszne od niesłusznego, co jest dozwolone, a co już nie – to zastosowane przez rodziców kary będą skuteczne. Jeżeli zaś rodzic karze dziecko za to, co sam permanentnie czyni, lub za to, wobec czego wyraża swój podziw i akceptację, o skuteczności kary nie ma co marzyć.

Jak więc widać, karanie to nie tylko kwestia doboru kary i konsekwencji w jej stosowaniu. To kwestia dotycząca całokształtu funkcjonowania rodziny i panujących w niej stosunków. Karanie jest skutecznym narzędziem wychowania w dobrych rodzinach. A w dobrych rodzinach konieczność ukarania dziecka pojawia się raczej rzadko.

I jeszcze dwa słowa o nagradzaniu. Tak jak są kary naturalne, są też naturalne nagrody. Należą do nich oczywiście pozytywne skutki działalności dziecka (zrobiłeś – masz, nauczyłeś się – jest dobra ocena itd.), ale nie tylko.

Najbardziej naturalną nagrodą powinno być dla dziecka wyrażane wobec niego zadowolenie i satysfakcja rodziców. Wymaga to od tych ostatnich uważnego śledzenia poczynañ dziecka, dostrzegania jego różnorodnych osiągnięć i odpowiedniego na nie reagowania w postaci przeżycia z dzieckiem jego sukcesu. Ten sposób nagradzania przegrywa dziś, niestety, na rzecz łatwiejszego dla rodziców premiowania o charakterze rynkowym – czyli za pomocą przedmiotów i pieniędzy. Tak powoli dochowujemy się pokolenia pociech, które uważnie obserwują sytuację finansową rodziców i, przedkładając im dowody swoich sukcesów, bezlitośnie „kasują” rzeczowy lub pieniężny ich ekwiwalent. No cóż! Być może ze swoim myśleniem jestem już anachronizmem wobec nastającej epoki „wychowania handlowego”.

ZAKOŃCZENIE

Wychowanie dziecka w rodzinie jest procesem długotrwałym i skomplikowanym. Nie musi to jednak oznaczać, że jest ono zadaniem pełnym lęku, napięcia i codziennego wyczerpującego mozółu, które to uczucia są udziałem wielu rodziców. Proces wychowania opiera się bowiem na prostych, logicznie z siebie wynikających zasadach i prawidłowościach, w znacznym stopniu wywodzących się z praw rządzących funkcjonowaniem rodziny. Poznanie przez rodziców tych praw, zasad i prawidłowości – oraz wyciągnięcie z nich praktycznych wniosków – może uczynić z wychowawczego kontaktu z własnymi dziećmi fascynującą przygodę, pełną radości i poczucia mocy sprawczej, jaką zawsze daje efektywne kształtowanie nowego człowieka.

Celem tej książki była właśnie próba przybliżenia matkom i ojcom owych prawidłowości, zasad i praw, a tym samym spowodowania, by było to zadanie łatwiejsze i niosące więcej satysfakcji.

Jeżeli tak się stało, przynajmniej w odniesieniu do części Czytelników – to spełniła ona swoje zadanie. A jeśli książka zachęciła do własnych refleksji, pobudzających „wychowawczy” rozum i serce do szukania swoich rozwiązań – to spełniła je w dwójnasób.